

**GROMADA**

## TEGOŻ AUTORA:

DNI POLITYCZNE. Ser. I. Narodziny działacza. (Rok 1905) . . . . .	1 —
— Ser. II. W ogniu. (Rok 1905—6) . . . . .	1 —
HETMANI. Powieść współczesna . . . . .	2 —
SOBÓL I PANNA. Cykl myśliwski . . . . .	2 20
SPRAWA DOŁĘGI . . . . .	1 80
SYN MARNOTRAWNY . . . . .	2 20
UNIA. Powieść litewska. Wyd. 2-gie . . . . .	2 —
ZA BŁĘKITAMI. Z ilustr. K. Gorskiego. Wyd. 2-gie . . . . .	1 —
ZARĘCZYNY JANA BEŁZKIEGO, Z ilustr. K. Gorskiego. Wyd. 2-gie . . . . .	1 —
ZNAJ PANA. Pani Teresa. Pod piorunami. Wyroki. Dwa sumienia . . . . .	1 50
ŻYWOT I MYŚLI ZYGMUNTA PODFILIPSKIEGO. Wyd. 4-te . . . . .	1 50
EROTYKI. Wydanie ozdobione rysunkami Henryka Weysenhoffa . . . . .	2 50

---

JÓZEF WEYSSENHOFF



# GROMADA

POWIEŚĆ



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA ——— LUBLIN ——— ŁÓDŹ  
KRAKÓW ——— G. GEBETHNER I SPÓŁKA  
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.



64403

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

□□ DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □□

1913

K-218/76/74054

## I.

Nie była to ani wieśniacza chałupa pomnożonego rozmiaru, ani siedziba właściciela znacznej przestrzeni ziemi w stylu zachodnio-europejskim. Był dwór polski. Jak porost, któremu przyroda skąpo odmierzyła kres wybijania ku niebu, lecz nie kładła granic krzewieniu się na wszystkie strony po ziemi, domostwo rozpełzło się kilkunastu izbami w linie łamane ścian i dachów, spojone wszelako przez ideę wygodnego dworzyszczka. W dach rozłożysty wbudowano pośrodku niby mniejszy domek, kolumnowy od podjazdu i gnieźdzący w sobie piętrowe salki na dwa fronty; gdzieś z boku wyrosło też nieśmiałe, gościnne pięterko — naogół jednak dwór, gdy go się oglądało zdaleka, miał pozór pokrywy jakiegoś ogromnego naczynia, ukrytego pod ziemią.

Tak sobie ten kojec mieszkalny ulepiły stopniowo liczne pokolenia Bronieckich, dziedziców Sławoszewa z atynencyami; tak go zachował i rozparł jeszcze sobą pan Józef

Broniecki, mąż krzepki, wdowiec zaledwie czterdziestokilkoletni, który mieszka tu z dorosłą już córką, Mańką. Bronieccy pieczętują się zdawna herbem Przyjaciół, przedstawiającym, jak wiadomo, serce na talerzu. I nigdy to godło uprzejme nie było noszone właściwiej, jak przez obecnego, ósmego pono z rzędu dziedzica Sławoszewa. Serce, gotowe do usług, było powodem, że pan Józef nie żenił się po wtórnie, choć pragnąłby może męskiego potomka; tak się bowiem zdarzało, że serce wdowca brała w niewolę coraz to inna kobieta, niestosowna na żonę: to zbyt młoda, to wietrznica, to znowu mężatka. Nie chciał też pan Józef dawać macochy ukochanej córce, jedynaczce. I tak się żyło szeroko, pożytecznie i wesoło; żyło się sercem, zużywanem dla siebie i dla bliźnich, a przecie tego klejnotu jakoś nie ubywało.

Przypatrzeć się tylko Bronieckiemu, gdy stoi, o wschodzie słońca, w pobliżu dworu, na skrzyżowaniu dróg »pałacowej« i folwarcznej, opromieniony radością lipcowego poranku na jasnej alpadze ubrania, na twarzy czerstwej, szerokiej, w miarę wąsatej, tryskającej energią z uśmiechniętych oczu i wydatnego podbródka.

— Hej, byki! — woła na fernali, prowadzących konie do wodopoju w rzeczce — mówiłem: pompować wodę w koryta, a nie rozmamływać mi burty końskimi i waszemi kopytami!

Bez urazy, owszem, ze skwapliwymi uśmiechami cofnęli fernali konie od brzegu rzeczki i jęli pompować wodę w koryta, praktycznie ustawione do pojenia.

Na dzwoniący przez podwórze potężny głos dziedzica wytrysnął ze swego domu rządca, chudy młodzieniec, ubrany do konia z austriacka po angielsku, elegant, nieco stropiony, ocierając chustką usta po kawie.

— Panie Wierzbowski — przywitał go Broniecki, podając mu dwa palce z dłoni, dzierzążącej laskę, jakby chciał mu dać poczuć razem fawor swój i berło — lepiej zawsze być na nogach, zanim słońeczko wygramoli się ze swych puchów — o! Jak już wylezie, a nie zobaczy pana w tych angielskich majtadałach, gotowo się zasmucić — a potrzebne nam bardzo na chyże podebranie tych kłosek — o!

Ponieważ młody rządca przyjął reprimandę z godnością, lecz bez buntu, mówił pan Broniecki dalej już bez ironii:

— Weźmiesz mi, panie Karolu, dwa gąsiory góhy od panienki dla żniwaków, ale nie dawać im, dopiero wieczorem, jeżeli dozną do macicznego rowu. Na południe ani kapki! — niech się chłopyszki zwijają i oblizują na wieczór. Tylko wodę świeżą do picia trzymać ciągle w beczkach przy żniwie, bo termometr gotów znowu dzisiaj wybryknąć na trzydziści w cieniu.

Skłonił się posłusznie Wierzbowski, po-

czem ze swej strony przedstawił kwestyę dzienną do rozstrzygnięcia:

— Mężczy mnie, panie dziedzicu, Barbara Zimna, parobczycha, że jej podczas ostatniej ulewy krupy w komorze zawilgły z powodu dachu, który zaciekał na tamtej stronie ośmiorka.

— Dach przecie poprawiony?

— Ale krupy tymczasem spleśniały, panie dziedzicu.

Broniecki zamyślił się na chwilę, pochylił i laską na kurzu ziemnym kreslił jakieś znaki. Poczem krótki wydał wyrok:

— Wstrzykniemy jej tróję.

A gdy młody rządca, niedawno praktykujący w Sławoszewie, trochę się rozdziawił,

— Cóż to? — parsknął Broniecki — nie rozumiesz pan po polsku? — wyasygnujemy jej trzy ruble odszkodowania — co tu długo gadać?

— Ach, tak...

Tymczasem osiodłano konia dla pana rządcy, który go dosiadł pośpiesznie i, nie trafiwszy w prawe strzemię, oddalił się krzywym, targanym cwałem. Pył za nim wstawał po drodze wydłużonym obłokiem, fioletowym od porannych promieni, i leżał leniwie w bezwietrznym spokoju, aż powoli zaczął przeciągać na prawo, na tłusty łąn zielonego jeszcze jęczmienia, i rozwłóczać się nad nim coraz rzadszą mgławicą.

— Jeździ nieboże, jak małpa na pudlu — mruknął Broniecki — to i szkapę dopasowałem rarytną do kawalera: Cygany ją dwa razy kradły i porzuciły, jako dla siebie niezdatną. Ale chłop nie najgorszy...

Mówił tymczasem sam do siebie, gdyż na okólniku przeciągały tylko stworzenia bezmowne, niemniej jednak zajmujące, jak oto krowy, kroczące falistymi przegubami ciał prawie jednobarwnych, popielatych — sto głów dostojnych, wydłużonych w pyski antylopiego wdzięku, z pięknymi oczyma, przymrużonemi arystokratycznie. Zarodowa obora w Sławoszewie była jedną z chlub Bronieckiego — to też głaskał spojrzeniem lśniące skóry swych ulubienic, obejmował okiem ogromne ich, mlekodajne wymiona — aż minęły wszystkie w nieposzlakowanej paradzie i starszy pastuch, zaganiający stado, przypadł do ręki dziedzicowej. Ubrany był dziwacznie, na głowie w lisiej czapie, której nigdy nie porzuczał, nawet w najcieńsze upały, podrygujący i krotofilny, pomieszany trochę na umyśle, ale taki majster do krów, tak szczęśliwy do przychówku, że go nikt nie myślał oddalić od stada, którego zresztą doglądał wybornie.

— Jakże, Kobuzek, będzie pociecha z wczorajszego cielaka od Cybeli?

— Proszę jaśnie dziedzica, Cybula jescie mi nic nie mówiła.

— A powie ci, myślisz?

— Kuzda mi mówi.

— I jakże to, naprzykład?

— Kiedy myczy: mu-mu-mój — cielak będzie dobry na chów. A kiedy stęka, kiej świnia, i ogonem odgania — cielak dobry tylko dla Żyda, abo na stół pański.

— Dobrze, Kobuzek; jak ci krowa powie, co będzie z tego cielęcia, to i ty mnie powiesz.

— A juści, kiej powie — — heta! heta, bydłaki! — zawołał na krowy, miarkując, że niektóre zboczyły na lewo, ku rzeczce, i namyślały się, czy uledz pokusie chlipnięcia połykującej wody. — I poleciał za swem codziennem towarzystwem.

Dzień się rozgwarzał coraz głośniej. Z gęgań, kwakań i piał cała kapela buchała od strony małego, ptasiego okólnika; konie, pozostawione w stajni, dawały znać oburzonem rżeniem, że im także należy się wolność pohasania przez ziemię rozkwitłą, pod niebem szafirowem. Turkoty wozów, rozgłośne zrazu na brukach podjazdowych i na mostach przy domu, ucichały potem na drodze miękkiej, ale trwały w powietrzu drzeniem tak lekkim, że je rój pszczoł, osiadający lipy, zagłuszał. I wilgi, zwiastunki upału, już wzięły prym w ogrodzie, pomimo hecy najrozmaitszego ptactwa, od maleńkich szaraczków, szczebiojących gminnie, aż do lirycznych, rozgruchanych pod niebem turkawek. Zdaleka, gdzieś od rozkoszy pastwisk, dolatywał czasem gro-

źnie spazmatyczny ryk buhaja, albo pisk jakiś samiczy — może piosenka dziewczyny.

Zasłuchał się Broniecki w całej tej, tak dobrze znajomej muzyce i poił się nią, jak czemś swoim, a nawet niby własnym utworem. Juźci, gdyby nie on, chlebodawca tylu ludzi, hodowca tylu zwierząt, rolnik sławny i ogrodnik, nie byłoby tak pełno, tak wonnie, tak szczęśliwie w Sławoszewie, choćby nawet lipiec wystąpił ze swym dniem najpiękniejszym. Tryumfalnie więc spozierał na słońce, współgospodarza, chwając dzieła jego, ale i sam oddając sobie sprawiedliwość.

Dobry to właściwie los gospodarza na dużym, własnym kawale ziemi, może najlepszy z losów. Masz w nim zadowolenia władzy, użyteczności publicznej i własnego pożytku. Nad setkami istot panujesz prawie bez konstytucyi i możesz je łatwo uczynić szczęśliwymi; możesz sadzić sobie laury obok złotych buraków. Wolno ci zmuszać twą ziemię do wydawania tego, co każesz, czy zechcesz mieć wielki plon zboża, czy dla oka najmiłsze widoki. Wolno ci urządzić sobie ze swego kraiku pustelnię, albo zaludnić go setkami ludzi szczęśliwych. Wszystko ci wolno...

— O, psia! — ten nowy cyrkularz o szkołach ludowych! — potknął się Broniecki dotkliwie o kamień graniczny swej wielmożności.

Zepsuło mu to rozkosz porannego obejścia gospodarstwa i przyśpieszyło powrót do domu.

Ale tu, zaraz od progu, powrócił humor panu Józefowi żywiołowo, bez kompensaty jakichś wyjątkowo pomyślnych zdarzeń, prosto dlatego, że zdrowie fizyczne i moralne było stanem jego codziennym.

Stwierdził raz jeszcze z głębokiem zadowoleniem, że dom był wygodny i wesoły. Nawet plastry z trucizną na muchy, świeżo przywiezione z Łowicza, działały wybornie: much pozostało tylko tyle w pokojach, ile było potrzeba dla przyjemnego pobrzęku w razie zupełnego braku towarzystwa. Na ścianie przedpokoju, nad zegarem pradziadowskim, który chodził, jak słońce, roztaczał sążniowe skrzydła wypchany orzeł. Takiego orła nikt w Polsce nie zabił, oprócz pana Józefa Bronieckiego. W jadalni jasne meble jesionowe z ozdobami rzeźbionemi z czarnej gruszy były dużo weselejsze, niż ten ponury styl gdański, za gęsto już spotykany. I cały pokój pachnął kawą — nie bylejaką spalenizną, lecz cudowną mieszaniną ziarn Mokki, Cejlonu i Jawy z małą domieszką kawy figowej.

Jakoż pan Broniecki zasiadł nie zwlekając do stołu, nachylił kolejno do filiżanki dziobki naczyń, sączących płyny, szyldekretowy i biały, ocukrzył, pociągnął z rozkoszą. Ze srebrnego koszyka wziął jedno z ciastek brunatno-złocistych, posypanych solą i makiem, jakichś nowych w zawiązaniu węzła, i skosztowawszy, zawołał:

— Rany Boskie! co za obwarzanki!

Chrupał i chlpał zajadle, aż pełnemi ustami musiał odpowiedzieć Mańce, która wpadła do jadalni. Powitanie, pocałowanie ojca w ramię, wręczenie mu zamkniętej depešy — odbyło się, zanim przelknął.

— Dzień dobry, Mań... co to?

— Depesza.

— Niam, niam... — przelknął i odetchnął. — Zobaczmy.

Podczas gdy otwierał, Mańka z za krzesła zaglądała wesołemi, sprytnemi oczętami, podrygując na palcach, a biła od niej taka fala dziewczęcej niecierpliwości, że ojciec ją poczuł i odwrócił się na krzesło.

— Poczekaj, Manieczko! może coś wcale nie dla ciebie.

— Ee, proszę tatki! stara już jestem, mogę wszystko wiedzieć.

Żywy prawie, jak córka, ale raczej podległy tyranii Manieczki, niż nad nią panujący, pan Józef powstał żwawo z krzesła, poszedł do okna i przeczytał dla siebie tekst depešy:

»Przyjedziemy Sławoszewo czwartek południe w wiadomej sprawie. Sprowadźcie Rykonía. Jerzy Godziemba — Alexander Leśniowski — Czesław Młocki.«

— No, możesz to wiedzieć, Maniuś, a nawet koniecznie: trzech druhów przyjeżdża do nas pojutrze o południu. Potrzebne: obiad, kolacya i pokoje gošcinne.



— A widzi tatuś, że mogłam odrazu... Cóż to za panowie?

— Dwóch od Sasa — statyści, jeden od lasa — fircyk. Nie wiem nawet, jak się z tamtymi zabrał.

— Który? który?!

— Proszę, proszę... zaraz mi do fircyka córuchna... No, Leśniowski Oleś — nawet sławny tancerz.

— To będzie i zabawa! — klasnęła w ręce Mańka — zaprosiły i Drobińskich? — We dwie panie można już potańcować.

— Gdzie zaś? — Dopominają się o Rykonnia, będzie narada o domu ludowym.

— Ale po naradzie?

— No, wieczorem, przydałaby się i pani Kara Drobińska dla ożywienia towarzystwa. Można jeszcze kogo...

— Tak, tak, tatusiu! coś i dla Mańki!

— Pomyślimy.

Tymczasem Mańka stanęła przed dużym lustrem, sięgającym posadzki, i przyglądała się swej postaci, bardziej strojnej młodością, niż perkalową sukienką i fartuszkiem białym, poplamionym karmazynowo przez wiśnie, gotowane na konfitury.

— W fartuszkę tym nie pokażesz się gościom, córuś.

— Gdzieżby znowu!

Odparowała fartuszek błyskawicznie i stanęła w całej ozdobie swej postaci niezbyt wielkiej,

ale smacznej w proporcjach, szczerze obiecującej przez niekunsztowną sukienkę. W twarzy gładkiej, mocno barwnej, jakby z dwóch wydętych płatków róży złożonej, nikły drobne rysy, tylko wszystko w niej się śmiało: niebieskie oczy, białe ząbki, poczciwe i energiczne dołeczki. Jasne, jedwabne włosy skręcone były tak pośpiesznie, że gdzieś na wierzchu głowy, trochę na lewo, sterczała płowa kitka, niby obfity kłos dojrzałego zboża.

— I włosy trochę inaczej — dodał Broniecki, wpatrując się z lubością w córkę — najlepiej tak *à la grecque* — wiesz?

— To mam znowu te fałszywe karakuły przyczepiać?! — niecierpię tego!

— Masz tobie! karakuły! — parsknął Broniecki — wszystko, co usłyszy, powtarza, jak papużka! To ja o pani Drobińskiej mówiłem, bo ma włosy czarne, jak heban. Ale gdzież do twoich jasnych kudełków karakuły?! Trochę zawsze loczków przyczep, córuchno, kiedy taka moda. Trzeba im pokazać, że jesteśmy Europejczykami — o!

— A na obiad niema ryby! — zawołała Mania tragicznie.

— Musi być! Od czegoż mam córkę sławną gospodynią?

— Pójdę sama łapać.

— Łap, co chcesz, byle mi ciebie nie złapano zaraz z domu.

— Nie tak łatwo, fiu, fiu! — zagwizdała

Mańka zarozumiale, choć oczy jej śmiały się zbyt odważnie do niebezpieczeństw.

Młodszy służący, Wicek, oznajmił, że bryczka dla jaśnie pana zajechała. Broniecki dopił kawę i siadł w małą, jednokonną bidkę, którą sam powoził. Chciał osobiście dojrzeć żniwa.

Świeżo jeszcze było na drogach i polach, póki rosa nie oschła. Ulubiony kasztan Bronieckiego niósł go tak ręczo przez napojone woniami rozłogi, że zdawał się wymykać z obłoku pyłu, który podnosił, a mknąć przez dziedzinę samych tylko czystych, roślinnych zapachów, zaprawnych trochę wonią domową i przyjemną świeżo smarowanego juchtowego fartucha. Furkała bida, mało podskakując na dobrej drodze, ciągnęła ku sobie oczy ludzkie, zradka rozsiane po krainie, i nikt, zblizka, czy zdaleka, nie mylił się:

— Patrzajta! — dziedzic ci wrywa.

Bo ktoby tak gnał i w tak wybornego kasztana?

Trzeba być zatwardziałym ekonomistą, aby się cieszyć tem ogromnem spustoszeniem kras polnej, które nazywamy żniwem. Gdzie jeszcze nie przeszły wężowo syczące kosy ręczne, gdzie nie grasował rytmiczny kościotrup kosiarki, najbogatsza odzież ziemi pyszni się i połyska wierzchnią pozłotą, wabi w swe nizkie gąszcze, w których słońce więźnie płowym mętem. A tu już zabójcze narzędzia uczy-

niły ogromny wylom i odcięły od fali żywej zżęte pole umarłe. Wesole to poprawdzie umieranie: kładzie się pokolenie kłosów w bujne pokosy, przetkane kwieciami i badylem, z ledwie dosłyszalnym szmerem, niby westchnieniem; za zgrzytem siekącego żelaza idzie słodki śpiew dziewczyn, wiążących snopy, lekkomyślnych pomocnic śmierci.

Broniecki nie dumiał tak po literacku, gdy, dotarwszy do żniwa, oddał konia z bidą karbowemu, a sam dochodził piechotą po świeżem, soczysto chrupiącem pod butami ścierniu. Tylko, gdy zauważył, że gwary i śpiewy ucichły za jego zbliżeniem, zawołał energicznie i wesoło:

— Drzyjcie się dalej, dziewczuchy!

I stwierdziwszy, że żniwiarka, pod osobistym nadzorem pana Wierzbowskiego, działa wzorowo, podcina równo i nisko, że kosiarze ręczni docinają też prawidłowo skrawek pola nieobjęty przez maszynę, wyprzedził cały roboczy szwadron i poszedł miedzą aż do macicznego rowu, który przecinał ogromny łan pszenicy i miał być kresem dzisiejszego zadania żeńców. Nad obiema burtami zielonego wądołu stało jeszcze murem złote zboże, cicho pod upałem; tylko skoczny pokrzyk przepiórki rozlegał się w niem przenikliwie, tłómaczony przez obłudnego człowieka, jako:

— Pójdźcie żąć! pójdźcie żąć! a w istocie znaczący zupełnie co innego.

Staął sobie Broniecki na brzegu polnego kanału samotny, zasłonięty zupełnie przez wysoką pszenicę od widoku żeńców. Może tam tylko dziedzicowy kapelusz wyglądał do nich zdaleka nad powierzchnią łąnu i straszyl — nie straszyl, lecz przecie trochę napominał do pośpiechu. Zadumał się Broniecki nad żniwem: po wierzchu jego duszy migał przypuszczalny rachunek, ile też pszenica »Banatka«, sprowadzona z Węgier, sypnie mu korcy z morgi — ale na dnie duszy śniło inne rojenie. Jeszcze w pełni lata ściele się już droga po ściernisku nadciągającej jesieni. — I on sam, jeszcze w pełni wieku, chylić się zacznie wkrótce ku smutniejszej życia porze, która się już nową wiosną nie odmłodzi. — Te ci, psia-kość, grzeszne cielsko rozrasta się niepotrzebnie, aż rozpycha ubrania, które przez lat dziesięć nie wychodziły z formy. Brzucha nie ma? — nie, ale kości jakoś się rozszerzyły, czy co?...

A tu krew kipi jeszcze, jak za młodu, kiedy doberze się kompania przyjazna i wino zacne, albo kiedy znowu zawabi jaka samiczka, mniej czuła na podrygi fircyków, a bardziej na męskie, dojrzałe zalety i... pozycyę. Jeżeli przypominni się natrętny, dziedziczny artretyzm, chlujesz na niego winem i odpędzisz; jeżeli powikła się tam miłosne przedsięwzięcie, potarga trochę za serce i nerwy — także furda! W każdej chwili, codziennej, czy świątecznej, wcze-

snej, czy późniejszej, jest coś godnego kochania. Zachować w sobie tylko mocne przekonanie, że świat jest dla wszystkich, nie tylko dla niedoroslých fircyków, którzy nie wiedzą nawet, co piją, gdy piją.

I oddał się cały rozkoszy chwili. Upał, niby lotny miód, ogarniał go zewsząd przedziwną, bez prądów, kąpielą. Czy z powodu mniej dokładnej przy rowie uprawy, czy przez propagandę pogranicznej dzikiej darni, zboże było tu podszyte dobozem kwitnących chwastów, niemiłych sumieniu gospodarza, ale silnie kuszających zmysły, jak wszelkie posiewy Szatana. Barwne miodowniki i kąkole buchały pijanym zapachem, a wiotkie chabry zerkwały kobiecym błękitem; od stoku rowu wpełzały głęboko w zboże szlaki stokroci i kępy końskiego rumianu — całe pokolenia wesołych, grzesznych kwiatów, gorszących uczciwe zboże. Broniecki, srogi agronom, lecz nie całkiem pochłonięty przez zimną rachubę, uzałił się nad kwiatami, które dziś zginą pod kosą, z pszenicą pospołu — legł na stoku rowu i rwał garściami najbarwniejsze. Przydadzą się na wiązanki Manieczce, a nawet te niezapominajki z dna rowu cudnie przystroją serwis kryształowy, który dobędzie się dla zastawy stołu na przyjęcie gości.

Tymczasem w gęstwie łądyg pszennych zamigotał przy ziemi jakiś ruch szary, dostrzeżalny tylko dlatego, że cały łąn stał nieruchomy — na krańcu zboża, przy rowie sta-

nęła kuropatwa, skulona w swem gładkiem futerku, osłupiała. Od świtu prowadząc swe tegoroczne pokolenie znajomemi ścieżkami przez stopy pszenne, oddalała się od zgiełku żniwa ku bezpiecznym przepaściom wielkiego kanału. Aż gdy do nich dotarła, widzi: na zielonym stoku leży ogromny człowiek. — Spojrzała mu trwożnie w oczy i ptasim, jednak przezornym mózgiem pojęła: niezły jakiś człowiek, uśmiecha się i rwie kwiaty — pewno mu do pożywienia potrzebne, jak nam poronione przez kłosa ziarnka — frunęła mu prawie ponad głową na przeciwległy brzeg rowu i zapadła blisko, dając znać swemu potomstwu stłumionem fiuknięciem, że można tędy. Więc za nią kurki mniejsze wysypały się z pszenicy szarem gronem, niby tłustych bałków wierzbowych i, mniej do lotu skore, przewinęły się różańcem po zielonych kobiercach rowu na miejsce, gdzie wabiła je matka.

A Broniecki leżał cicho, uśmiechnięty, myśląc o rzeczach pogodnych, jak oto, że dużo będzie kur na jesienne polowanie, bo stada liczne i zdrowo już teraz podrosły — że to ładne, a nie często się uda widzieć z tak blisko — że dobrze człowiekowi przy samej ziemi, na jej łonie żywnem, matczynem, pospołu ze zwierzem i kwitnącem zieleń.

Naraz przypomniało mu się, że pojutrze ma naradę, na którą trzeba nawet trochę się

przygotować i zaprosić jeszcze paru mądrali — —

— Na ten upał sprawy publicznej! — Żeby choć po naradzie dobrze pić chcieli — ale to wszystko, żal się Boże — abstynenty!



II.

Tegoż pięknego poranku Jan Rykoń wyszedł bardzo wczesnie z kosą na swoje pole. Było tam sporo do skoszenia, dziesięć bez mała mórg żyta już dojrzałego, a póki się to zbierze, już i pszenica na pięciu morgach dojdzie. To też Rykoń miał do pomocy dwóch parobków: Ignacego Fudałę i Michała Bembenistę, chłopów tęgich, chociaż Bembenista trochę się rozwydrzył, chodząc dawniej na miejskie zarobki, i gębę miał skorą do polityki, ale, gdy się szczerze jął kosy, silniej robił, niż Fudała.

Dobrze się posiliwszy mlekiem i chlebem z masłem, szli we trzech, ubrani jednakowo w filcowe kapelusze, spencerki amarantowe i koszule, puszczone na parciane portki, bez wierzchniej odzieży, ze względu na prażący już ze wschodem słońca upał. I niebawem stanęli przed łąnem żytnim, siwym zupełnie od dojrzałości, ugiętym po wierzchu okrągłą falą pochylonych kłosów.

— No, w imię Boże — —

Zaciął pierwszy Rykoń od miedzy gracko, zajmując kosą prawie sążęń szerokości, i cichał tak, sporo przystępując, aż się oddalił od miedzy na długość pręta.

— Tera, Michał, zażynaj!

Machnął Bembenista o sążęń na prawo, docinając do usłanej już drogi Rykoniowej, a gdy wysiekł nową prętowej długości, na trzeciego ruszył Fudała. Świstały zgodnie kosy, rzadko kiedy minęły się głosem — i słał się w głąb żyta gościniec szeroki, czołem postępujący w trzy schody, przekreślony dwoma nasypani bujnych pokosów. Gdy doszli do końca łąnu, Rykoń stanął, wyjął z za pasa oselkę i zaczął ostrzyć żeleziec. Za jego przykładem poszli parobcy i rozległ się po cichem polu ostry zgrzyt metalu, uragający powietrznej melodyi skowronków.

— Docinaj-no, Michał, jak się patrzy! — warknął Rykoń, odrzucając butem pokosy Bembenisty i okazując pod nimi zbyt wysoki grzebień ściernia. — Patrzaj! Ignac zgolił, jak brzytwą.

— Ale nie ma tej szyrokości zajęcia, co moja — bronił się Bembenista.

— Bo tyli nie urósł, co ty. No dalej!

— A nie ciągnijcie-no za sobą tak ostro, gospodarzu — aż dech zapiera — wypraszał się znowu Fudała.

— Widzicie go! pochwalić tylko, już go zapiera!

Zagrały znowu kósy potrójnym świstem, żeńcy wcinali się coraz głębiej w łan, poważnie i zajadle. — A pies Kasztan, pozostawszy na miedzy, spoglądał za kosiarzami i długo się namyślał: poco on tu przyszedł? Był z rodu Owczarskich, ale że owiec gospodarz nie trzymał, Kasztan nudził się trochę w Rykoniowej zagrodzie, jak każda istota bez zajęcia i wykolejona. Przeżyć się w bogatej chacie było nietrudno, ale pies nie miał ani szacunku, ani miłości u ludzi. Nie wesoły też był, ani dowcipny; lisią swą mordą zdawał się wyrażać namysł jakoby o zmianie służby. Pokłusował teraz napowrót do chaty ze zwieszoną głową, powłócząc ogonem. I nie znalazł tam nic, oprócz codziennych, obojętnych wrażeń.

Z chaty wyszli gospodarz i parobcy, a dziewczka służebna była też na podwórzu przy obrządku. Tylko stara Pawłowa, matka Jana, wielka mistrzyni od tkactwa, przędła już od rana na kołowrotku. Choć niedawno wszyscy wstali, chata była pięknie uporządkowana: pościel na łóżkach piętrzyła się bogato; długie, nakształt wańtuchów, poduszki rozpychały białe poszewki, okazując na krótkich bokach barwne swe wnętrzości, zasnurowane siecią wązkich wstążeczek, żółtych, czerwonych, zielonych i srebrnych. Przy angielskiej kuchni stał godny piec kaflowy na cztery boki — oboje te

raz zimne, jak najmniej rozgrzewane w te upały. W alkierzu oszklona szafa okazywała szeregi kwiecistych talerzy, sztorcem ustawionych na półkach, i cynowe łyżki, zatknięte w otwory specjalnie na to przygotowanej deszczki. Nad komodą obraz Częstochowski jaśniał złotem sukienek Matki i Dzieciątka, między dwoma płaskimi bukietami z papierowych kwiatów. I między innymi obrazami wisiały powycinane »stroje«, to w kształcie skrzyżowanych kwiecistych pasów z frendlami, to jako kwiaty pojedyncze, przypięte do ściany. Wisiały też między świętościami i w przystroju wypukłe medaliony Mickiewicza i Kościuszki.

Dobrze pachnęło w izbie i niezbyt jeszcze było w niej gorąco, bo okna otworzyła za pierwszego świtu stara Rykonina, która sypiać nie mogła tak twardo, jak młodzi, i wstawała razem z zorzą. Więc nabrało się do izb świeżości nocnej, mocno ziołami i zbożami zaprawnej, i świeżość ta topniała w chacie powoli. Teraz od strony rozgorzałego już słońca przymknięto okiennice z zewnątrz, a okna otworzono do środka, więc światła było skąpo, tylko od szpar w okiennicach szły przez izbę dwa świetlne kroje, mętne w powietrzu, jaskrawe zaś na czystej podłodze i na barwnie ozdobionych ścianach.

Dochodziły z za ścian do wnętrza chaty różne głosy: kłopotliwe gadanie drobiu, opo-

zycyjny pomruk świń, czasami dziarskie rżenie ogiera albo gwałt podniesiony przez psa z niewiadomego powodu. Głosy te słyhać było tuż za ścianą, albo dalej i dużo dalej, bo osada Rykoniów leżała pośrodku wielkiej wsi Mielna. — W izbie zaś szeptał cichutko, jak przez sen, dobrze naoliwiony kołowrotek, i parę pszczoł, zabłąkanych z sadu, grało altowym akordem.

Przypomniały się Pawłowej drogocenne, białe kury, sprowadzone przez Jana aż z zagranicy. Sama ich doglądała, aby dogodzić synowi, któremu prowadziła gospodarstwo kobiece z pomocą najętej dziewczki, gdyż Jan, pomimo że minął już trzydzieści lat, dotąd nie ożenił się. Różnie gadano, dlaczego — ale matka musiała wiedzieć, bo na wszelkie w tym względzie zapytania odpowiadała milczeniem tajemniczem a pogardliwym.

Zabrała tedy w zapaszkę resztę krup jęczmiennych »na dodatek« dla owych kur i wyszła z chaty przed drzwi główne. Zanim okrzyki domostwo i uda się na podwórze, spojrzy na dzień boży radosny. Stała przed drzwiami na brukowanym podjeździe, prostokątnym i wzniesionym nad poziom głównej drogi wiejskiej na kształt tarasu. Znała ten kraj już od lat z górą pięćdziesięciu, bo w Mielnie się rodziła. Ale za jej pamięci zmienił się i wypiękniał. Zamiast drogi krętej i błotnistej, dobrej znajomej z lat młodych, jaka ci teraz szosa

galanta! — będzie jej ze dwie wiorsty w klamrę. I chat już niema tych dawnych, małych, z szerokimi okapami na kroksztynkach, same dzisiaj domostwa pod sznur wyrzutowane, »bielone na niebiesko«; a jakie bramki, a sztachety, a murki z kamienia naokoło osad! Osady zaś Rykoniowej i poznaćby trudno, gdyby tu kto od lat dziesięciu nie był: sad, szkółka owocowa, pasieka i dachów sześć, z których jeden osobny na parnik paszy dla bydła!

Dziwowała się Pawłowa coraz nowym przeistoczeniem wsi rodzinnej, ale nie gorszyły jej bynajmniej. Tak być musi, bo do tego prowadzi jej syn ukochany, Jaśko, któryby już i wójtem powinien być, gdyby nie naród sąsiedzki ciemny. Pomagała mu całą siłą rąk, jeszcze sprawnych i niewygasłego matczynego serca, starczyła za młodą gospodynię w domu i około domu, a już co do zamiarów szerszych, robót gromadzkich, gdzie Rykoń był naczelnikiem wszędzie, matka patrzyła tylko z uwielbieniem w oczy syna, czego on chce i dokąd prowadzi.

Dobrze jej było wprawdzie z dostojnością jedynej gospodyni w chacie, lepiej jeszcze, niż za nieboszczyka Pawła, ojca Jaśkowego, ale nie zamyslała nigdy stawiać przeszkód, gdyby Jan wybrał sobie nareszcie żonę. Nie wybrał dotąd — to było dla matki prawem. Tymczasem dla gospodarstwa prawie że lepiej: matka w niem pracowała gorliwiej, niż dla siebie, bo dla ukochanego syna; jako starucha, nie

potrzebowała zabaw, ani strojów; reszta domowników była najemna. Jeżeli tylko dwaj parobcy albo dziewczka chybią w robocie lub uczciwości, można ich odprawić. Rykoń był stateczny i majątek rok rocznie pomnażał: już dokupił do czterdziestu dwóch mórg ziemi, a inwentarza ciągle przybywało. Więc, widać, Bóg błogosławił gospodarce, choć w stanie kawalerskim.

Przechodziły czasem Pawłowej wątplenia przez serce, czy Jaśko, ciągle zajęty pracą dla siebie i dla innych, zawsze samotny w swem łożu, jest należycie szczęśliwy? — Przepytywała się o gospodarskie córki co przedniejsze, upatrując między niemi kandydatkę na synową, ale Rykoń nie spojrzał na żadną. I nie dziw, bo któraż była go naprawdę godna? — Żarliwa troska o zadowolenie syna naraiła już nawet matce pomysł nie całkiem bogobojny: niby nieumyślnie przyjęła w roku zeszyłym za dziewczkę do pomocy Maryskę Szustaczkę, córkę komorników, więc na żonę dla Rykonia wcale niemożliwą, ale bardzo gładką i zalotną. Niechta ma synaczek choć na co czasem popatrzeć w chacie, dla wesołości. Próba udała się niefortunnie: gospodarz nie zwrócił uwagi na dziewczkę, chociaż go na pokusy wodziła ciągiem, to w lecie ze śpiewką po nocy, to w zimie przed świtem paląc w piecu podle łoża, gdzie Jan spoczywał. Zato wyszło na jaw wkrótce, że Maryska zadała

się z parobkiem Wieteską. Zmuszono Wieteskę do ożenku z Szustaczką i oboje wydalono z chaty. Poczem stara Rykonina przyjęła na służbę Anastazję, dziewczkę mocną, pracowitą i skromną, ale tak pokraczną, że jej nawet Bembenista, chłop rozwydrzony po miastach, nie zaczepiał. A matczynsko myślało sobie o synku: musi tam on już święty być, albo inne mieć pociechy, kiedy z domu wyjeżdża?

Miała syna ciągle na pamięci, przeczuwając go raczej, niż rozumiejąc. I teraz szukała go oczyma w wiadomym kierunku, gdzie poszedł dzisiaj kosić, pod Kościelnem, zamykającym świat od północy szeregiem dachów i wieżą świątyni, wzniesionej niedawno przez gminę, a tak wspaniałej, że i z kolegiatą Łowicką o prym walczyła. Ale darmo było wypatrywać na wiorstę oddalenia i przez mur żyta wysokości tegoż chłopca. Jenó słały się po polu barwy, mokro połyskujące, jeno płynęły wone nateżone.

Zręby domów bliższych, pociągnięte niebieską farbą, często rzeźbą ozdobne na drzwiach głównych i na okiennicach, błyskały radośnie. Szeregi dalsze zlewały się w poziomy pas lazuru, odcięty od nieba tej samej barwy szarym pasem strzech, to znowu pokreślone słupami drzew przydrożnych, przetkane zielenią sadów. A wewnątrz tej ogromnej klamry z lazuru, popiołu i zieleni iskrzył się pasiasty kilim zbóż rozmaitych, dziany amarantem koni-



czyn, mlecznym szmaragdem jęczmion, szczerym majem lnu, na przeważnej osnowie zbóż płowych i złocistych. Tu i owdzie ludzie, drobni, jak owady, toczyli kobierzec żniwiarską robotą, ścieląc za sobą prostokątne, wyżarte plamy.

Niemłoda była już Pawłowa, już o szczęściu dla siebie bezpośrednio nie myśląca, a jednak ją w taki piękny dzień nosiło. I tak się zagawroniła przed siebie, w zbożową dal, zamiast krupy nieść kurom, aż nie spostrzegła, że do jej progu zdąża po głównej wiejskiej drodze jaskrawa postać kobieca. Dopiero gdy kobieta doszła do pierwszego słupa Rykoniowego frontu, Pawłowa jęła się jej przyglądać badawczo:

— Kie lichy? przybrana z gostyńska, a z parasolką? —

Dorodna dziewczyna miała na sobie sukienkę jednobarwną zieloną z czarną aksamitką, naszytą na wysokości kolan i stanik z adamaszku »bladego«<sup>1)</sup> w złote kwiaty. Czerwone sznurowadła obciskały jej zgrabne trzewiki aż do łydki. Tylko zapaskę miała w »brązki«<sup>2)</sup>, lowicką, bo i w Gostyńskim noszą takie sa-

<sup>1)</sup> Włóścianie z pod Łowicza i Gostynina nazywają »bladą« barwę różową.

<sup>2)</sup> Różnobarwne tęczę wążkich pręg na tle zasniciem, zwykle żółto-pomarańczowem. Brązki = prążki (także »mrażki«).

me — i obcisłą na głowie »salinówkę«<sup>1)</sup> z końcami, puszczoneymi na plecy, wedle wspólnej mody obu ziem sąsiednich. Nie zwracały też na siebie szczególnej uwagi, gdyby nie wyjątkowa świeżość ubioru i parasolka rozpięta nad głową. Bo że śmignęła była i gładka, że wesełiły się ciemne oczy, a usta jakoby drapieżnie śmiały się do życia — to nie dziwota w okolicy, gdzie pięknych dziewczyn jest tyle, co maków w polu.

Doszła do progu i Rykoninę pocałowała w rękę. Dopiero się stara ocknęła z podziwu:

— Na wieki... Ano tak i myślałam se: Magdusia ze dworu. — Cóżście się to panna tak wystroili po naszymu?

— Mówcie mi, matko, po imieniu — toć od dziecka wam znajoma. — A kiedy idę do Rykoniowej chaty, jakżebym szła, jeżeli nie po naszymu?

Gospodyni spoglądała niby łaskawie, ale z odcieniem niedowierzania:

— Z czem przyszaś?

— Dziedzic mi oddał list do waszego syna.

— W polu je, przy żniwie.

— A kędy?

— Daleko, o tam, pod Kościelnem... Pismo ostaw, to się wieczorem odczyta.

— Kiedy mi dziedzic kazał przynieść zaraz odpowiedź —

<sup>1)</sup> Lekka chusta wełniana lepszego gatunku.

— To się przy okazji pośle w pole, a z odpowiedzią znajdziemy posłańca do Sławoszewa.

— Kazali mi samej...

Pawłowa patrzyła na każdą młodą, dorosłą dziewczę ze stanowiska, czy mogłaby to być żona dla Jaśka. Ale stosowała przy oględzinach tak wysokie wymagania, że jej się właściwie nie podobała żadna. Magda zaś Olczakówna, córka ubogich rodziców, nie Księżniczka, służąca przy paniencie w Sławoszewie, mogła mieć pewien polor towarzyski, mogła umieć czytać i pisać — kobiecie to mało na co zdatne — ale pewnością już się rozbałamuciła na dworskim lekkim chlebie — ani wiana, ani gospodarskiej godności nie posiada. I bardzo jej jakoś pilno do osobistej rozmowy z Janem.

— Jakżeś to panna przeszła tyli kawał drogi, że i kurzu nie znać na trzewikach?

— Podwieźli mnie do chaty Gładocha, a stamtąd już do was niedaleko i szłam ostrożnie.

— Patrzajcie, jaka alagantka! — a zapaska to chyba u nas tkana?

— Nie, matko, w Sławoszewie, mojej własnej roboty.

Pawłowa ujęła w doświadczone palce wełnę pasiastego fartucha, pomacała, pogładziła i nie znajdując nic do zarzucenia tkaninie, pokiwała poważnie głową.

— No, wejdz se do izby dla odpoczynku. Ja tylko te krupy kurom rzucę.

Magda wchodziła tu po raz pierwszy. Rykoniów znała z kościoła, Jana widywała nierzadko u dziedzica w Sławoszewie, ale w chatcie ich nie była. Ogarnął ją półmrok tem gęstszy, że przez godzinę miała w oczach jaskrawy blask słońca. Cisza, ład i zapach zielny przejęły ją uszanowaniem niby religijnem; spotkawszy oczyma złoty obraz Częstochowski, mimowolnie pochyliła głowę i przeżegnała się. Dużo chat widziała w życiu, pochodziła z chaty, ale to wewnątrz wydało jej się najdostojniejszym, choć zimnem. Trudnoby się tu rozśmiać, albo zaśpiewać, jak w garderobie w Sławoszewie, pełnej gwaru, gałganków, wstążek i zapachu prasowanej bielizny. Tutaj chyba tylko pracować i modlić się... Dopiero łóżko bogato zaślane, z pewną zalotnością, przypuszczalnie łóżko gospodarza, wywołało uśmiech na usta Magdy:

— Także ci chłop dziwny...

Powróciła do izby Pawłowa i zaczęła się znowu certacya o doręczenie listu.

— Pozwólcie mi, matko, iść tam, gdzie kosa, i list oddać. Mówiła mi panienska, że stoi tu o ważnej sprawie, nie dworskiej, jeno ważnej.

Pawłowa ujęła się za podbródek i dobre pięć minut namyślała się, spoglądając to na wystrojoną dziewczynę, to na list, który ona

dobyła z kieszeni, to na zegar. Aż z ukrytych przesłanek wyłonił się głośny wniosek:

— Ano, chyba weźmiesz mi dla nich dwójki ze śniadaniem? — — Tobym już nie szukała, przez kogo posłać.

— Zaniosę, zaniosę — odpowiedziała chętnie Magda.

— Poczkażcie jeszcze z pół godziny.

\* \* \*

Drózką polną, napoły zarośniętą, szła Magda z dwójkami, pod parasolką, w kierunku do Rykoniowego żniwa. Tu i owdzie kosiarz przerywał sobie robotę i, wsparty o drzewiec, przeprowadzał zadziwionemi oczyma niezwykłą służebnicę w wyszukanych szatach. Starszy chwiał głową, zgorszony, że takie ci obyczaje nastąpiły; młodszy się rozdziawił, albo i huknął ochoczo, bo co mu tam ubiór taki, lub owaki, kiedy dziewczyna śmiga gracko, a szeroka jest w biodrach, a z oczu żar sypie, aż go czuć i przez upał niebieski. Dopiero gdy Magda, powiadomiona o Rykoniowym dziale, już do niego się zbliżała, zamknęła parasolkę, uczepiła ją sobie za taśmę fartucha i szła rączko w złotych haftach swego stanika, w obfitym tulipanie nawieszonych kiecek i wełniaków, podobna do dzwonka, któryby sunął polem i ogłaszał wesele.

Siekąc mur żyta potrójnym wrębem, Ry-

koń, Bembenista i Fudała przystępowali do Magdy powoli, mocno, w rozkołysanych na boki pokłonach; ona zaś szła do pierwszego na czele Jana, lekka i radosna zwiastunka od-poczynku. Już ją spostrzegł i poznał, lecz nie przerwał roboty, tylko skinieniem głowy ją powitał. Dopiero, gdy zbliżyła się na pół pręta, ostatni, potężny pokos srebrnego żyta podesłał jej pod nogi i stanął.

— Dzień dobry, gospodarzu. Przynoszę wam śniadanie z chaty i list od dziedzica ze Sławoszewa.

— Dzień dobry. Za jedno i za drugie dziękuję wam, Magdalena.

Uznojoną dłoń otarł o bieliznę i podał dziewczynie. Z ociekającej potem, całej wygolonej twarzy, oczy mu błyszczały uprzejmie, lecz wyniośle, wargi z pańska rzeźbiły wyrazy. Pan ci to był, choć w przemokłej do nitki koszuli, chociaż z kosą w ręce, drżącej od wysiłku. I śmiała, dworska dziewczyna spuściła przed nim oczy.

Na zielonym stoku rowu, pod chudym cieniem gruszy, otoczonej tarniną, legli wszyscy na trawie około dużych dwójaków, rozwiniętych z płachty. Okazało się, że zawierają jajecznicę i kwaśne mleko.

— Nie pogardzicie naszą strawą, Magdalena — rzekł Rykoń.

Zapraszał tak stanowezo, że Magda, choć syta jeszcze po śniadaniu w Sławoszewie, nie

śmiała odmówić. A że brakło dla gościa łyżki, Rykoń podał swoją dziewczynie, która zaczerpnęła z garnka mleka i przegryzła chlebem. Mleczny puch otoczył jej czerwone wargi, znacząc miejsce najponętniejsze w twarzy. Poczwała to Magda w roziskrzeniu ciemnych oczu Bembenisty, zwróconych na jej usta, i otarła je śpiesznie odwrotem dłoni.

Tymczasem Rykoń biegle przeczytał list Bronieckiego i rzekł do Magdy:

— Powiedzcie panu waszemu: będę. I dajcie objaśnienie, jakoście mnie zastali w polu przy kosie, więc że na list pismem odpowiedzieć nie mogłem.

— A chybabyście patykiem, w czarnej ziemi umaczanym, pisali na koszulce oto tej panny — wtrącił Bembenista i zaśmiał się, ale sam tylko, bo inni słuchali uważnie, co dalej powie Rykoń.

— I powiedzcie jeszcze, że ja sam od siebie radził będę, bo między sąsiadami są nieświadomione i ciemne, a ja plenipotencyi od gromady nie mam. Spamiętacie?

— Cobym nie miała spamiętać? Przyjedźcie i powiecie sami, jaka wasza rada.

— Dobrze i tak — machnął Jan ręką.

Magda dodała zalotnie:

— A teraz jedźcie, gospodarzu, bo wam te kawalery całą jajecznicę sprzątną.

I szukała oczyma, o coby tu otrzeć łyżkę,

którą dopiero co jadła. Ale Rykoń wyciągnął rękę:

— Nie chcecie już? to dawajcie łyżkę.

I jadł nią bez wszelkich pozorów wzruszenia, że łyżka zachowała jeszcze trochę ciepła i śladów ust pięknej dziewczyny.

Magda przyglądała się Janowi i myślała:

— Jakiś człowiek z kamienia...

Dopiero gdy przejrzało dno garnków, ozwał się Fudała, chłop przemyślny i nieco leniwy, dla przedłużenia odpoczynku:

— Oj, dobrze mówicie, gospodarzu, że naród nasz ciemny! Nie wam to być wójtem, zamiast Skierskiego, który tyle, że siwy i gębę ma dla naczelnika pochlebną.

— Dobry i Skierski — odrzekł Rykoń — żeby tylko lepiej czytać umiał i pisarzowi nie dał się za nos wodzić.

— Toć wam i gadam: żebyście wy byli, inakszeby czasy nastaly.

— Nie do wójtostwa mnie pilno, jeno do pospólnej roboty.

— Oj, do roboty! — ziewnął Bembenista — zawždy do roboty! Żeby to człowiekowi kiedy jaką pospólną zabawę »ustroili«!

— A my właśnie jutro w Sławoszewie o takim domu radzić będziemy, gdzieby i zabawa była, i nauka, i miejsce zebrań dla całej gromady.

— Furda! — krnąbrnie zawołał Bembenista — co wy tam z panami uradzicie? Oniby

nam, wedle swojego gustu, taką poradzili zabawę: zabawcie się, chłopcy, w koniki i zaciągnijcie nasze buraki do fabryki — o!

— Ja tę gadkę już słyszałem od pana Czemskiego z Niespuchy. Pewność, Michał, z nim gadał? — spokojnie, lecz twardo rzekł Rykoń.

— A żebym i gadał, to co?

— Można z nim gadać, bo człek przychylny; ale młody i głupstwo palnąć potrafi.

— Ho, ho! kończył ci on szkołę jaż za granicą i o prawach tamtych robotników wie dobrze — bronił Bembenista Czemskiego.

— A jednak w mowie chybia. Już tych panów niema, coby w nas, jak w bydłeta, orali. Ani my głupi dać się zaprządz, ani oni głupi, żeby wierzyli, co im się to uda. Tylko wam mówię, bom sobie mocno to rozmyślił i zsumował: każdy, chłop czy pan, ma swoją sprawę przy skórze, a inną większą mają wszyscy razem. Tę my i z panami mamy pospólną.

— Toście mądrze powiedzieli — przytwierdził pochlebca Fudała.

Ale Bembenista przypomniał sobie o swoim rozumie, w miastach i na bandosach wyszkolonym, z którego był dumny, i bez względu na powagę gospodarza zawołał:

— Ja tam do panów, ani do księży nijakiej potrzeby nie mam! Chcą nas napowrót w niewolę brać, a mądrale z naszych jeszcze im ta pomagają!

Zerwał się na nogi Rykoń, stuknął drzew-

cem o darń, aż kosa zadzwoniła, i z warg zaciętych sypnął słowem, jak grad ostrem:

— Stul pysk, kiedy nie rozumiesz, co ci w uszy kładą i, jak kto w cię dmuchnie, tak brzęczysz, kiej ta trąba!

Spojrzał Bembenista od ziemi na Rykonia, który mocny był i żylasty, jak koń, a rzadko się gniewał.

— Ja przecie nie do was, gospodarzu...

— I lepiej, że nie do mnie. — — No, wstawaj! Tu dziś nie rada, jeno robota, żniwo.

Stanął na swym wysieczonym szlaku, poczekał niedługo na parobków, a gdy każdy doszedł do swojego, zaświstała znowu rytmicznie kośba.

Olczakówna, o której w ferworze rozmowy zapomniano, siedziała cicho, przyglądając się Rykonowi, jak czytał, jak gadał, jak robił kosą. We wszystkim chłop naczelny! Tylko dziwnie na jej wdzięki nieczuły. — — Toć wiedziała przecie, w dwudziestym roku życia, jak to mężczyźni zerkają z podełba, a kręcą wąsa, a przestępują z nogi na nogę, a czasem i głupieją, gdy na którego spojry po swojemu. Nietylko chłopci — nawet sam dziedzic Sławosze-wa i jego goście. Każdy, który ją widział, kiedy powraca, zapytuje: czy jest tu jeszcze u was ta ładna Magdusia? A Rykoń — kawaler przecie i chłop setny, tyle tylko, że ją poczęstował śniadaniem i grzecznie gadał — ale tak zimno! — nie pochwalił ubioru, który dla niego

przydziła — — nic — nawet na pożegnanie zdaleka tylko głową kiwnął, od roboty, powiedział, żeby dwojaków nie zabierała i — ostańcie z Bogiem!

Wzdychała Magda z rozczarowania, odchodząc pełną miedzą na przelaj do Sławoszewa.

### III.

Słońce, złoty dobrodziej, szeroką poświatą oblewało tego dnia ziemię Łowicką, więc i sąsiadująca ze Sławoszewem i Mielnem Niespucha opływała w słoneczną łaskę. Tylko ten kawał ziemi, mniej wdzięczny, nie odpowiadał słońcu taką bujnością drzew i łąnów, jak tamte, nie roił się takim mnóstwem istot żywych. Folwarczek, zdawna zaniedbany, dźwigał się widocznie ku lepszemu, bo między kilku budynkami zwietrzalymi stał nowy dom barwy wapiennej i kształtu klatki mieszkalnej, ogołocony z przystrojów zieleni, które gdy się latem do ścian i dachów przytula, śmieje się nawet chata urokiem bezpośredniego dzieła przyrody.

Stefan Czemski, nabywszy niedawno folwark, chciał w nim mieć mieszkanie odpowiednie do swych celów, bynajmniej nie romantycznych, lecz realnych, był bowiem z wykształcenia socjologiem, z powołania szermierzem emancypacyi ludu z pod nawału prze-

sądów, z pod przewagi klas feudalnych i klerykałnych. Dom, który sobie wystawił, był takim domem, jaki miećby powinien przysły włościanin wyzwolony. Na reszcie gruntu nie zdążył jeszcze wykonać swych rozległych planów dla cywilizacji okolicy. Tylko że już w przeszłym roku skwar i blask zanadto mu dokuczył, posadził tej wiosny naokoło domu chude klomby, które dopiero okazywały snopy różg zieleniejących.

Nie zajmował się osobiście gospodarstwem; do prowadzenia domu miał gospodynię, piękną Agatkę, którą odebrał prawie przemocą pewnemu proboszczowi z pod Grójca; w gospodarstwie zaś rolnem wyręczał go Maciej Durmaj, chłop uczony. Kilka włók ziemi trzeba było spożytkować tymczasem jako tako, zanim staną się... może fermą doświadczalną dla przyszłej szkoły rolniczej ludowej, może wzorową osadą kilku obywateli, którzyby własnoręcznie ten kawał ziemi uprawiali i dzielili się owocami pracy rąk swoich. Stworzenie tego braterskiego falansteru rolnego natrafiało tymczasem na duże przeszkody: najprzód trudny był dobór towarzyszy równie zapalonych, jak Czemski, do tego pomysłu; powtóre sam Czemski nie umiał ani orać, ani siać, ani kosić. Najwyżej młócićby potrafił — ale miał wątpliwości, czy w ten sposób zużytkowałby należycie nabyte przez kilka lat studyów wykształcenie uniwersyteckie. Tymczasem Niespucha była

sobie najpospolitszym folwarkiem, administrowanym według najstarszej metody.

Czemski miał dzisiaj gościa, profesora Edmunda Owocnego, który przyjechał rannym pociągami z Warszawy i, nie okurzywszy nawet podróżnego ubrania, zasiadł do herbaty i do ożywionej rozmowy.

— Zatem — mówił profesor krótkowidz, badając przez okulary bułkę, jak ciekawy preparat — pojedziecie jutro na tę radę do Sławoszewa — he?

Czemski wichrzył oburącz czarną, lśniącą czuprynę, marszczył energicznie czoło, to znów rękoma wyrabiał tak, jak gdyby w nich coś miał zawzięcie — i zwlekał z odpowiedzią.

— Jakżeż? — macie zaproszenie; rzecz całkiem naturalna: pojechać.

Czemski powstał z krzesła i przeszedł się po pokoju krokiem targanym, jakby jakieś zobowiązanie wobec ślepego profesora krępowowało jego ruchy. Zaoponował jednak uboźnie:

— Co nam właściwie szkodzi, że oni sobie wystawią w Mielnie swoim staraniem dom ludowy?

Znowu Edmund Owocny nie odpowiedział, tylko dłonie załamał i kiwał głową, a oszkolonym wzrokiem świdrował stół, jakby ubolewał nad niedojrzałością młodego towarzysza.

— Wiem, wiem — zawołał żywo Stefan — takie rzeczy winny powstawać z wewnętrznej

potrzeby i z inicjatywy ludu. — Ależ to przecie projekt sam przez się użyteczny, i nie noszą się z nim tylko tacy tam działacze z pod ciemnej gwiazdy, jak Godziemba, Młocki, ale przecie i Jan Rykoń, najteższa głowa w Mielnie!

— Tu nietylko głowy potrzeba — wyrzekł dobitnie profesor Edmund — trzeba szczerego ludowego serca. Rykoń jest opanowany przez zacofańców i feodałów, choćby przez tego Bronieckiego ze Sławoszewa.

— Broniecki? — wzruszył ramionami Stefan — dobry sobie człowiek; nie żaden generał stronnictwa — stary bursz, pochopny do roboty społecznej...

— Ale zapleśniały szlachcie! I wy, panie Stefanie, pozbyć się nie możecie waszej szlacheckiej duszy, która wam przesłania ideał nowego obywatela w Polsce ludowej.

— Niechże mi profesor nie wypomina mojego szlachectwa, o którym sam nic nie wiem. Nie mam do niego żadnej pretensyi. Mój ojciec jest lekarzem, dziad był żołnierzem w powstaniu. To przecie nie wstyd?

— Nie chodzi o genealogię — odparł profesor — lecz o duszę, umytą z wszelkich pleśni przeszłości. Ja naprzykład mam to szczęście, że nie pochodzę ze szlachty. Chociaż rodzina moja od kilku już pokoleń jest kulturalna...

— Więc znowu genealogia? — przerwał Stefan.

— Macie słuszność — mówmy o rzeczy. Zaledwem tu przyjechał na przegląd, wynika sprawa zadawnionego i wadliwego typu: kilku obszarników, dobrawszy sobie dla pozorów usłużnego włościanina, zakłada dom ludowy, w którym będą nauczali ślepego posłuszeństwa panom i księżom, urządzają zabawy, jak dla dzieci, odczyty, jak dla idyotów; a wkrótce zobaczycie, że w domu zagnieździ się jakiś sklep dla korzystnego zbytu dworskich produktów i spółka mleczarska dla sprzedaży dworskiego mleka.

— To dopiero zobaczymy — odrzekł Czernski — nie znam całego projektu.

— Wszystkie ich projekty dążą do opanowania ludu, nie zaś do rozwinięcia w ludzie samopoczucia własnej siły organizacyjnej, własnego ustroju. — Czy zapadła naprzykład uchwała gminna co do budowy tego domu?

— Nie; urzędowej uchwały nie było.

— A widzicie! Narzucają im swój pomysł, swoje jakieś feodalne dobrodziejstwo za pomocą ugłaskanego Rykonia! To haniebne!

— Phi... zamiar jeszcze niejasny — powątpiewał Czernski — ale skoro akcja niejasna, po dyabła mi tam jechać i brać udział w radzie?

— Jakto?! — aby skierować plan na właściwe tory, albo, jeżeli się wam to nie uda, cały plan rozwalić!

— Rozwalić?... — powtórzył pytająco Stefan.



Przeszedł się znowu nerwowo po pokoju, stanął, jeszcze poczekał i niechętnie jakoś zapytał:

— Jakże to profesor rozumie: skierować na właściwe tory?

Edmund Owocny skulił się, wpatrzył się znowu z nateżoną uwagą w swą szklankę herbaty. Tułów krótki, barczysty, głowa i twarz obrośnięte, ale strzyżone ogółem nakształt kosmatej gałki z wytrzeszczonemi fanatycznie oczyma — składały razem postać gnoma-filozofa. Okrągłe to i jędrne stworzenie powinno, co do swego stylu rysunkowego, mieszać z latarką, pod grzybem.

Zaczął cedzić przez zęby mniej stanowczo:

— No... skierować na właściwe tory... Czyż was uczyć potrzeba? — — Pobudzić lud do czynu, jaki się rwie żywiołowo z jego łona... Nie narzucać mu starych form życia, w które się jego duch nowy, historycznie twórczy, nie zmieści... Czytaliście artykuł »Uprzątnąć widma« w przedostatnim numerze »Ludowca«?

— Czytałem; to ogólniki.

— Jest mojego pióra — przełknął profesor. — Miał sympatyczne oddźwięki w rozumnej prasie i między naszymi czytelnikami — otrzymałem list od włościanina z waszych stron, Piotra Smagały...

— Nieszczególny człowiek — wtrącił Czemski — pijak i próżniak. Cóż pisze?

— No... cóż pisze — — prosi o bliższe

objaśnienia. — — Ale tak kończy: »my, ojcuzku, jesteśmy na każdy czyn gotowi i z wami pójdziemy choć do piekła. Się w sobie mamy i chęć. Dawajcie nam tylko światła, a pójdziemy«... Tak mniej więcej.

— Cóż z tego jest do rzeczy, panie profesorze?

— Poczekajcie... Naprzykład, sprowadźcie na tę radę w Sławoszewie takiego Piotra Smagałę, albo kilku jemu podobnych.

— To można — błysnął żywiej oczyma Czemski, czepiając się choć jednej rady konkretnej — tylko nie Smagałę, bo nie jest z Mielna, ale innych.

— Oczywiście, znacie lepiej swoją okolicę. I to jeszcze miejcie na uwadze, panie Stefanie: jeżeli kto, oprócz włościan, ma kierować realnie tą instytucją, to jedynie my, szczerzy ludowcy, nie obszarniki i księża.

— A więc znowu zasada kurateli nad chłopem, nie zaś samorzutna ich ewolucya? — rzekł Stefan.

— Zupełnie co innego — odrzekł profesor — nie kuratela, lecz pomoc bratnia. My, ludowcy, nie jesteśmy inną klasą, ani nie mamy innych interesów, jak lud. Ja naprzykład jestem zupełnie z ludu... z ludu przeszłości.

— Wszystko to piękne w teorii, ale jak profesor rozumie nasze kierownictwo w przedsięwzięciu cudzem, powstającym bez naszej inicjatywy i bez naszego udziału?

— Właśnie chodzi o inną inicjatywę.

Nadał się profesor od mocnego namysłu i, błędnym wzrokiem krótkowidza szukając oczu Czemskiego, zawołał, o ile mógł przy-  
milnie:

— A jakby to było, gdybyście zapropono-  
wali miejsce w Niespusze na postawienie do-  
mu naszego typu? — — Wszak nosicie się  
z myślą oddania waszej ziemi na użytek  
ludu?

— To jest pomysł! — zawołał Stefan, i oczy  
mu zapłonęły szczerym zapalem.

— Więc widzicie...

Ale do pokoju wtargnęła Agatka, hoża dzie-  
wczyna, z miejska przyodziana, i bez ceremonii  
zapytała głosem, który ujawniał jej niepo-  
ślednie stanowisko w domu:

— A proszę pana, na ile osób ma być obiad,  
bo już czas o tem pomyśleć?

— Pan profesor zje z nami obiad — od-  
powiedział Czemski.

Profesor powstał od stołu, zawadził guzi-  
kiem o brzeg talerza, ledwie go nie stłukł  
i, wyciągając rękę w kierunku do młodego  
głosu gospodyni, rzekł:

— Bardzo mi miło poznać; jestem Owo-  
cny — —

Agatka zapytała wzrokiem Stefana i, za-  
chęcona jego skinieniem, podbiegła i podała  
profesorowi rękę.

— Mój minister spraw wewnętrznych —  
przedstawił Stefan.

— Powabne sprawy — odpowiedział pro-  
fesor, opatrując zbliżka pełne i zgrabne kształty  
diewczyny.

Ona zaś, dobrze usposobiona przyjęciem,  
zapytała wesoło:

— A co by też panowie chcieli na obja-  
dek?

— Dla mnie wszystko dobre — rzekł Owo-  
cny, wznosząc ręce do skroni nakształt ro-  
gów — sam jestem na świecie, nikt o mnie  
nie myśli, jem, co mi dadzą...

— To pan biedny! — odezwała się Agatka  
ze współczuciem — no, u nas pan dostanie  
jeść porządnie.

I ruchem uprzejmym pogłaskała profesora  
po rękę, aż się działacz rozrzewnił.

— Chcecie panowie krupniku z drobiu?

— Na taki upał? — przymilał się profe-  
sor — możeby chłodniczek?

— A no, kwas jest, śmietana jest, ogórki  
som — —

— A raki?

— Gdzieby tam! całkiem się od nas wy-  
prowadziły.

— I bez raków dobry będzie, tyłkoby do-  
dać trochę cielęciny.

— Może być też. — Potem abo kurczęta,  
abo schab?

— Kurczęta z sałatką, jeżeli mam wybierać.

Stefan spoglądał pogodnie na tę komitywę, z ironicznem zadowoleniem młodego, pewnego siebie mężczyzny, którego przyjaciółka igra sobie z potworkiem. Dziwiło go to nawet przyjemnie, że Agatka, czasem harda i zbyt obcesowa w obejściu, umie sobie jednać ludzi inteligentnych prostotą i wdziękiem.

Gdy odeszła, Edmund Owocny okazał się zelektryzowanym, pozbył troski o sprawy publiczne i niby odmłodził.

— Dobrze tu sobie żyjecie — mówił do Stefana i ochoczo zacierał ręce.

#### IV.

Nie pierwszszą było w Sławoszewie podejmować gości, pamiętano tu zjazdy i po kilkadziesiąt osób — dzisiaj kilkanaście nie napełniło dworu znacznym gwarem, zwłaszcza, że zjechali przeważnie sensaci i statyści z zamiarem radzenia o sprawach publicznych. Zawsze jednak przed wozownią stało kilka cudzych powozów i bryczek, a dym z komina kuchennego buchał obficie. Tylko w samym dworze, po południu, zamiast wesołego próżnowania różnych osób, używających gościny, zasiadło grono skupione do poważnej rozmowy w obszernym, niskim salonie, na meblach w stylu pośmiertnym któregoś z Ludwików. Dwa wielkie lustra naprzeciw siebie ustawione, sięgające od posadzki do sufitu, pomnażały w odbiciach towarzystwo. Na ścianach obrazy ciemne były podobno szkoły holenderskiej, jaśniejsze pochodziły z premiów pism i z wygranych przy losowaniu towarzystwa Zachęty do sztuk pięknych. Przystroj ten niebardzo

zajmował radców, czarno i szaro ubranych, lecz paru włościan w białych sukmanach rozglądało się ciekawie w obrazach, a także pani Kara Drobińska, usadowiona na kanapce w kącie, przenosiła swe piękne spojrzenia ze ściany na ścianę, muskając w tych migracyach wzrokowych coraz to inną postać męską. Druga na kanapie dama, pani Świdarska, bardzo otyła, ze szklami, mozolnie osadzonemi na krótkim nosie, śledziła przebieg obrad z apoplektycznym zapalem. Za głównym stołem, pokrytym adamaszkową serwetą i służącym za biuro prezydyalne, między wytwornym żakiem Leśniowolskiego a barwnym, księżackim ubiorem Rykonia, przewodniczył obradom szlachcic — inaczej go nazwać niepodobna — o krótkiej, szpakowatej czuprynie, o postawie i rysach, budzących wizye niezłomnej husaryi, pan Jerzy Godziemba. — Józef Broniecki siedział przy drzwiach dla łatwości wyjścia w razie, gdyby go jaki obowiązek gospodarza powołał.

Drzwi były otwarte na mniejszy pokój bawialny, w którego głębi zapuszczona nad innymi drzwiami kotara drgała czasami. Ktoby tam spojrział, zgadłby łatwo, że za tą kotarą ktoś podsłuchuje i podgląda. Był zaś za salonikiem pokój paniński.

Sala rady, poważna i sztywna, była widowiskiem bardzo ciekawem dla pokoiku za kotarą, który Manieczka urządziła sobie na zakrytą łożę. Spuściła rolety okien dla osiągnię-

cia półmroku i siadła na krzeselku przy rozdwojeniu kotary we drzwiach. Obok krzesła przycupnęła pokojówka, Magda Olczakówna. I dwie dziewczyny, w doskonałem z sobą porozumieniu, bawiły się, jak w teatrze.

— Patrzaj, Magdusiu: ten młody, czarny, co się tak nasrożył, obok tego w sukmanie — to nasz największy nieprzyjaciel! Nie chciał nawet do nas przyjechać — doprawdy! Targował się, stawiał warunki — dopiero, kiedy mu ojciec pozwolił przyprowadzić paru swoich drabów ze wsi, przyjechał z nimi. — Ale jak ci się podoba? Ładny chłopiec, co?

— Ładny, toć przecie nie nowina.

— Znasz go, Magdusiu?

— Któraby tam nie znała pana Czemskiego z Niespuchy? wszystkie zaczepia.

— Taki to on? — no, no — — A tobie, który się najlepiej podoba?

Magda niby obojętnemi oczyma przejrzała salę.

— A już chyba ten, co siedzi za stołem, po środku — —

— Pan Godziemba?! — tak, niby piękny, ale stary. Ja mówię nie jak o obrazie, tylko inaczej — rozumiesz? — — No, któregośbyś najchętniej pocałowała?

— Oj, co też to panienka gada!

Rzuciła Olczakówna swą czarną, okrągłą główkę na kolana Manieczki, ukryła twarz w batyście jej sukni, ale panna Broniecka pod-

garnęła jej rękę pod brodę i przyjazną przemocą zadarła w górę głowę pokojówki. Mierzyły się tak przez chwilę oczy figlarne, siwe, jasna głowa córki szlacheckiej z oczyma oniesmielonymi, z ponsową twarzą i rozkosznie błyszczącymi zębami córki ludu.

— Co ty, Magdusiu? mnie się wstydzic będziesz? — Czy to pierwszy raz gadamy? — No, powiedz, któregoś sobie wybrała?

— Oj, joj! — wzdychała jeszcze pokojówka, staniając się powoli na klęczkach, niby lalka chińska.

Aż rzuciła głową wskazująco w kierunku stołu prezydyjalnego.

— Co? może Godziembę?!

— To znowu nie — zaprzeczyła Magda.

— Więc którego? gadajże!

— Już chyba... Jaśka Rykonja.

Manieczka zastanowiła się głęboko nad wyborem pokojówki i orzekła poważnie:

— Ładny chłop, ale bez wąsów i tak zaciska usta, jakby nie chciał zębów pokazać. — Czemski ma ładniejsze usta i te wąsiki muszą być, jak z jedwabiu.

Zasłuchały się teraz obie. Mówił Godziemba jasno i twardo o koniecznej potrzebie domu ludowego dla Mielna, które dotąd nie posiada sali zebrań, ani sklepu spożywczego, ani nawet porządnej szkoły. Obliczał koszt budowy, wyrażał nadzieję, że tak ludna i bogata wieś łatwo zniesie składkę z morgi; obiecywał też

pożyczkę bezprocentową z funduszków ziemiańskich, którymi rozporządzał, i plany gmachu darmo. Czuć było, że mówi na podstawie cyfr pewnych i pełnomocnictw, które posiada.

Gdy skończył, pan Drobiński zaczął się spierać o wymiary rozmaitych izb i o ich użytek, na co znowu odpowiadał pan Młocki, że trzeba upewnić się najprzód o zgodzie samych Mielniaków, a zatem wysłuchać ich zdania. Znowu Drobiński obstawał przy nakreśleniu uprzednio doskonałego projektu. I trwała przez pewien czas dyskusya dość jałowa.

Dziewczęta za kotarą przestały uważać i powróciły do rozmowy między sobą.

— Jak myślisz, Magdusiu, czy Mielniacy chcą tego domu?

— Widzi mi się, że nie bardzo. Kiedym tam była przedwczoraj, miarkowałam, że Rykoń chce, ale inni to tylko tak: żeby im dom gotowy dać i jeszcze gront pod niego darować, toby wzięli. Naród jest chytry: mówią, że kiedy z panami pospólnie co robić, to panowie bogatsi — niech płacą.

— Ależ dom jest dla użytku wsi, nie dla dworów.

— Już oni tacy, panienko.

Wtem poprosił o głos Stefan Czemski.

— Cicho, cicho, posłuchajmy, co on powie — rzekła żywo Manieczka.

Mówił zapalczywie, chociaż się zrazu hamował:

— Pod jednym względem zgadzam się z wygłoszonym tu zdaniem pana Młockiego, że pierwszą, zasadniczą stroną kwestyi, a więc i pierwszym punktem dzisiejszych obrad winna być zgoda obywateli, których projekt bezpośrednio dotyczy — włościan wsi Mielna. Właściwie nie zgoda, lecz wola. Czyśmy tę wolę wybadali? Czy wiemy, jaki dom, jaką wogóle instytucję stworzyć chce ta wola zbiorowa, której nawet z głosów paru obecnych przedstawicieli nie znamy? Może oni chcą mieć lokal tylko dla celów towarzyskich? Może włącznie szkołę rolniczą lub rzemieślniczą? — Zwykliśmy narzucać braciom włościanom nasze pomysły starożytne, lub naśladowane skądinąd, nie zawsze zgodne z wolą i z usposobieniem ludu. Lud, gdy chce, wie, czego chce. Gdyby panowie Mielniacy potrzebowali naszej pomocy w jakiejś swojej zbiorowej potrzebie, niewątpliwie udaliby się do nas z własnego impulsu. O tem dotąd nie słyszałem. My zaś, radząc tu o sprawie, jakkolwiek związanej z dobrem ogólnem, jednak nas bezpośrednio nie dotyczącej, dajemy wprawdzie dowód, jak pan prezes Godziemba, tradycyjnej pieczołowitości względem młodszych braci, ale popełniamy też tradycyjny błąd: kształtujemy życie tych braci, kiedy oni nas wcale o to nie proszą, bo potrafią być obywatelami po swojemu, na swoją modłę, niezrozumiałą dla umysłów,

nawykłych do zadawnionej szlacheckiej supremacji.

Szmer opozycyjny rozszedł się wśród zgromadzonych; kilku naraz poprosiło o głos.

A za kotarą szepnęła Mańka do Magdy:

— Ładnie mówi ten mój... ten wasz przyjaciel z Niespuchy.

— Zrozumiała panienska? — ja bo ani.

Zanim udzielił żądanych głosów, Jerzy Godziemba skorzystał z prawa przewodniczącego i przemówił *interlocutorie*:

— Muszę w paru słowach odpowiedzieć poprzedniemu mówcy, a to ze względu na pożytek dzisiejszej narady, której raczyliście mnie, szanowni panowie, uczynić przewodniczącym. Z tego urzędu i ze szczerego pragnienia ogólnego dobra śmiem nawoływać, abyśmy się nie zajmowali historyozofią przeszłości i przyszłości, ani roztrząsali naszych pobudek radzenia tak, lub inaczej. Mamy tu projekt realny, konkretny, który omówić możemy nawet ze stanowiska, które zajął pan Czernski: zapytajmy tego ludu nie o to, czy chce być przez nas »kształtowany«, lecz czy chce mieć w Mielnie dom ludowy projektowanego przez nas typu, czy inny, czy wcale nie chce żadnego. Inicytywa rzeczy pożytecznej, gdyby nawet pochodziła od wrogów — tak jak w obecnym wypadku pochodzi od szczerych i pewnych przyjaciół ludu — może się zamienić w czyn pożyteczny. Nikt przecie winić nie będzie Po-

znańcyków, że w swoich urządzeniach praktycznych naśladowali porządku pruskie. Tembardziej nie znajdziemy chyba człowieka, któryby twierdził, że mądre rady Staszica lub Kołłątaja były napiętnowane klerykalizmem, bo pochodziły de facto od księży! — O rzeczy mówmy i jej użyteczności, nie o szlacheckim, lub nieszlacheckim pochodzeniu inicjatywy. Rada jest, jak moneta: wszystko jedno, od kogo pochodzi; byle była z dobrego kruszcu. Upraszam więc panów, aby zechcieli w swych głosach zmierzać do rzeczowego wyjaśnienia sprawy, nie zaś do rozbujaniania jej na niepewnych falach dyskusji stronnicej.

Zerwał się zaraz Czemski do repliki, ale mu przerwał Godziemba:

— Przepraszam — ma obecnie głos pan Świdorski.

Pomimo kategorycznej wskazówki przewodniczącego dyskusja znacznie się roznamiętniła. Nietylko Świdorski, który miał zwyczaj murowania swych wniosków na lapidarnych zasadach, spierał się z Czemskim, ale i cichy Drobiński ozwał się z protestem przeciwko rozróżnianiu tak jaskrawemu dworu i wsi, niby dwóch ras, mających zgoła odmienne interesy, a nawet Leśniowski w kilku słowach ozdobnych, wygłoszonych jakimś pretensjonalnym akcentem, oświadczył, że jest przyjacielem ludu i w nim widzi przyszłość kraju.

— Perukarz! — szepnęła za kotarą Manie-

czka — cedzi przez zęby, jak nie swój, tylko skądś przywieziony. Podoba ci się, Magdusiu?

— Ano tak... jak i panience.

Doszedł znowu do głosu Czemski. Rozgrzał się, mając do odparcia atak z kilku stron; trafiło mu jednak widać parę argumentów do sumienia, gdyż w końcu przyznał, że gdyby omawiany projekt powstał »z łona ludu«, nie miałby nic przeciw projektowi, a na dowód oświadczył, że gotów jest ofiarować kilka morgów z terytorium Niespuchy gminie Mielno, w razie gdyby gospodarze chcieli u niego założyć jakąś instytucję użyteczną.

Ten wspaniały gest znalazł najprzód odgłos w panińskim pokoiku:

— Widzisz, Magdusiu! Gadał, gadał niby przeciwko, a pierwszy coś daje. Tegil co?

Ale rada w salonie przyjęła ofiarę bez zapalu, ogólnem milczeniem. A ponieważ do głosu był zapisany z kolei wójt Mielna, Damian Śkierski, pociągnął nosem, pogładził oburącz długie swe, niby nagumowane włosy siwe, koronujące poważnie białą sukmanę — i ozwał się pierwszym głosem z ludu:

— Jako miarkuję ze wszystkiego, co panowie radzą, dobre jest dom gromadzki wyszykować u nas w Mielnie, dobre i trochę z tem poczekać. Boć to przecie i u pana Naczelnika trzeba będzie dopraszać się o pozwolenie i »razreszenie« na piśmie — i gminny »schod« trzeba zapytać, co i jak chcieli będą i czy na

siebie przyjmą obowiązek z morgi. — A najlepsze to, co rzekł pan Czemski, że nam kilka morgów z Niespuchy podaruje. To te morgi, jeżeliby łaska nastąpiła, przydaćby od granicy do naszego pastwiska, które w komasacę nie poszło, a chudo go jest dla całej gromady. Będzie, co będzie później, a tymczasem choć nasze bydło się nażre.

— Racya przy wójcie — zawołał zelektryzowany Mateusz Kołaczyński, jeden z tych, których Stefan Czemski przyprowadził z sobą na zgromadzenie.

Ale Godziemba zebrał znowu w mocną garść wymykające się na boki rozprawy:

— Muszę prosić panów powtórnie, aby nie odbiegali od przedmiotu obrad, którym jest wyraźnie dom ludowy w Mielnie, nie co innego. Pan Czemski przez swą krytykę źródła, z którego pochodzi omawiany projekt, a następnie przez szkic projektu zupełnie nowego zmierza chyba do udaremnienia naszej dzisiejszej narady, gdyż innego celu jego przemówień nie zgaduje.

Czemski poprosił o bezpośrednią odpowiedź, powstał i rzekł:

— Nie moja w tem wina, że pan prezes Godziemba, który tak dobrze przenika zamiary ludu, że mu podaje gotowe ich sformułowania, nie może »zgadnąć« celu moich przemówień, a zarazem zgaduje nietrafnie, jakobym chciał »udaremnąć« obrady. Pragnę je owszem skie-

rować na właściwą drogę, według mego rozumienia ducha i przyszłości ludu; pragnę wyzwoić lud z pod opieki, gdyż dorósł już do swego pełnoletnia; pragnę...

Szukał przez chwilę jeszcze dosadniejszego określenia swych żarliwych pragnień, gdy Brońnicki, porozumiewszy się na migi z Godziembą, wtargnął we środek mowy młodego zapaleńca:

— Pragniemy wszyscy, panie Stefanie! Pragnijmy, a będzie nam dano napić się. Na taki upał nie grzech wcale zdążać do ochłody skroni i gardła pod lipami, gdzie nas czeka dzbanuszek jeden z drugim. Więc nie przedłużajmy rozpraw, bośmy się jeszcze do niczego nie dogadali i nie wiemy naprzykład, co o naszym projekcie trzyma sąsiad Jan Rykoń, a ten już przecie ma niewątpliwie duszę i gębę ludową, i szatki księżackie, i wszystko, co należy do łona prawdziwie ludowego — o! No, sąsiedzie Janie, na was kolej! dobadźcie głos z łona, abyśmy przestali o was opowiadać to i owo, skoro was mamy tu między sobą.

Zaskoczony przez taki serdeczny despotyzm, Czemski namarszczył się zrazu, ale wkrótce uległ ogólnej wesołości, która zapanowała w sali, i zrezygnował z dalszego głosu.

A Rykoń, wzywany przez gospodarza i przez Godziembę, nie zdawał się onieśmielonym. Tylko twarz, dotychczas skupioną, i oczy siwe, bystro śledzące mówców, rozpogodził teraz



uprzejmie. Wstał od stołu, grzecznie się skłonił, a lewą rękę za krawężek zasadziwszy, mówił:

— Co ja tu jeszcze mam do rady dodać, kiedyście panowie dziedzice i somsiady wszystko już powiedzieli i lepiej, niż człowiek prosty potrafi. To mnie chyba zebrać to wszystko, niby zboże w snop, ziarno z niego wyłuskać, i wedle mego rozumu wybrać to, co nam, Mielniakom, na siew przydatne. A nasampierw powiem, że myśl zbudowania w Mielnie domu gromadzkiego nie od kogo do nas przyszła, tylko my ją sami dawno mieli, ja i moi przyjaciele polityczni, gospodarze. Toć mi zaświadczy tutejszy dziedzic, ile to razy wyznawałem mu się ze swojej tęschnoty, żeby to we wsi mieć dom godny, gdzie stary i młody szedłby we święto, abo w zimowy wieczór nie na pijatykę, nie na karty, jeno na pospólną zabawę uczciwą, czy to gawędę, czy to latarnię, czy posłuchać kogo mądrzejszego. A już kiedy dom taki stawiać, to żeby był wielki i wszelkiej użyteczności pełen; żeby przy nim i ochronka i szkoła, i zebrane książki były; a z drugiej strony niechby był sklep nasz własny; a kółko rolnicze gdzieżbyśmy odprawiali, jeżeli nie tam? Potem, da Bóg, i więcej się znajdzie do roboty w tym domu; żeby tylko mury były obszerne, to i ludzi ochota zbierze i myśli im przyjdą. Tera mówi pan z Niespuchy, że nam plac da u siebie. Jeżeli da, podziękujemy pięknie, weźmiemy. Aleć domu gromadzkiego nie posta-

wimy o półtory wiorsty ode wsi, bo nijakiego użytku by nie miał — — jeszczeby latem pół biedy, ale zimą ani dziecka tyli świat przez pole nie popędzimy do szkoły, ani dorosły się nie pokwapi. Zdawna my już, ja i moi przyjaciele polityczni, upatryli dla tego domu gront pusty Gładochowy, wedle kancelaryi gminnej, bez gospodarza próżnujący, a który od Krysztofa Gładocha, tego, co w mieście zamieszkał, można kupić za niewielkie pieniądze. Tam niechby stanął ten dom, toby nade wsią górował, niby nasz ratusz, a wedle niego jest miejsce i na rynek, na sklepy różne, na pocztę własną...

Słuchali wszyscy ze skupioną uwagą i patrzyli w twarz Rykonia, która bladła i natężała się coraz energiczniej; oczy ciskały opalowe iskry. — Ale zmiarkował sam mówca, że wkracza w granice dalekiego o przyszłości rojenia, i ton obniżył, powrócił do realnego przedmiotu obrad:

— To już gadanie o innych czasach, których niech nam Pan Bóg pozwoi dożyć. — — Tera jeszcze ja tu powiem do swoich ze wsi somsiadów. Kiedyście na radę ściągnęli, radźcież. A kiedy rady nijakiej inej w sobie nie czujecie, bądźcie przychylni tym dziedzicom, którzy nie dla dobra swojego, jeno dla nas Mielniaków tego domu chcą i ofiarują się nam do jego wyszykowania dopomódz. Nie biedaki my, gospodarze, tylko że chudoba nasza cała

w tej ziemi, w domach, w żywym i martwym inwentarzu, a grosza gotowego na nową składkę możeby ta w mig i nie znalazł. Toć mówi nam pan Godziemba, który nie tutejszy, ale w szerokim kraju każdemu wiadomy jest i szanowany, że nam panowie ze swoich funduszków ogólnych przyznają pożyczkę na ten dom, a my ją święcie we trzy roki oddamy. I co tu nosem kręcić, zamiast podziękować i brać? Cóż to my z innej gliny powstałi, abo z różnych krajów zesłi się na tę polską ziemię, czy co? Zdawna my tu w księstwie Łowickiem każdy na swoim siedzimy, a o poddaństwie, pańszczyźnie, czy jakich krzywdach już i dziadowie nasi nie pamiętają. Tylko jednym ludziom swoim Bóg dał więcej, innym mniej, a kiedy możniejsi śpieszą z pomocą mniej uposażonym, toć to według przykazania Boskiego czynią. Od swoich starszych nie wstyd radę brać, ani pomoc. Więc tera mówię wam, panie wójcie i inne somsiady, pokłońcie się panom, jako i ja się im kłaniam z wdzięczności za życzliwe dla nas serca, idźcie na wieś, nieświadomym tłumaczcie, — zwołujmy zebranie gminne i poczynajmy w imię Boże, kiej nam się dzieło pospólne naraja, a dobre, a niepodejrzane o niczyją zdradę, jako w polskiej ziemi być powinno i czasami bywa.

— Brawo, Rykoń! — zawołał Broniecki i klasnął w dłonie.

Przyklasnęli i inni, szlachta. A Rykoń ro-

zejrzał się po sali i uśmiechnął się szeroko, pokazując białe zęby:

— Ano, kiedy się panom podobało, to chwała Bogu. Żeby tylko wszystkim jednako trafiło —

Mowa Jana podobała się najgoręcej jednemu dziewczęcemu sercu. Magda aż wychyliła się z za kotary, słuchając; czerwona jej twarz z palającymi oczyma świeciła, jak kwiat wyiskrzony radośnie do słońca. Aż jej Manieczka zwróciła uwagę:

— Nie wychylaj się tak, bo nas zobaczą!

— Bo, widzi panienska, ten ci gadał!

— Dobrze, dobrze — odrzekła Mania, jakby niezadowolona, że Rykoń, nie kto inny, zyskał sobie poklask — dłużej tu zostać nie możemy, już szosta — a podwieczorek!

Zerwały się dziewczęta i pobiegły do ogrodu, gdzie kamerdyner Ignacy, pływający we fraku niedawno zdegradowanym na niego z tęższych ramion dziedzica, z pomocą kuchcika i paru dziewczek przygotowywał podwieczorek w alei lipowej, która, niechybnym zwyczajem polskim, otaczała kwaterę, dotykającą bezpośrednio do ogrodowego frontu dworu. Właśnie Ignacy ustawił na bitej drodze między lipami dwa stoły, większy i mniejszy, gdy pędem wpadła w aleję panna Broniecka.

— Poco dwa stoły? — zawołała.

Ignacy, chłop z urodzenia, nabrał w służbie kamerdynerskiej wyższych zasad społecznych, które tutaj zastosował i wyluszczył:

— Mówił jasnie pan, że zaprosi i tych ze wsi; więc stół dla państwa i drugi...

— Ale nie! zsunąć stoły, żeby był jeden większy — rozkazała bez namysłu Mańka.

Widząc jednak, że kamerdyner ociąga się i głową kręci, Mańka zawahała się i, uznając kwestyę za ważną, pobiegła do ojca.

Ode drzwi, przy których siedział, łatwo i bez zakłócenia rozpraw zdołała pociągnąć ojca za rękaw:

— Tatusi! — — Ignacy nakrywa pod lipami dwa stoły, dla nas i dla chłopów. Czy tak ma być?

— Fiksati! — odszepnęła Broniecki.

Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, gestem dopełniał swe zdanie, nastawił palce obu rąk dośrodkowo, niby grabie, zgarniał małemi poruszeniami powietrze, nareszcie splótł palce. I dla ostatecznej dobitności dodał kilka słów:

— Kupeczka, córuś! jedność, spójnia i groch z kapustą — rozumiesz?

Po czem rozśmiał się bez głosu, trzęsąc całą staturą, musnął po głowie śmiejącą się też córkę i szybkim skinieniem dłoni odesłał ją do ogrodu.

Mańka z zimną powagą oświadczyła Ignacemu, że ojciec kazał, aby stoły zsunięto w jeden i jednakowo nakryto.

Obrazy w Sławoszewie skończyły się uchwałą po myśli przeważnej większości. Postanowiono zwołać zebranie gminy Mielna, któ-

reby projekt domu ludowego urzędownie przedstawiło do zatwierdzenia władzy; Broniecki przyrzekł sprawę poprzeć u naczelnika powiatu, którego »osiodłał«, jak się wyrażał; Godziemba zapewnił pożyczkę w razie, gdyby Mielniacy nie zebrali odrazu składki dostatecznej.

Opozycya jakoś się rozplynęła. Wójt Skierski bez walki przyłączył się do większości. Rzecznicy ludowi, przyprowadzeni przez Czemskiego, nawet obcesowy, lecz małomówny Kołaczyński, pomrukiwali coś niby, że trzymają z Czemskim, że poradzą sami sobie, lecz oszłomieni wymową Rykonia, potem serdeczną, nikogo nie pomijającą gościnnością Bronieckiego, zaprzestali protestów. Jedyny na głowę pobity, przeto zły i do końca obrad oporny był Stefan Czemski. Gdy po podwieczorku włościanie zbierali się do odjazdu, Czemski chciał się też pożegnać. Nie puścił go jednak Broniecki.

— Bój się Boga, panie Stefanie! Pierwszy raz tu jesteś, nie uczynisz despektu sąsiadowi, zjeżdżając do niego tylko na mielenie gębą, niby kauzyperda. — Sąsiedzi z Mielna jeszcze też posiedzą — co?

Ale zbliżał się zachód słońca, odezwał się Rykoń:

— Toćby tu siedzieć można, jak u króla Piasta, co to aniołów u siebie gościł. Jeno my nie aniołowie, cudów nie mamy na zawoła-

nie — jutro skoro świt trza nam stanąć do żniwa.

Owacyjnie przyjęto ten piękny komplement, a Broniecki rzekł do Rykonia:

— No, kiedyście tacy zawzięci na wasze żniwo, nie zatrzymuję. A pszeniczka niezżęta, wiem.

— I sypie się już, panie dziedzicu, na taki żar!

Więc Rykoń pociągnął za sobą wszystkich włościian. Znowu Czemski wrywał się do wyjazdu pod pozorem, że przywiózł z sobą Kołaczyńskiego, więc nie może go teraz skazywać na powrót piechotą. Zaoponował na to Broniecki.

— Niech bierze waszą brykę i odeśle ją do Niespuchy. A moje koniki aż parskają z ochoty do przejażdżki nocą, o chłodku.

Przemówił nagle Jan Goździk, wielki podobno fizyk, ale tak uporczywie kryjący swą mądrość, że ani słowem przy obradach się nie odezwał. Mówił z gruba, staromodnie:

— Po cus to panu brykę zabierać, co? Nie może to Kołacyński zabrać się z wójtem, co jadą sami w półkosku, kiej ten omętra — no!

Nie było rady — musiał Czemski zostać. Został nawet z pewnem zadowoleniem. Chociaż zasadniczo zwyciężony i wrzący protestem przeciw »omotywowaniu ludu przez zacofaną szlachtę« — tak to sobie z przyzwyczajenia formułował — doznawał też przyjemnego wra-

żenia od promieniejącej tutaj pogody duchowej. — »Ludzie głupi i zaspani zawsze są pogodni« — próbował dowodzić — ale zaprzeczał znów sobie, stwierdzając, że nie głupi jest Broniecki, chociaż wszystko w żart obraca, ani Godziemba; tego »mamuta«, przeciwnika i zwycięzcę w dyskusyi, mocno nie lubił, lecz nie mógł mu nie przyznać konsekwencyi i magnetycznej jakiejś mocy. Zato z innych stron doznał zadowoleń miłości własnej, jakby w nagrodę za porażkę parlamentarną. Leśniowski, młodzieniec gładki i gdzieś tam, jak zapewniał, w uniwersytecie kształcony, siadł obok Czemskiego przy podwieczorku i zaczął rozmowę o przyszłości socjalizmu w Niemczech. Wprawdzie mętne miał o tem pojęcie, ale gadał, niby z profesorem, słuchając pilnie wyjaśnień i sprostowań. W każdym razie człowiek dobrze wychowany.

I panie przy stole były z urody i z zachowania się zajmujące. Czemski znał dawniej tylko panią Świdorską, przyjaciółkę ludu, spotykaną nawet w kołach radykalnych, lecz należąca do płci obojętnej; ale pierwszy raz widział te dwie: panią Drobińską, piękną brunetkę z wymownemi oczyma, i córkę gospodarza, świeże dziewczątko jasnowłose. Obie zajmowały się nim bardziej, niż Leśniowskim, kawalerem pokaźnym, synem bogatego obywatela. Nawet pani Kara okazywała mu wyraźną ciekawość bliższego poznania jego

sposobu życia, poglądów, zamiarów i obyczajów — i to z pewną natarczywością, która zdawała się zadziwiać Bronieckiego, pilnie śledzącego jej ruchy i słowa. Czy tam coś łączy tych dwoje? — zgadywał nawiasem Czemski.

Stefan był dość mocno przeświadczony o swym uroku męskim, ale mało znał kobietę. Miał lat dwadzieścia pięć, niedawno skończył uniwersytet, pochłonięty był przez plany stosowania swych teorii. Kobietę chciał traktować po napoleońsku, jako chwilę rozkoszy, mało jej poświęcając czasu. Ta zasada nastęrczyła mu jedynie łatwe zdobycze, w rodzaju Agatki; o misterniejszych kobietach nie miał prawie wyobrażenia; patrzył na nie z wysoka, jak mu się zdawało, a rzeczywiście — oczyma dziecka.

Poznane dzisiaj dwie kobiety uznał instynktowo za ponętne, ale oceniał przez okulary swej szkolnej mądrości. Pani Drobińska jest istotnie, jak to mówią, »warta grzechu«, panna Broniecka zaś wręcz przeciwnie: warta raczej cnoty, usatkwowania się, małżeństwa — — Zabawnie byłoby splatać figła Drobińskiemu, safundule, klerykałowi, prezesowi dozoru kościelnego — — Milej jeszcze mieć taką świeżą, dzielną żonkę, jak Manieczka — — Ale oba te zadania nie dla niego, człowieka idei i czynu! To kasta zacofańców, obszarników, wyzyskiwaczy ludu, skazana na zagładę i wymarcie. — Pilno mu do swoich ludzi.

Był zamyślony, nieco tajemniczy, jednak przytomny i w miarę rozmowny; sprawiał wrażenie i ścigał na siebie powszechną uwagę, co go utwierdzało w mniemaniu, że znajduje się między obcymi.

Trochę wino, trochę wieczór letni sprawiały, że nieufność, istniejąca między ludźmi sztucznie do siebie uprzedzonymi, rozluźniała się powoli. Przyroda cudotwórcza, głaszcząc wszystkich narówni powiewem lubego dobrobytu, wygrzewała z ludzi kielki społecznej życzliwości. Pachnęły silnie miody na lipach i miłosne wonie świeżego siana, ciężkie jak mgły, błądziły po trawnikach. Aż milkła rozmowa, taki koncert dalekich gwarów, chichotów, poryków rozegrał się o zachodzie słońca.

Po wyjeździe włościan zawitał ksiądz Kajetan Mlecz, proboszcz z Mielna; wycelował swój przyjazd na ukochanego bridge'a i na kolację. Był to człowiek ogólnie tolerowany dla swych zalet i wad sympatycznych; nie nawracał nikogo, ani zbyt gorszył, nie wymagał też od swych parafian żadnych cnót heroicznych, ani gorliwej obserwancyi, przestrzegał tylko pilnie pobierania należnych Kościołowi podatków w formie dziesięcin od większych obywateli i opłat za obrzędy religijne od drobniejszych owieczek. Ale przy poborach stosował pewne względy i ulgi. Znano w okolicy dużo gorszych księży.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chry-

stus — zabrzmiało pozdrowienie proboszcza krzepko i radośnie.

— Na wieki — odpowiedziało parę głosów.

— Mamy więc bridge'a — pomyśleli Drobiński i Świdorski.

— Jest i klecha! Komplet wybornego towarzystwa — mruknął przez zęby Czemski.

Zaraz zaciągnięto do kart i Młockiego, który ulegał czasem tej pokusie.

— W taki cudowny czas grać w karty! — ubolewała pani Drobińska, zerkając z obawą w stronę pozostałych mężczyzn.

— A cóż, pani dobrodziejko? — odrzekł proboszcz — zagramy sobie na werendzie albo przy otwartych oknach. Wieśniacy jesteśmy, już nam ta piękna natura spowszedniała, jak woda rybie!

— A kiedy woda księdzu Kajtusiowi obrzydła, może mu do kart postawić zieleniaczka? — pytał Broniecki proboszcza.

— Coś mokrego nie zawadzi po upale.

Ze względu na spóźniony podwieczorek wieczera miała być późno w nocy. Tymczasem kompania młodszych używała świeżości ogrodu, majestatycznego pod wysoką zorzą zachodnią. Symetryczny przy domu, ogród wpadał dalej w tak zwaną »dziką promenadę«, gdzie wążka rzeczulka płynęła między starymi drzewami. Tam podążyły młode panie, Kara i Manieczka, w towarzystwie młodych mężczyzn, Leśniowolskiego i Czemskiego.

Broniecki, niepoprawnie kochający młodzież, musiał jednak dla proporcji towarzyszyć powolniejszemu z konieczności spacerowi otyłej pani Świdorskiej i Godziemby.

— Czy będzie księżyc? — zapytała pani Kara, wodząc powłóczystem spojrzeniem nie po niebie, lecz po oczach mężczyzn.

Nie wiedział ani Czemski, ani Leśniowolski, tylko Manieczka objaśniła, że księżyc jest po pierwszej kwadrze i stoi już tam za drzewami, ale błady, bo jeszcze jasno od zorzy.

— Panowie nie gospodarze? — dodała, zwracając się do Czemskiego, chociaż najbliżej asystował jej Leśniowolski, który też odpowiedział:

— Owszem, owszem, proszę pani. Tylko siedziałem teraz dłużej w mieście, gdzie się mało zważa na księżyc.

— A pan, panie Czemski? — nalegała Mańka.

— Ja? — rzekł Czemski, odrywając się od wymiany spojrzeń z panią Drobińską — ja także gospodaruję. Ale mam pilniejsze zajęcia; na tym kawałku ziemi w Niespusze zastępuje mnie mój pomocnik, Durmaj.

— Jak się nazywa?! — zachichotała pani Kara.

— Maciej Durmaj, włościanin — odrzekł Czemski z powagą, jakby wymieniał nazwisko jakiego dostojnika.

— Znam i Durmaja — wtrąciła Mańka — nietęgi gospodarz.

Powiedziała to z takim rezolutnym wdziękiem, że Czemski, zamiast się obrazić za swego karbowego, zapytał pogodnie:

— To pani zna i włościan okolicznych?

— Dlaczegożbym ich znać nie miała?

— Bo daleko z wielkiego dworu do chat.

— Parę wiorst, albo kilka kroków. Mamy wszędzie włościan około siebie.

— Służących.

— Służących i sąsiadów. — Czy pan myśli, że ja nie jestem... postępową?

— Nie zgadłbym... ale skoro pani zapewnienia... — skłonił się Czemski z uśmiechem pobłażliwym.

I zwrócił się do pani Kary, z którą w parze poszedł naprzód.

A Leśniowski, jakiś naraz ukontentowany, towarzyszył panie Bronieckiej, ociągając się coraz bardziej za tamtą parą. Gdy się nieco oddalili, uczynił cichą uwagę:

— Ten pan jest trochę zarozumiały...

— Ma rację — odpaliła Mańka.

— Jakto?

— Bo tak.

Leśniowski przymrużył oczy z dystynkcyą i, korzystając z wyższości swego wychowania, gładko i uśmierzająco zaczął mówić:

— Tak, on jest ludowcem i ma naturalnie w głowie mnóstwo teorii o ludzie. Ale żeby

stosować je praktycznie, trzeba, tak jak pani i ja, jak my wogóle, szlachta zrosnięta z wsią — znać ten lud. Ja na paru folwarkach, które mi rodzice oddali, starałem się zaprowadzić najlepsze stosunki z ludem. Rozszerzyłem ich mieszkania, założyłem ochronkę...

— To się wszędzie już robi dla parobków dworskich — zauważyła Mańka.

— Naturalnie. Ale ze wsią właściwą, z gospodarzami, nie uwierzy pani, jakie my mamy przyjemne stosunki. Do mego ojca przychodzą włościanie sądzić się, zapraszają go na każde większe wesele — — A podczas rozruchów 1905-go i 6-go roku, które pani może z dziecinnych wspomnień pamięta, na całą okolicę u nas tylko, w Kościeliskach, nie było strajku. Przyszli parobcy do dworu »dopraszać się łaski«, dodało im się po korcu ordynaryi — i na tem się skończyło. Wsie nasze...

Nie bardzo pilnie słuchała Manieczka, śledząc ciekawie dwie ciemne głowy, Czemskiego i pani Kary, zbyt ku sobie nachylone.

— Wsie nasze są prawdziwie wzorowe pod względem uświadczenia chłopca. Zdarzyło mi się rozmawiać z włościanami tak przyjemnie, ale to tak przyjemnie i swobodnie...

Droga tu dochodziła do rzeczulki i szła dalej jej brzegiem. Manieczka stanęła nagle i, wskazując na przeciwległy brzeg wody, zawołała:

— Patrz pan! — tam! tam! — robaczki świętojańskie w trawie. Tak późno, a jeszcze są.

Na ten okrzyk odwróciła się i druga para, na przedzie idąca, zesłi się wszyscy i jęli przypatrywać się dwom świetlikom, które tam, za rzeczką, wdzięczyły się fosforycznymi iskrami.

— Żebyście panowie wiedzieli, jak to ślicznie wygląda w naszych włosach! — zawołała pani Kara.

— A tak, próbowałam — jak brylanty! — powtórzyła Mańka.

Leśniowolskiemu strzeliła do głowy myśl rycerska: przyniesie te żywe brylanty swojej damie. Cofnął się o kilka kroków, wziął rozpęd i przesadził zręcznym skokiem dobry sążeń rzeczułki.

Zaledwie panie zawołały »brawo«, już pędził ku rzeczce Czemski i przeskoczył ją nie gorzej od Leśniowolskiego. Osadzili się jeden na prawo, drugi na lewo od miejsca zjawienia świetlików i pochyleni pilnie szukali ich w trawie; ale robaczki, może zatrwożone wstrząśnieniem gruntu, zgasiły swe latarki.

Wtem rozległ się tętent potężny na drodze, za plecami młodej kompanii, i zadyszane wołanie:

— Cze... czekajcie!

Odwrócili się wszyscy — — Broniecki, jak koń rozbiegany, pędził na wodną przeszkodę. — Krzyknęły zlekka damy, mężczyźni, szukający

w trawie, odskoczyli od siebie, bo groźny ciężar celował między nich dwóch. Dopadł wody, zawisnął nad nią imponującym balonem i osadził się aż za daleko na tamtym brzegu. Pobiegł jeszcze parę kroków pochyło, lecz nie upadł, odwrócił się tryumfalnie i deklamował urywanym głosem przed oniemiałymi słuchaczami:

— Bo widzicie... Godziemba mi prawil... że nie nam już skakać! — — Taki głupi rowek — sprobujcie tam dalej... ja i tam...

Dopiero teraz Manieczka, widząc, że ojciec wyszedł z niezwykłego manewru bez szwanku, zawołała rozżalona:

— Co tatuś najlepszego zrobił! Zaołał butami właśnie tam, gdzie siedziały robaczki!

— Jakie robaczki? — dziwił się Broniecki, rozglądając się po butach i po ich głębokich śladach w murawie.

— Dwa świętojańskie robaczki były właśnie w tamtem miejscu.

— O psia —! — powstrzymał pan Józef w pół drogi ulubione przekleństwo — a panie chciały do włosów? Znam to, znam! lubi pani Kara paradować, jak Dyana, z kawałkiem księżycy na główce — — Nic to, znajdziemy więcej, kiedy się ściemni.

— Gdzież tam! — sprzeczała się Manieczka — pod koniec lipca? — To były dwa ostatnie!

Tymczasem Godziemba i pani Świdarska



zrównali się z towarzystwem i wszyscy wzięli udział w śmiechu z powodu wesołej tragedji.

Czemski, jakby przy skoku otrząsnął z siebie ciężką i sztywną zbroję społecznika, poczuł się naraz wesołym i zadowolonym. Powróciła mu niedawna studencka fantazyja, ożywiły się oczy wśród śniado zarumienionej twarzy, roztrzęsły się włosy na głowie w wyższe i mniej regularne pasma, zęby z pod ciemnego wąsa raz po raz łowiły blask zorzy wieczornej. Mówił, śmiał się nareszcie, jak młody, niepomny przybranej pozy.

Wtedy Manieczka nabrała przekonania, że trzeba się z Czemskim porozumieć wyraźniej, i, korzystając z chwilowej konstelacyi przechadzki, pozostała z nim na końcu pochodu.

— Słyszałam, jak pan przemawiał na zebraniu.

— Słyszała pani?! nie była przecie w sali?

— To moja rzecz, gdzie byłam, ale słyszałam wszystko. I rozumiem pana stanowisko.

— Czyżby pani była mojego zdania przeciw całej ogromnej większości?

— Nie zupełnie. Ale podobało mi się, że pan mówił z zapalem — jak student.

— Doprawdy? — miernie ucieszył się Czemski — a pani mnie ocenia ze stanowiska... profesora?

— Nie, nie — zaśmiała się Mańka bez urazy — ja także jestem studentka.

— Bardzo mi przyjemnie poznać koleżankę. Podajmy sobie ręce — —

— Owszem! — i nie na żarty — odrzekła serdecznie Manieczka, wyciągając dłoń do Stefana.

Aż klasnęły złączone dłonie, aż obejrzeli się starsi na dwoje młodych, co oni tam wyprawiają przy zapadającej nocy.

## V.

W tydzień później Stefan Czernski jechał po północy od stacji kolei do Niespuchy.

Wracał z Warszawy, gdzie napił się tak zwanej »publicystyki«. Rekapitulował przeżyte wypadki.

Redaktor »Ludowca«, nadąsany na równoległe działanie »Ojczyzny« w sprawach ludowych, starał się dowieść w artykule pod tytułem »Zatory«, że nietylko system rządowy hamuje uświadomienie ludu, ile stek przesądów, przechowanych w obozie »Ojczyzny«, z których istne barykady układa ten wrogi organ wpoprzek rwącej rzeki postępu. Przechodząc od alegoryi do rzeczy, dawał do zrozumienia, że redaktor »Ojczyzny« jest podejrzany o zмовę z rządem, może z policją? — i poświęca sprawę publiczną dla podtrzymania swej mocno zakwestyonowanej nieomylności »papieskiej dla owieczek, lecz niezdolnej usnąć czujności psów pasterskich«.

Zagrzmiał nazajutrz redaktor »Ojczyzny«,

bijąc alarm na zdradę kraju i oblekając się w najwspanialszą swą togę, ozdobioną znakami zasług obywatelskich; nie omieszkał też skorzystać z nieostrożności przeciwników, którzy sami nazwali się psami, i zdefiniował ich rasę..., jako żydowską.

»Monitor codzienny«, organ pojednawczy, streszczając w dwa dni później polemikę »Ludowca« z »Ojczyzną«, nazwał ją »wysocę znamienną«, gdyż każda ze stron wypowiedziała się do głębi swych przekonań i zmusiła naj-obojętniejszych nawet obywateli do namysłu nad sprawą, która »Monitorowi« oddawna leży na sercu. Zacytowawszy wreszcie genialną strofę wieszca X:

»Co jest pszenne, w mąkę mięś!  
Co miłością — w serce weź!«

postawił tę maksymę zamiast wniosku, który można było rozumieć, jak się komu podobało.

Pomimo tę pacyfikację »Monitora«, posyłało się jeszcze dużo replik i duplik, oraz artykułów pism pomniejszych, z których każde włąziło innemu na kark, aby okazać swą wyższość. Doszło nawet do paru wyzwania, ale że żaden z Horacyuszów, ani z Kuracyuszów nie został nawet do krwi zadraśnięty, wrogie obozy stoją dotychczas jeden przeciw drugiemu, gotowe dalej rozjaśniać sprawy publiczne.

Czemski przez tydzień warszawski zmęczył nerwy, czuł kwas i żółć w ustach. Fizycznie tęsknił do wsi, ale na wsi czekała go także walka, i to z tymi, z którymi tak sybarytycznie obcował w Sławoszewie! Mielno wymyka się z pod wpływu — trzeba będzie znowu drzeć się, odrabiać, zamiast budować. — — —

Parę gwiazd na wschodniej nieba stronie, gdzie już świt się przecierał, przypomniało mu nagle robaczki świętojańskie w ogrodzie Sławoszewskim. Rozśmiał się:

— Jak ten stary sadził przez rzeczkę!

A zarazem dobry zapach pól, dyszących świeżością nocną, sprowadził wspomnienie dwóch kobiet. Te groszki czy kąkole więdnące, podcięte razem ze zbożem, pachną, jak pani Kara... A ta płowa Broniecka niczem nie pachnie? Owszem, trochę, jak miód koniczyny...

Lecz i te kobiety, zapewne nie zdolne do żadnej pracy społecznej, należały do sfer i pojęć zakazanych.

Wolno mu było tylko kochać przyrodę rodzoną, obejmującą go przenikliwie mądrym spokojem, przyrodę bezpartyjną. — Jak tu cicho! — — pospały się już i sprzeczne chóry żab i monitory — derkacze; na krańcach widoku różaniec chat, świecących zielonkawo ścianami, nakrytych siwymi strzechami pod światłem księżycowem. To Mielno, ogarnięte snem bez wszelkiej agitacji, bez jednego ogniska nerwowego czuwania. Stróżują poprzę-

wsią topole, śpią stojąc, pod czubami srebrnymi. I tylko jedna przez ten kraj snu kołacze się bryczka Czemskiego, konie opuściły głowy senne, nie ściągane lejcem drzemiącego woźnicy, nogami szłapią chyba automatycznie. Sam tylko spać nie może Czemski, choć upojony durem spokoju i woni, bo w myślach się nie pogodził z przyrodą bezpartyjną.

I dworek w Niespusze zamknął wszystkie powieki okiennic. Nie widać nawet stróża nocnego, tylko pies czujny przychodzi, łaszcząc się do znajomego pana, woźnicy i koni poziewających.

Zadzwoił Czemski, grzotnął potem kilka razy pięścią we drzwi niecierpliwie. Po ich otwarciu ukazała się w sieni Agatka, zaledwie czemś na koszuli obrzucona, ze świecą w ręku.

— Cicho, panie, profesor śpi.

— Jaki u licha profesor?

— Ano ten, co już był. Miałam go za drzwi wyrzucić, czy jak?

Zgrzytnął Stefan zębami; należał mu się nareszcie odpoczynek od osób, kierujących ludem! Z nietajoną złością pytał dalej:

— Gdzież go wtrzyliś?

— Gdzieżby? — do pana pokoju, jak tamtym razem.

— Do stu dyabłów! przecie i ja chcę spać!

Agatka, przywykła do różnych humorów

Stefana, nie uległa się, owszem, uśmiechnęła się troskliwie i poufale:

— Pościelę panu w kancelaryi... albo może do mnie?...

Oczy jej błysnęły fosforycznie — — Popatrzył na nią Czemski pogardliwie:

— Nie — daj mi pościel do kancelaryi.

\* \* \*

Nie dospał, bo słońce zazierało niebronnie do kancelaryi już od godziny czwartej. Skoro tylko oczy otworzył, zamiast radości przebudzenia, tak promiennej za młodu i w słońcu, doznał przykrego uczucia, że coś go gnębi. Tak jest — profesor!

Zajrzał do sąsiedniego, sypialnego pokoju. W zacisznym cieniu spoczywał mędrzec na wznak, odymając swą krótką postacią środek wygodnego łóża. Twarz jego bez okularów przypominała jakąś włochatą, prosto z ziemi dobytą okopowiznę — burak pastewny. I w pokoju panował mdły, obcy zapaszek.

Pomimo obowiązującej gościnności i szacunku, należnego zasługom pokrewnego działacza, Stefan czuł w sobie niecierpliwe wrzenie: trzebaż nareszcie mieć choćby jeden dzień wolny, odpisać na listy, obejrzyć przynajmniej własne gospodarstwo!

— A co mi nagada ten warchoł... no nie —

zawsze porządny człowiek — to już wiem z góry.

Do kancelaryi weszła bez pukania Agatka, wyświeżona, pachnąca dobrem mydłem, które Stefan przywiózł dla siebie z Warszawy.

— O, mój Boże, jak się pan wymizerował!

— Et, pleciesz! — Daj mi kawy.

— To nie razem z profesorem?

— Niech sobie śpi jak najdłużej; nie mam do niego wcale interesu.

— On zaraz wstanie; ma nawet przy sobie taki zegarek z dzwonkiem. O szóstej wstaje regularnie, pije kawę, a o siódmej chodzi se codzień piechtą do Mielnia.

Czemski zdumiał na dobre:

— Jakże dawno on tu siedzi?

— Będzie już trzecia... nawet czwarta noc, że u nas sypia.

— Któż ci kazał przyjmować go tutaj na mieszkanie?

— Bo to z panem kiedy co wiadomo? — rzekła Agatka, dyndając komicznie mocnemi biodrami — myślałam, że przyjaciel polityczny, jak to mówią.

Miała właściwie słuszność. Cała wina, nie-delikatność, bezczelność pochodziła od profesora.

Wtem rozdzierający głos budzika zaalarmował z sypialnego pokoju. Czemski rzucił się do drzwi uchylonych, zamknął je ostrożnie i cicho, desperacko rozkazywał Agatce:

— Daj mi prędko wodę i ubranie. Nie chcę go widzieć, aż się i on ubierze. — — Gdzie on kawę pija?

— Do łóżka mu przynoszę.

— Dawaj do łóżka, tylko przez inne drzwi — masz tam wejście od kuchni.

— Dobrze! leceć!

Zafertała się Agatka, ogromnie widać uradowana z pomnożenia męskiej kompanii we dworku.

Ubierali się przyjaciele polityczni w dwóch sąsiednich pokojach na wypródki, Agatka zaś, zwinna jak fryga, nosiła dzbanki, ubrania i wieści między pokojami. Dowiedziawszy się o przyjeździe Czemskiego, profesor Owocny zapragnął śniadać pospołu; więc Stefan, odpowiadając na to życzenie, kazał podać kawę na ganku, obecnie zacienionym, na świeżem powietrzu.

Gdy się tam zjawił, już profesor czekał; nadzwyczaj mało używał czasu na ubranie; zdawało się, że cały jego aparat toaletowy nakładał się odrazu, jak futerał, poczem na twarz lekko spryskniętą wchodziły okulary. Był też zawsze ten sam, jak ze spiżu ulany, tylko dzisiaj nadzwyczaj radosny i rumiany. Szukając wytrzeszczonemi oczyma oczu i dłoni Czemskiego, przemówił:

— Nadużyłem waszej gościnności dla bardzo ważnych spraw, które się wyłoniły niespodziewanie w okolicy.

— Ależ proszę — odpowiedział zrezygno-

wany już Czemski. — Jakież to nowe powstały sprawy?

— Jeżeli pozwolicie — potem. Pijmy najprzód klasyczną kawę nieocenionej panny Agaty. — Niema jej tutaj? — dodał, wietrząc raczej, niż szukając ślepemi oczyma.

— Niema. Pijmy kawę.

— Co to jednak wieś! — rzekł po kilku łykach profesor — jakie balsamy!

— Doskonale! — myślał Stefan, popijając także — jakoś go wieś udobruchała i onie-miła. Nie będzie mi tyle głowy suszył »sprawami«.

Ale z profesorem trudno było właściwie mówić o czem innym; na szczęście długo nie mówił, pijąc i jedząc łakomie. Gdy skończyli, odezwał się Czemski:

— Mówiła mi Agatka, że profesor ma zwyczaj odbywać codzień rano przechadzkę do Mielna?

— Przechadzkę? — nadał się Owocny — tak się to zdaje niewinnemu dziewczęciu!

— Chce pan powiedzieć: Agatce? Ona jest dosyć... cwana.

— Ej, nie wierzcie temu — odparł profesor — rozmawiałem z nią sporo tymi dniami: to natura kryształowa... Bo że, myśląc o swym losie, poszła za jednym i drugim mężczyzną, to mnie przecie nie gorszy. Nie jestem starożytnym moralistą...

— Ho, ho! — uśmiechnął się Stefan — widzę, że profesora zajmują kobiety?

— Cóż? człowiek nie jest wyłącznie maszyną do myślenia o pożytku cudzym, drogi panie Stefanie.

— Zapewne... Pójdziemy więc do Mielna? co? — odprowadzę pana tylko do mojej granicy, bo mam trochę roboty dla siebie.

— Chodźmy — —

Zaledwie wyszli za okólnik folwarczny, zaczęli sobie znowu chwalić urok odpoczynku na wsi po nerwowem życiu miast.

— Ta polemika »Ludowca« i jej kulisy, w których się błąkałem, zmordowały mnie — mówił Czemski.

— Jaka polemika? — zapytał ciekawie Owocny.

— Jakto?! — — nie czytał pan artykułu »Ludowca« pod tytułem »Zatory« i odpowiedzi »Ojezyny« i znowu replik? — — nie zna pan całej chryi?!

— Nie znam — bąknął profesor.

— Miałeś pan przecie choćby »Ludowca« w Niespusze — —

— Nie czytałem.

— Cóżes więc pan tu robił? —

Spoglądał Czemski z podziwieniem na twarz Owocnego, podobną do mordy czerwonej żaby. Oczy, zwykle wybałuszone zagadkowo, mrugały teraz niby wstydliwie. Po chwili odezwał się:

— Miałem bardzo pilne zajęcie w Mielnie.

— Ale przecie... czy pan nie był w Warszawie od czasu, jak się poprzednio widzieliśmy?

— Nie byłem — wykrztusił profesor. — Rzeczywiście, może zanadto zabrnąłem w tę sprawę lokalną z uszczerbkiem centralnych...

Zdjął kapelusz i podrapał się po szczecinie, przez którą świeciła lakierowana różowa czaszka.

— Powiedzcież mi w krótkości, o co tam poszło?

— A nie! mam tamtego dosyć. Niech sobie profesor odczyta dzienniki, które zebrałem i przywiozłem. — Wolałbym się dowiedzieć, co tak ważnego jest do roboty w Mielnie?

— Jakżeż! nie rozumiecie? — zawołał profesor, odzyskując swą niezależność — ta waza uchwała Sławoszevska jest bezecna — trzeba ją odrobić!

— Znowu tam bezecna! — wzruszył Czemski ramionami — może niezupełnie pomyślna, ale gdyby nawet dom stanął staraniem Bronieckich, Godziembów i Rykoniów, można go potem pilnować i wziąć w swoje ręce.

— Nie, panie Stefanie! Przekleństwo urodzenia nie pozwoli temu domowi rozwinąć się w przybytek myśli odrodzonego ludu. Narzuca im przecie swoje warunki, wezmą w niewolę księżą i szlachecką. — U podstaw, u korzenia trzeba podciąć ten jadowity porost! — Zdawał

mi sprawę z tego matactwa Jan Goździk, który tam milczał, ale pilnie słuchał. Mówiłem i ze Skierskim, i z Kołaczyńskim. Znajdziemy wielu innych prawdziwych włościan, nie obrobionych przez szlachtę! Nie przekupią ich, jak Rykoniał! A rozsądnik naszej myśli we wsi tak wielkiej i bogatej, jak Mielno, to nie bagatela, to sprawa lokalna, ale bardzo ważna, panie Stefanie!

Zapał profesora nie udzielał się Czemskiemu. Szedł z pochyloną głową, nie odpowiadał. Owocny, po wypaleniu oracyi, trochę ustał, ale gdy się już zbliżano do granicy Niespuchy, zagadnął ciekawie:

— Powiedzieć i wy, jak tam było w Sławoszewie?

— Kiedy już profesor wie wszystko od Goździka i innych —

— Ale niby... jaka atmosfera, jaki dwór, jakie przyjęcie?

Czemski odetchnął: będzie można mówić wreszcie o czemś ludzkim, mniej zaprawnem nienawiścią.

— Jaka atmosfera? — zaczął — życie wiejskie, duża kultura ekonomiczna — oprócz włościan zebranie ludzi typowe, myślące o swoich dochodach i o zabawie. Wiesz pan przecie, kto był — — Nie brakło i księdza.

— Ksiądz? był i ksiądz?! — nie mówiono mi o tem!

— Przyjechał już po obradach proboszcz

Mlecz. Ale cały czas tylko jadł, pił i grał w karty.

— No, to jeszcze mniejsza — uspokoił się Owocny — był na swoim miejscu.

— Poznałem też parę pań, dwie ładne: panią Karolinę Drobińską...

— Wiem, wiem! — — Ja ich przecie znam wszystkich! Bywałem u nich, chciałem z nimi pracować, ale kiedym się przekonał, co to za jedni, że zawsze pójdą za podszeptem swego interesu klasowego, porzuciłem ich i stworzyłem własny kierunek... Znam ich, znam! — — Ta Drobińska, żona kretyna, klerykała.

— Dobrze — odparł Czemski — to on taki, ale ona przecie nie jego krewna z urodzenia.

— Przypuśćmy, że inna. A druga ładna która?

— Córka Bronieckiego, już dorosła.

— Widziałem! — zawołał profesor z rosnącym zapałem — przejeżdżała tędy niedawno; wysoka, czarna, sucha...

— Ale gdzież tam! — przerwał Stefan prawie z oburzeniem — świeżutka blondynka, raczej okrągła, średniego wzrostu.

— Może być; ja, rozumiecie, mam wzrok trochę... Więc do którejże tam dobieżeliście się?

— To znowu nie — odrzekł Czemski z pewnym niesmakiem — panna Broniecka jest na wydaniu, ale nie za mnie. Mocno rezolutna, nie

uszanowałyby powagi samego profesora, gdyby go spotkała -- ale wcale nie głupia i nawet tak... wygląda na dobre dziecko.

— Jednym słowem: ananas nie dla nas. A ta druga, Drobińska?

Czemski parsknął nerwowo. Zapomniał, że profesor nie jest stosowny na powiernika. Przedmiot go uniósł.

— Ta... wie pan? — — jakby to powiedzieć? — — Gdyby uczynić jej stanowczą propozycję, uciekłyby od męża dzisiejszym kurylem. To się czuje.

— Prawda?! — zawołał profesor rozpromieniony — kiedy kobieta ma do nas pociąg, to się czuje...

Czemski odął wargi pogardliwie, spoglądając z góry na drobnego towarzysza, który się z nim równał, jako zdobywca kobiet. I przerwał rozmowę.

Ale Owocny rzucił nagle zapytanie, dziwnie brzmiące w jego ustach:

— Jakiego jesteście zdania: czy, zmawiając się z kobietą... cudzą, należy natychmiast uprzedzić o tem dotychczasowego jej towarzysza, czy... post factum?

Zdziwiony Czemski aż się zatrzymał w przechadzce:

— O jakim towarzyszu pan mówisz: o mężu, czy o kochanku?

— Wszystko jedno — to kwestya formalna. Jakżeście uczynili naprzykład z Agatką, biorąc

ją od tego proboszcza? — — Bo podobno od proboszcza? — —

— A, wie kochany profesor, że to pytanie... Jakoś to się stało... sama chciała zmienić służbę.

— Ale proboszcz nie chciał? co?

— Może i nie chciał. Byłem od niego młodszy...

— Ha! — zawołał Owocny z pewną goryczą — więc za rozstrzygające uważacie tu prawa młodości?

— Bywa tak, bywa inaczej; niema w tych sprawach kodeksu — odrzekł Czemski trochę niecierpliwie.

I ponieważ dochodzili do granicy Niespuchy, pożegnał profesora aż do obiadu, po którym Owocny miał nareszcie wyjechać do Warszawy.

Tymczasem, powracając do domu, Stefan rozmyślał:

— Nie poznaję mego profesora — — miałem go za maszynę do wyrabiania teorii, ale zarazem za gorliwego działacza. A on tu siedzi tydzień dla agitacyi w Mielnie w sprawie przesądzonej... nie wie wcale o burzach w swym obozie... i filozofuje na tematy, wcale mu nie przystojne... W piętękę goni, czy co? — — —



## VI.

Wiedział Czemski, że 20 sierpnia ma się odbyć w Sławoszewie wyjątkowo świetne okrzęzne, które się poniekąd należy służbie folwarcznej i najemnikom, bo zboża zebrano dużo, a robota była ciężka z powodu upałów. Wiedział także o zaproszeniu osób, które nie brały udziału w dworskim żniwie. Z Mielna miało pojechać na tę ucztę kilku gospodarzy z żonami i córkami, będą tam najbliżsi sąsiedzi Sławoszewa: Drobińscy i Świderscy. On, Czemski, nie dostał zaproszenia, czemu się nie dziwił, bo nie nawiązał dotychczas towarzyskich stosunków i raz tylko był w Sławoszewie na owych obradach przy końcu lipca. Ale miał szczerą chętkę zobaczyć wielkie okrzęzne.

Jakiej on właściwie słodyczy życia zażywał na wsi, siedząc w swym dworku bez ogrodu, nie zajmując się bezpośrednio rolą, ani hodowlą, żyjąc ideą, o której rzadko z kim mógł nawet pogadać. Przecie nie z Agatką! — Chyba że odwiedził go ktoś ideowo spowinowacony —

byle nie znowu profesor Edmund Owocny; tego miał tymczasem dosyć! — Rozwijać propagandę pośród ludu było trudno, nawet w tem ogromnem Mielnie. Gdyby tam naprzykład stał już dom ludowy, gęsto odwiedzany, wtedy co innego: możnaby spotkać wieczorami, lub w święto gromadę ludzi. Ale teraz? — — chodzić po chatach pustych w dzień, śpiących od zmroku w ten czas natężonej roboty — —? Do karczmy Czemski iść nie chciał.

Od niedawna stały mieszkaniem wsi, przyzwyczajony do życia miejskiego, które karmi ciągle mózg mnóstwem spotkań i wrażeń towarzyskich, nie umiał jeszcze dobrze żyć po wiejsku, czyli zrosnąć się z przyrodą. Nie posiadał też po temu dobrych warunków w Niespusze. Mieszkał niby w typowym domu przyszęłego włościanina, ale nie miał żadnych jego zajęć. Włościanin przyszłości nie będzie przecie formułował ani rozpowszechniał idei, tylko z niej, już wcielonej, korzystał. Ma być człowiekiem, mądrze działającym, nie »działaczem«. Zaczynał to spostrzegać Czemski.

Młodemu potrzebne pole wesołości, przyjazna kompania, pobudka do wymiany myśli i uczuć. Więcej jeszcze — chce mu się poezji żywej, czegoś szczytnego, co drga w sercu niewysłowione, nie tylko samotnych pragnień i cudzych wzruszeń, spisanych w książkach. O, naprzykład w Sławoszewie życie jest bujne, słodkie i użyteczne zarazem, boć to i najlepsze

gospodarstwo w powiecie, i siedlisko rozkoszy w porównaniu z Niespuchą! — — Jaka szkoda, że nie mieszka tam ktoś, ideowo pokrewny! Byłoby Eldorado — —

W takich namysłach tonął od czasu pierwszych odwiedzin Sławoszewa, a gdy się zbliżał dzień dożynków, Czemski rozważał projekt, który chciał ułożyć misternie, lecz w istocie bardzo prosty: pojechać do Sławoszewa z wizytą sąsiedzką, nie na żadną sesję, i wybrać przypadkiem dzień 20 sierpnia — —? Trochę to będzie przezroczyście i nazbyt skwapliwe — Broniecki nie oddał mu jeszcze wizyty — no, i pierwsze odwiedziny w Sławoszewie były tylko z powodu narady nad domem ludowym. — — Niby dobrze i trochę źle, jak w każdej sprawie ludzkiej.

Czemski, zazwyczaj łatwo się decydujący, wahał się w tej konjunkturze. Wreszcie zbuntował się przeciwko własnemu wahaniu:

— Do licha! nie jestem w zakonie, ani w wojsku. Wolno mi odwiedzić ludzi, którzy nie są przecie zdrajcami kraju.

I pojechał do Sławoszewa po południu, dnia 20 sierpnia.

Im bliżej do wielkiego dworu, tem weselej było na drogach od jaskrawości ubiorów, białych i czarnych sukman, kapeluszy męskich, okolonych pstrokacizną tasiemek, staników kobiecych, sypiących iskry haftami i bursztynami, głów wykwitających, jak zawiązki owoców

z obślonek. A niby herbowa tej ziemi barwa, ogniście żółta, tęczowo pregowana, błyskała zewsząd z ubiorów mężczyzn i kobiet. Unikając kurzu, ciągnęli ostrożnie zatrawionymi skrajami gościńca, pod cieniem sokorów, albo ścieżkami, przez pole wązko udeptanemi. Jechał i długi wasąg, obrzucony na siedzeniu herbowym łowickim kilimem, pełny radosnej drużyny.

A przez okólnik dworski dziewuchy, wystrojone jeszcze piękniej, śmigaly raz po raz pędem, jak rozszalałe cewki, dziergające szarą osnowę w pijane wzory.

Gdy Czemski zajechał przed drewniane kolumny podjazdu, ujrzał odrazu na ganku zgromadzonych domowników i gości, już widać oczekujących dożynkowego pochodu. Zaledwie wyskoczył i zdołał wymówić pół zdania, określającego cel wizyty bezinteresowny, już go Broniecki ocmokał powietrznie po obu policzkach i oniemiał zniewalającą wymową:

— Zuch z pana Stefana! Nie dzikus namurmuszony, za jakiego chciał dotąd uchodzić. Wie, czem radość sprawić sąsiadom, którzy już tak się na tej ludnej polskiej ziemicy znarowili, że człowiek Ignie do człowieka, gdy się chce poweselić. No, chodź-że bliżej, kawalerze miły, i chlipnij z nami tego złocistego »renia«, którym studziny sobie upały. A jest w nim niby jakaś słona duszyczka, która się wybiera

do nieba załotnem bulkotaniem... O, zobacz i spróbuj — —

Manieczka uściśnęła dłoń Czemskiemu mocno, jakby młodszy kolega, i nagle roziskrzoną twarzą zaświadczyła, że cieszy się szczerze z przyjazdu. Pani Kara Drobińska wzrokiem, mieniącym się od rzewności i ciekawości, zapypywała: »czy dla mnie?« — Świdorski i Drobiński przywitali się uprzejmie, wójt Skierski z uszanowaniem, a nawet ksiądz Mlecz wydał się Stefanowi nieszkodliwym w swej promieniącej uciechą życiową postaci. Poczul się zadowolonym Czemski pośród otaczającej go życzliwej ludzkości, radował się i śmiał, jakby odnalazł w tych prawie nieznanym — dawno szukanych bliźnich.

Po półgodzinnej żywej gawędzie na ganku, wzmożony gwar i chichoty od strony zabudowań folwarcznych zwiastowały wybuch święta. Przydrygał pod ganek pastuch Kobuzek, wywijając nad głową nieodstępną lisią czapą, niby dworski błazen:

— Prose jaśnie pana... prose jaśnie pana... chcom iść — —

— Niech idą! — odrzekł mocno Broniecki, zapiął i obciągnął na biodrach granatowy surdut kroju wojskowego i stanął między dwiema kolumnami.

Wytrysnęło z ciszy parę głosów kobiecych, jaskrawo niezgodnych, rozdzierających uszy, tak elektrycznych, że dreszczem dotkliwym

ucięły po skórach słuchaczy. Dziecko jakies zapłakało, przerażone.

— Skrzczą dziewczuchy, jak sówki na deszcz! — rzekł Broniecki do blizkich siebie, trzęsąc brzuchem nie bez emocji.

Powoli pieśń harmonizowała się, rosnąc. Prym wiodącej starej Walentowej, już podpilej, ktoś zatkał gębę, wypłynęły na wierzch głosy czyste, same kobiece, uczynił się pisk mniej więcej zgodny, surowy i ostry, ale już przyjemny, jak bek stada owiec. Tylko słów jeszcze nie można było wyrozumieć. Stugłowy pochód płynął do ganku, radując oczy natłokiem barw jasnych.

Dwie przodownice, ubrane przepysznie, niosły na głowach wysokie, zamknięte korony: pszenną i żytnią, a czując się widać kapłankami obrzędu, szły w skupieniu, sztywne i uroczyste. Jedna, wybrana dla swej piękności, Kaśka Jagiełówna, była służącą u pisarza; druga, mniej ładna, Zosia Pełczanka, dostąpiła wyboru dlatego, że była córką karbowego.

Teraz już można było zrozumieć słowa pieśni. Zwrotki zrywały się z pojedynczych piersi i ciągnęły za sobą stopniowo chór tłumny, rozlewały się po ogrodzie i podwórzu, jak wielkie westchnienia rozkoszne.

A roztwórzcie, strózu, szeroko wierzeje,  
Bo już się na polu pszeniczka nie wieje —  
Plon niesiemy, plon — —

A roztwórcie, strózu, dworskie okiennice.  
Prowadzimy przecie z pola przodownice —  
Plon niesiemy, plon — —

A nasz jaśnie dziedzic niemały, nieduży,  
Stoi se na ganku, kieby kwiatek róży —  
Plon niesiemy, plon — —

Broniecki śmiał się, niedowierzał pochwale  
swej świeżości, zachęcał do dalszych przy-  
śpiewków osobistych.

Zaśpiewano dla Manieczki:

U naszej panienki puchowe poduszki,  
Zjeżdżają się swaty od granicy pruskiej —  
Plon niesiemy, plon — —

Ale potem zabrakło trochę pomysłów. Pa-  
nią Drobińską i księdza proboszcza porównano  
znowu do róży. — Gdy jednak Wierzbowski,  
wyprzedziwszy pochód, stanął na gankowych  
schodach, wiecznie do konia ubrany, Broniecki  
zawołał:

— Cóż będzie na pana rządęcę?

Zaraz huknęła Walentowa:

U naszego rządcy poły cości kuse,  
Bo ze sztuki sukna dużo dał dziewusze —  
Plon niesiemy, plon — —

Rozśmieli się wszyscy, oprócz przodownic,  
które, przejęte swem stanowiskiem, spocone  
pod ciężarem koron, stały wciąż kamiennie.  
Nareszcie powołał je do siebie Broniecki, zdjął

wieńce z głów i wsunął każdej w rękę po zło-  
tej monecie.

Potem krótką miał przemowę dziękczynną  
do swych pomocników w gospodarstwie, za-  
kończoną sutem rozdawaniem nagród pienię-  
żnych.

Był to dopiero pierwszy akt uroczystości.  
Nastąpić miał poczęstunek, tańce w opróżnio-  
nej wozowni i jeszcze uczta w nocy. Bronie-  
cki lubił wogóle wielką skalę w zabawie, jak  
i w robocie.

Kiedy już fala ludu odpływała od ganku,  
dali się dopiero widzieć zdaleka gospodarze  
z Mielna, Rykoń, Workowski i Selwestrowicz,  
zaproszeni na okrężne, jak i wójt Skierski,  
który już siedział na ganku. Broniecki za-  
wołał:

— Cóż to sąsiedzi kryjecie się, jak pokra-  
czne panny? Nie łaska do nas tutaj?

Zaczem swobodny i piękny Rykoń, ospo-  
waty Workowski i sążnisty Selwestrowicz,  
wszyscy w białych sukmanach na kompletnym  
stroju łowickim, przyszli wolno od ganku, za-  
jęli miejsca i napili się pałacowego wina. Byli  
to, razem z wójtem, bogacze wiejscy i sta-  
tyści.

— A gdzież to Kołaczyński, Orlik, Mary-  
niak? Nie zabrali się z wami? — pytał Bro-  
niecki.

— Nie widać jakoś — odrzekł Rykoń.

Workowski, który oczy miał świdrujące, zwrócił się do Czemskiego:

— Już to pan wie, dlaczego nie przyszedł Kołaczyński, albo i Maryniak — —

— Nie wiem, nie mówiłem z nimi o tem — wyparł się Czemski.

Broniecki zaś urwał tę rozmowę, stawiając inne pytanie:

— A wasze żony? córki? — nie mówię do was, Janie, bo wy się na przeora w Miedniewicach kierujecie, jak słyszałem.

— Ej tam zara na przeora, panie dziedzicu! — odrzekł Rykoń. — Człowiek i tak służyć może Bogu, gdzie go postawił.

Okazało się, że bab i dzieci nie przyprawdzili gospodarze na okrężne. Dwie tylko córki najstarszego Selwestrowicza, hoże dziewczyny, wmieszały się już w grono młodzieży.

Gdy wkrótce Mielniacy poszli odwiedzić rządce, Wierzbowskiego, Czemski trzymał się jeszcze Bronieckiego, który mu zaimponował swą reżyserską umiejętnością i pewną władzą nad ludem. Nietylko czeladź, lecz i niezależni sąsiedzi gminni z ochotą poddawali się przewadze wesołego pana na Sławoszewie; kobiety z zapalem całowały go po rękach, wszyscy patrzyli mu w oczy z zaufaniem. Szlachcic całował co ładniejsze dziewczyny po głowach i skroniach, bronił się od przyjmowania nadmiernej czołobitności parobków, witał sąsia-

dów gospodarzy ze wspaniałą swobodą, pawał faktycznie nad zgromadzeniem.

Czemski tak się bał pochlebstwa, że z powodu tej obawy zapomniał często o uprzejmości. Pomiął tedy dodatnie wrażenia, których doznał, i wystąpił z krytyką:

— Jednak ten lud niezupełnie zapomniał jeszcze tradycyi poddaństwa — —

Broniecki zerknął trochę ironicznie na pełnego teoryi młodzieńca:

— Pozwól im pan nie zapominać tych tradycyi, które tu pan widzisz. Cóż ja? orzę nimi, czy ich karmię i uczę? Jak sądzisz, panie Stefanie?

— Nie, nie... ja wcale nie o panu — cofał się Czemski — mówię o ich nawyknięciach, o ich biernej uległości dworom, o pewnej uniżoności...

— Tere-fere, panie Stefanie! Rykoń nie jest uniżony, ani Workowski naprzykład. A innych będę tam uczył, czy mają mi się kłaniać do ziemi, czy tylko do pępka? Furda! panie znawco ludu! Wolę ich uczyć czytać, pisać i orać. Lubię ja ich i oni mnie; grzeczny jestem dla nich i oni dla mnie po swojemu — cała rzecz w tem.

Czemski zamilkł, choć mu do głowy przychodziły restrykcyje. Broniecki przekonywał go jednak pogładowo do niektórych sposobów porozumiewania się z ludem.

Odezwał się zdaleka skoczny brzęk bębenka

z przygrywką skrzypiec. Manieczka zatrzepotała się do tańca.

— Powoli, córuś, powoli! — powstrzymał ją pan Józef — oni tam dopiero probują instrumentów; jeszcze pierwszy poczęstunek nie mógł się skończyć. Przynieś-no lepiej te paczki dla dziewczyn i dzieci.

Furknęła Mańka w głąb domu i zaraz powróciła z Magdą, ubraną dzisiaj wspaniale po chłopsku; każda niosła po kilka papierowych pudełek. Broniecki otworzył największe, nabrał z niego różnobarwnych szpulek z nawiniętymi na nie wstążkami, napchał sobie kieszenie, a nie mogąc pochłonąć całej zawartości pudła, zwrócił się do Czemskiego:

— Bierz pan także; to nasz wydział, a panie zajmą się rozdawaniem cukierków dzieciom. Ksiądz Kajtusia nie będę tam ciągnął, ani panów Piotra i Leona, bo już widzę, jak się chyłkiem skradają do karciań — kosteryl!

— Bo i prawda — odpowiedział proboszcz — nas tam nie potrzeba: tańcować nie będziemy, a ludek mamy zawsze z sobą.

Zatem ksiądz Mlec, Drobiński i Świderski pozostali w domu, szukając sobie rozkosznego miejsca na partycję »z dziadkiem«, a Broniecki z Czemskim i paniami poszli ku wozowni, przed którą na świeżem powietrzu odbywał się poczęstunek.

Gadał tam gwar paruset rozweselonych głosów; nabrzmiały grubem dogadywaniem kar-

bowych, dziergany brzękiem i piskiem instrumentów, przegrywających już na ochotę. Przy dwóch stołach zastawionych gąsiorami z wódką, bułkami i porcyami smakowitej kielbasy z czosnkiem, dwaj karbowi nalewali raz po raz kieliszki »czysteje« dla chłopów, »słodkiej« dla kobiet, przystępujących dwiema kolejkami do stołów. W kolejce męskiej panowała raczej powaga, ale w kobiecej było dogadywań i chichotów co niemiara. Jedne »wstydzono«, że piją, drugie do picia namawiano. Zwykle młódka stawała przed karbowym ze spuszczo-nemi, albo zasłoniętymi ręką oczyma, wychylała potem kieliszek niespełna, resztę chlustała o ziem i uciekała szybko w stado. Starsze zaś baby szły do picia odważnie; gruba Walentowa już trzeci coś raz:

— Dajcie-no, Wawrzon, chłopskiej, bo me iuż ta słodka mgli...

— A to przebiezrcie się w portki, jeżeli się w które zmieścicie — odpowiedział karbowy, lecz mimo to nalał czysteje.

Walentowa przełknęła gładko i zaraz ochrypłym głosem zaśpiewała:

Prosimy Wawrzona o większy kieliszek,  
Bo nam przeszłoroczny nie doszedł do kiszek.

A karbowy monitował znowu cisnących się zbyt skwapliwie do kolejki:

— Nie napirajta mi na stół, bo się wywali. Z bruku będzieta wódkę lizać — co?

W tej wesołej bójce o »wodę życia« brała udział tylko służba dworska. Gospodarze zaproszeni stali na ubóczu z rządcą.

Gdy dostrzeżono dziedzią, gwary i dogadywania ucichły. Ale Broniecki, któremu do brze było w gwarzę bachicznym, nie chciał go przerywać. Zbliżył się do barwnej, nabitej grzędę dziewczyn i, dobywszy z kieszeni szpulkę, zawołał radośnie — snadź lubił tę zabawę z dziewczynami, jak dziewczyny lubią wstążki:

— No, sikorki, która mi pierwsza złapie w garść szpulę i pokaże — jej wstążka!

Nad głowy stadka cisnął całym rozmachem szpulkę, przytrzymując koniec wstążki w drugiej ręce; czerwony wąż furknął i zamigotał w powietrzu.

Podniosło się kilkanaście rąk, rozległ się pisk tak rozigrany, jakby wszystkie naraz dziewczuchy ktoś załaskotał po żebrach — — Z zakotłowanego stadka wytrysła po chwili zaciśnięta mała pięść Kaśki Jagiełówny.

— Ja! ja!

— Aha! przodownica! — śmiał się do łez Broniecki — łatwo takiej, bo śmigła, jak to pola. No, zwijaj-że ją sobie do kieszeni. Teraz druga — —

Puścił serpentynę, tym razem zieloną; omięła jakoś nastawione ręce dziewczyn i upadła na ziemię. Rzuciło się po nią kilka na klęczki.

— A nie potargajcie się tam, panny, przed tańcem! — nawoływał wesoły rozdawca.

Wkrótce wyniosły się nad głowy dwie naraz ręce, kurczowo zaciśnięte około szpulki:

— Proszę pana — zawołała płaczkliwie jedna z dziewczyn, walczących o wstążkę — ona mi z rąk wydzira!

— No, masz tam drugą taką samą — cisnął Broniecki szpulkę bez węża.

Znowu niebieską wstążkę chwyciła w lot Stańczakówna, a »bladą« Świątkowska.

— Rzucaj-że też, panie Stefanie! — zapraszał Broniecki.

Czemski sprobował, ale choć silnie rzucił, nie rozwinął węża, uderzył szpulką Jagnę Banuszanke, stojącą w pierwszym rzędzie, aż się poskrobała w ramię, ale szpulkę podniosła skwapliwie.

— Musiał pan się wprawiać do tego sportu? — zawołał Czemski z przekąsem.

— Nie, kawalerze. Talencik! talencik do ludu, widzi pan — o!

Szmyrgnął znowu wężowym rzutem, aż zawarczało. Ale gdy szpulkę dosięgła po raz drugi Kasia Jagiełówna, Broniecki zaprzestał rzucania i rozdał resztę wstążek dziewczynom do rąk, pozostawiając tym, które w lot chwyciły, ich zdobycz, jako naddatek.

Teraz pani Kara i Manieczka rozdawały cukierki dziatwie roślejszej, skorej już do biegu i chwytania, i zupełnie drobnej, do której

przypadły matki, forytując im do obłowu rączyny. Namnożyło się tam cichej, osłupiałej rozkoszy i smakowitego mlaskania.

Pastuch Kobuzek, wielki muzykant, który dotąd rzepolił tylko zcicha na skrzypicy od czasu do czasu, jakby na oskomę do tańca, urznął nagle od ucha oberka. Zawtórzyły drugie skrzypce Antka Nowotnego i basetla Dziećciola, pomocnika organisty, a w bębenek zadudnił Franciszek Wąs, który głuchy był, ale takt trzymał niechybnie, miarkując po ruchach reszty muzykantów.

Więc posypała się młodzież ku otwartym narozcież trzem bramom wozowni, a Kasia Jagiełłowna, ośmielona przez swą godność przodownicy, przyszła zaprosić samego pana dziedzica do rozpoczęcia z nią tańców. Pocałowała go w rękę, i w całym blasku swej urody, podniesionym przez piękny, archaiczny strój łowicki, oczekiwała na zgodę. — Broniecki pokręcał węża, wpatrywał się dość długo w niebieskie oczy, uciekające spojrzeniami na boki, w niecierpliwe do śmiechu usta dziewczyny, jakby się namyślał, czy nie będzie przy niej śmieszny w tańcu. Wreszcie, zwracając się do Czemskiego i pani Kary, rzekł:

— Jakże tu odmówić, gdy zaprasza sama Katarzyna Jagiellonka?

I poszedł z nią w taniec wstrzemięźliwy, jednak regularnie odmierzony, z ochoczym po-

drygiem, z lekkim hołubcem, z zatoką prawej nogi oznaczającą przyklękanie.

Poznając swój taniec, wyrwały się już do niego inne pary, lub patrzyły z serdeczną aprobacją na dziedzicowe płasy, a niejednen pod nosem już i w takt podśpiewywał.

Wicek od cugowych koni, wyrostek, jak świeca, wypomadowany godnie i w butach od lakieru lustrzanych, pokłonił się pięknie panience do tańca. Nie namyślała się Manieczka ani chwili. — Wicek drobił z początku, kręcąc głową i wypatrując miejsce i chwilę popisu, aż jak zarwał od kąta na odsiebkę, obleciał całą wozownię w samych przyklęczkach. Manieczka, mocno w tył przegięta, z rozwianym od wiru warkoczem, dopisała wybornie tancerzowi.

Zerwały się inne pary, teraz już hurmem. A że pod ściany natłoczyło się widzów, więc uczynił się tłum, którego ośrodek wirował kołem tanecznem. Taniec postępował parami w koło powoli, cały w lekkich podrygach rąk i ramion, czasem tylko ochocza para, upatrzywszy trochę luzu, wyrwała się do kilku rozhasanych obrotów i powracała znowu do zacieśnionego ordynku.

Pani Kara i Czemski, nie tańczący oboje z różnych powodów — ona, że miała zbyt obcisłą suknię, on że z zasady (?) nie tańczył — stali poza wozownią. Ale przez bramy otwarte patrzyli na obraz płynący: pasiaste wełniaki



łowickie, jednobarwne jupki gostyńskie, białawy na białych koszulkach kobiet, amarantowe lub ciemne z błyszczącymi guzikami lej-biki mężczyzn — sunęło to wszystko oślepiającym korowodem.

— Ostatecznie arlekinada! — odezwała się pani Kara, sądząc, że ta uwaga podoba się Czemskiemu, który patrzył namarszczony.

— Wie pani, że nie powiem... ma to wiele charakteru i żywiołowej estetyki. Widzę po raz pierwszy takie okrzęzne.

— Tak, to rozumiem pana zaciekawienie. Ale naprawdę dosyć pierwotna zabawa.

— Jednak zabawy pierwotne dają najsilniejsze wrażenia — rzekł Czemski, spoglądając wesoło na panią Karę.

A ona chwyciła w lot nitkę ciekawszej konwersacji:

— Gdy są szczerze, silne i uprawiane przez ludzi wyrafinowanych — —

— Przystają już wtedy być pierwotnymi — oponował Czemski.

— A mnie się zdaje, że można brutalność zabawy połączyć z finezyą uczuć, a nawet... zmysłów.

— Można rzecz nazywać, jak się chce, gdy się jej chce —

— Albo nie nazywać wcale, tylko... iść za swym marzeniem, za instynktem — dodała pani Kara głosem rozedrganym.

Patrzyli sobie w oczy, ona romantycznie, on ciekawie, oboje nie bez ironii.

Wtem z tanecznego tłumu wypadł Broniecki zhasany, a za nim Manieczka z głową, obwiązaną chłopską »salinówką«, i Magda pokojowa bez chustki na włosach. Panna była rozbawiona ogniście; czerwona chusteczka przy jasnej sukni czyniła ją podobną do chłopki.

Napadła bez ceremonii na Czemskiego:

— Czy się pan nie wstydzi?! — Taki młody i żeby nie tańczyć! Chodź pan — zatańczymy.

— Ależ ja nie mam pojęcia, zwłaszcza o tym tańcu — tłumaczył się Stefan energicznie i wesoło, ujęty śliczną postacią i swobodną życzliwością Mańki.

— To tak łatwo! o! niech pan patrzy — —

Na bruku podjazdowym do wozowni wykonywała solo w takt muzyki, unosząc trochę sukienki, aby okazać zgrabne trzewiki, rzeźbiące popisowo oberka.

— No, niech pan spróbuje — —

— Może później? — wypraszał się Czemski z pokornym, jak na niego, uśmiechem.

— Dobrze, później, bo teraz bardzo mi gorąco. Widzi pan: włosy mi się rozleciały od zawracania na odsiebkę, wzięłam na głowę chustkę od Magdusi — —

Niesztycznym swym, ale szczerym wdziękiem pociągnęła ku sobie Czemskiego, który bez namysłu podążył za nią ku dworowi.

A pani Drobińska, idąc wolniej z Bronie-

ckim, gonila doświadczonem, trochę niechętnem spojrzeniem tamtą parę zmówionych nagle z sobą sprzymierzeńców.

— Rozruszał się nasz filozof z Niespuchy — zauważył pan Józef.

— Nic szczególnego — odeła usta pani Kara — ma się za filozofa, którym nie jest, i ogromnie pewny swego uroku.

— To i do kochanej pani trochę, że się tak wyrażę, tokował?

— Żebym mu tylko pozwoliła — —

— Ci młodzi, to cielęcina; prawda, pani Karusieńko?

— Sama przecie zawsze to mówię — —

Blady, ale dobrotliwy uśmiech zakwitł na jej twarzy, zwróconej łaskawie do przyjaciela, który gorąco ucałował jej rękę.

Odtąd trzymali się razem, Czemski zaś z Manieczką. Trzej sąsiedzi grali zawzięcie w bridge'a.

A na balu włościńskim rosła coraz ochota w miarę zbliżania się ochłody i rozkoszy nocnej. Już zapalono w wozowni dwie lampy ścienne, oświetlające słabo, zato tajemniczo, tanceczne koło. Lecz salą balową stawała się cała okolica, folwark, ogród, drogi, osadzone drzewami, pola rozległe tu i owdzie aż po las, za którym zgasła wielka lampa dnia, zostawiając na niebie jaskrawą, już tęskną, już rozmarzającą zorzę. Taniec w wozowni przycichał, mdlał, znowu zakipiał i znowu mdlał — cze-

redy polotne i rozchichotane, pary ciche rozchodziły się szeroko po ziemi parującej wioniami, powracały znowu do środka pospólnej zabawy, gdzie głośno lub mżąc odzywała się muzyka. I nie zliczyć tych wszystkich uciech, tych mocniejszych, niż uciecha, pragnień, które wzbierały w piersi tej i owej, a niby krzyki ciche pobudzały rozedrganą pierś tłumu. Dusze i zmysły powinowate szukały się nawzajem, każda istota miała coś do zwierzenia innej, a także ze zbiorowego szczęścia pragnęła swego udziału. Rodziły się zaś i miłosne plany zupełnie określone, powstawały starania i zabiegi.

— Jeżeli się dziś nie zmówię z Jaśkiem Rykoniem — myślała Magda Olczakówna — to już nie wiem...

Miała trochę roboty we dworze przy panience i pozwołoną zabawę w wozowni; więc raz po raz przebiegała przez podwórze, na podziw strojna i piękna, w szatkach swych ludowych, dobranych wybornie gustem dworskim — i starała się zaczepić Rykonia. Najgorzej, że się trzymał ciągle z poważnymi gospodarzami i z Wierzbowskim, którzy nie tańcowali. Więc wszystkie zalotne spojrzenia i miłowania się Magdy przepadały, bo tylko rozgrzewał się do niej Wierzbowski, zdawna już na nią łakomy, a to nie było jej po myśli. Nareszcie przydybała Jana, zaglądnącego do wozo-

wni, gdzie znowu tańce się wzmogły. Dopadła go i dygnęła przed nim dworską modą:

— Proszę pięknie pana gospodarza do tańca.

Uśmiechnął się zębami i oczyma, a młodo, a uroczo:

— Ii... co mnie tam? Już zapomniałem.

— A żeby was nasza panienska poprosiła w taniec, tobyście poszli?

— Nie poszedłbym. Jeżeli już, to ze swoją.

— To chodźcie — —

Obejmowała go prawie wyciągniętymi ramionami. Jan chwycił ją nareszcie mocno w pól — poszedł w taniec. Spozrzegłszy takiego dostojnika w białej sukmanie, muzykanci dobyli z siebie żaru i urznęli od ucha polkę; wiele par przestało się kręcić, aby ustąpić Rykoniowi miejsca. A on krążył swobodnie, gracko, jakby nic innego nigdy nie robił, aż radował wszystkich patrzących nie mniej, jak kiedy dziedzic poszedł w taniec. Pyszniły się parobki i dziewczuchy, że sam Rykoń z Mielna z nimi się pospolituje. I ktoś z wielkiej uciechy huknął figlarny przyspiewek do polki:

Nie daj się, dziewczyno,  
Z rozumu wywodzić,  
Bo ci ładnie i przystojnie  
We wianeczku chodzić.  
Biegaj do ogrodu,  
Przypatrz się makówce,

Jak jej ładnie i przystojnie  
W wianeczku na główce.

Gdy skończył taniec Rykoń, choć nagabywany przez wiele innych tancerek, wyszedł z wozowni. Olczakówna czepiała się go za ramię, to go w pól brała, jakby chcąc swój tryumf okazać jak najszerszym kołom.

— Oj, dobrze z wami, Jašku! — mówiła szeptem miłującym — wzięlibyście mnie do siebie w dom, to jużbym wiek cały ostała.

— Nie pora mnie żenić się — odparł stanowczo Jan.

— Ja na służącą do was pójdę, na wszystko, co każecie — —

Rykoń spojrział jej w oczy bystro i z zajęciem:

— Kiedy to tak letko mówicie, to już wy chyba nieraz godzili się na cudze chęci?

— A nieprawda! Znacie-li kogo takiego, cobym mu się pozwoliła, to gadajcie!

— Nie znam i nie moja rzecz — — jeno wy mnie do niejakię potrzeby: w chacie matka siedzą i wszystkiego pilnują.

— Toć trzymacie dziewczę, Anastazyę?

— Tyle tylko, że popychadło.

— Jabym na ten sam kawałek chleba do was się zgodziła.

— Zdaje się wam, Magdalena... Życie u mnie smutne, a wy już tu przywykli do łatwego: z panienką se gadać, ubrać się — jak do pa-

na, to po pańsku, jak do chłopu, po chłopsku. I nie grzech — tylko wy już nie na służącą do gospodarza.

Ledwie nie zapłakała Olczakówna; przejrzał ją chytry Jan, że dla niego się wystroiła, podejrzewa ją, może słusznie, o zalotność — —

— To mi wymawiacie, żem się po naszemu ubrała?

— Gdzie zaś?! nie grzech, mówię. I wygładacie, jak ten pierwszy kwiat, co go się ujrzy na wiosnę.

Pocieszyło to znacznie Magdę, zwłaszcza, że Rykoń błysnął zębami wcale inaczej, niż wypadło surowemu moralściu.

— A kiedy kwiatek, czegoż się ode mnie boczycie, jak od pokrzywy?

— Brałbym ja was, Magdusiu, za żonę i za matkę dzieciom, żeby mnie wolno było — —

— Wam nie wolno? cóż to?! — zadziwiła się niezmiernie Olczakówna.

— Kiedy człowiek sam sobie czego zakaze, najtwardszy zakaz jest.

— Ale mnie powiecie, dlaczegoście tak postanowili? — wdzięczyła się całą siłą swej pojęty, całym żarem spojrzenia.

— Nie powiem.

— Jabym na szczęście i zbawienie duszy się zakłęła...

— Nie trzeba, Magda, bo nie powiem.

Stanąła znowu Olczakówna przed czemś niepojętem, co broniło dostępu do Rykonia.

Ustawiano na krzyżakach długie stoły pod gołym niebem, przy szpalerze grabowym. Bezwietrzna pogoda pozwalała nawet na zapalenie lamp. Nakryto regularnie na pięćdziesiąt osób samej starszyny z wieku i z urzędu. I nowy gatunek zamętu na podwórzu, przycichnięcie muzyki w wozowni — zapowiadały nowy oddział uroczystości. Kuchnia pałacowa i czeladnia łypały obiecująco rozświeconymi oknami, a dym z kominów buchał wysoko, zalegał jedynemi chmurkami na niebie pogodnem.

Od dworu zbliżała się kompania pałacowa w komplecie, nawet zawzięci karciarze mieli zasiąść do wspólnej wieszery. A jednocześnie z kuchni wysunęły się ogromne przykryte naczynia, półmiski, brytwanny i saganki, niektóre aż siłą czworga rąk i klusem czworga nóg niesione. Zrazy polskie i kasza, gdzie przeszły, zaprawiały powietrze pożywną wonią.

Trzeba było szukać po omacku i zwoływać dostojniejszych biesiadników, bo już noc zapadła. Broniecki obrał sobie miejsce na krótkim boku stołu, posadził obok siebie proboszcza dla tradycyi i Rykonia dla wyróżnienia go osobliwego. Drobiński, Świdorski usiedli dalej na przemian z gospodarzami z Mielna. Pani Drobińska znalazła się z małym zadowoleniem przy proboszczu, a Czemski, nikogo nie pytając, usiadł przy Manieczce. Następnie zasiedli do stołu prawie sami tylko mężczy-

źni, bo Mielniacy bab swoich nie przyprowadzili, a ze służby dworskiej tylko szafarka i dwie żony karbowych zasłużyły na wyróżnienie. Ale szafarka przysiadła tylko z brzegu, dla honoru wspólnego stołu z panami, i zaraz podążyła napowrót do kuchni, gdzie czynna była przy gotowaniu wieszery. Dzbany z piwem, kosze z chlebami i misy pełne owoców ubierały stół dostatnio i niesztucznie, przypominały obrazy uczt jakichś legendowych.

Ucichła muzyka, ucichły nawet rozmowy, wszyscy jedli nie na żarty, starszyzna przy głównym stole, a reszta na ławach przed wozownią, pod kuchnią, pod oknami rządcy. Za ledwie krzątanie służby przerywało ciszę, która się rychło sprzykrzyła Bronieckiemu. Nie chciał mieć mowy do zebranych — samo przyjęcie mówiło za siebie — więc zaczął dogadywać bliższym i dalszym biesiadnikom:

— Hej tam! Wawrzon! cały rok pilnujesz cudzej roboty, dzisiaj bez dozoru potrafią chłopyski odrobić sumiennie, co im zadane. Pilnuj swojego talerza i szklanki! Nuże — napijmy się, stary!

Podniósł swoją szklankę, a karbowy wstał, ukłonił się i wypił swe piwo duszkiem.

Do drugiego karbowego przepił z innej beczki:

— A tobie, Stachu, życzę, żeby ci się wnuki zdrowo chowały. Macie już tam jaką pociechę z córki, która wyszła za Kutno?

— Dał już Pan Bóg dwoje, panie dziezicu.

— Odrazu?

— A jedno w kwadrans po drugim.

— Będą mieli zaraz z sobą zabawę. Niech żyją szczęśliwie!

Zwrócił się do gospodarzy z Mielna:

— Myśmy już sobie we dworze świadczyli. Chyba że wypijemy z wami za rychłe zbudowanie tego domu w Mielnie, który nam wszystkim na sercu leży?

Wypili w kilka osób naczelnych przy stole. Odezwał się Workowski z przytykiem do wójta:

— Wypić dobrze, ale piwem domu nie podmuruje. Niech-no Damian powiedzą, kiedy to zebranie gminne będzie, po waszemu »schod«?

— Miało być po niedzieli we czwartek, kiedy jeszcze od naczelnika niema »razreszenia« — odrzekł Skierski.

— Zwołujcie na czwartek; ja naczelnika zaraz jutro poproszę na kuropatwy i obrobie — zapewniał Broniecki.

— Można to tak? — powątpiewał wójt — bo i pisarz będzie mantyczył..

— A czy pisarzunio kartofli w tym roku nie potrzebuje ode mnie? — zapytał Broniecki figlarnie.

— Zara jutro »nakażę« — zdobył się Skierski na akt władzy.

Sporo było jeszcze gadania przy stole o wiel-

kiej sprawie Mielna. Rykoń się ożywił i przemawiał za nią, choć wiedział, że mówi do kilku sprzymierzeńców i do reszty obojętnych, jak na przykład służba sławoszevska. Ale argumentacją swą chciał trafić do proboszcza i zwrócił się nareszcie wprost do niego:

— Żeby tak przy kazaniu w przyszłą niedzielę przemówił ksiądz proboszcz dobrodziej przychylnie o naszym domu, dużyoby luda się do tego przekonało i zebranie gminne lżejby poszło.

Skrzywił się ksiądz Mlec, jakby muchę połknął z piwem. Zanim odpowiedział, Broniecki poparł Rykoniam:

— Dobrze mówi Jan. Mógłby ksiądz Kajetan (unikał nazywania go »Kajtusiem« w liczniejszych zgromadzeniach) nawet z ewangelii o włodarzu sprawiedliwym, albo o wypędzaniu przekupniów ze świątyni wysnuć aluzykę do naszego domku — a chwała Boża i ludzki pożytek na temby zyskały.

— Najprzód — bronił się ksiądz Mlec — inne są teksty na przyszłą niedzielę...

— Drobnostka, proboszczuniu. Właśnie w tem dowcip, żeby, zacząwszy od byle czego, trafić tam, gdzie potrzeba.

— Przedmiot zupełnie świecki — wymigiwał się proboszcz.

— O wa! mało to świeckich rzeczy z ambony się mówi! — wtrącił Rykoń dosyć krnąbrnie — toć ksiądz dobrodziej niedawno mnie

z ambony wypominał, że ja dozór kościelny buntuję, a nie tak było, tylko tam kobiety dobrodziejowi nagadały — —

Zaperzył się ksiądz Mlec:

— Wy, Janie, macie zawsze skłonność do kontrolowania proboszcza. A co powie proboszcz, to rzecz święta!

Jakoś ten pewnik nie wszystkim trafił do przekonania. Milczeli, niejeden się uśmiechnął. Uratował sytuację Broniecki:

— Właśnie świętą rzecz masz, księżo Kajetanie, do powiedzenia. Taki dom zmniejszy pijaństwo, przysporzy nauki i zabawy będą ludzkie — o!

— Panie Józefie łaskawy! Kiedy dom stanie, poświęcę go darmo, będę do niego zaglądał — ale, żebym do składki namawiał z ambony, jeszczeby władza w to się wmieszała i dostałbym nosa.

Dano proboszczowi pokój; pomoc jego była wątpliwa, a nie chciano rozdmuchiwać sporu między nim a Rykoniem, chłopem pobożnym, ale w sprawach gminnych nieustępliwym.

Pastuch-skrzypiciel Kobuzek pierwszy pono skończył swą wieczkę na ławie pod wozownią i już znowu rzepolił skocznie. Namiętnie lubił podniecać zawieruchę tańca, brać w niej udział oczyma, ręką, prym trzymającą, i nogami, w takt podrygującemi. Zapatrzył się na nogi Kobuzka głuchy Franciszek Wąs i jał wtórować na bębenku z fantazyą i rytmem,

nie gorzej od basetlisty Dzieciola, który i sły-  
 znał dobrze, i z nut coś nie coś rozumiał. Na  
 zaraźliwą przegrywkę muzyki zrywała się mło-  
 dzież z podwórza i ciągnęła napowrót do wo-  
 zowni, ten i owa rwał jeszcze zębami słodkie  
 jabłka »papierówki«, dane na wety. — Aż i star-  
 szyzna powstała od stołu. W mig się ułożyło  
 nowe kolisko taneczne i deptało tłumnie pa-  
 rami po wozowni; czasem tylko przytupnięcie  
 siarczyste, albo pokrzyk, objawiały niecierpli-  
 wość i wzmożoną ochotę. Szał dobierania się  
 w pary, przyciskania piersi do piersi, biodra  
 do biodra, pohlania we dwoje — ogarniał już  
 nietylko wozownię, lecz całe podwórze i oko-  
 licę, owianą wonnym czarem nocy świątecznej.  
 Wicek z cugowej stajni złapał karbowiankę na  
 powietrzu i, jak z nią zaczął wywijać obertasy  
 na brukowanym podjeździe, spadli z niego ra-  
 zem i potoczyli się po murawie, ku wielkiemu  
 śmiechowi patrzących. Inne pary wymykały  
 się z wozowni, nie rozłączając splecionych ra-  
 mion, i krążyły po podwórzu, szukając cie-  
 niów. Taniec, skoczny pod dachem, rozpływał  
 się coraz szerzej w wolniejszą przechadzkę  
 pod drzewami, pod niebem wyiskrzonym i na-  
 mownem. Ośrodek brzęku i gwaru pozostał  
 w wozowni, ale falistymi promieniami rozpeł-  
 zał się aż do alei ogrodu, rozcieńczał się w chi-  
 choty jawne, dalej w stłumione, jeszcze dalej  
 w szmery i szepty. Niby wielki twór, żyjący  
 wirem w swem jądrze świetlnem i gwarnem,

a rozpostarty mackami przez kraj śmiechu, aż  
 do dziedziny westchnień i omdleń.

Kompania dworska rozplynęła się gdzieś  
 i przepadła; karciarze powrócili zapewne do  
 bridge'a. Broniecki odprowadzał przed chwilą  
 panią Karę do domu, ale niema ich w poko-  
 jach — muszą zapewne być w ogrodzie — —  
 Manieczka poszła ich szukać z Czemskim.

Zaszli w tę »dziką promenadę«, gdzie przed  
 miesiącem upatrzyli świetliki. Przypomnieli to  
 sobie z uśmiechem; ale Manieczka była dzisiaj  
 daleka od rezolutnej szczerotliwości tamtego  
 wieczoru, Stefan zaś, także małomówny i swem  
 milczeniem niepokojący, jakby w gardle za-  
 trzymywał słowa niebezpieczne. Nie od niego  
 jednak, lecz od tej nocy, przepojonej zmysło-  
 wą rozkoszą, płynęło coś zbyt silnego, coś obra-  
 żającego panienkę. Zdaleka dochodziły dźwięki  
 muzyki, ciemność była nasycona śmiechem ła-  
 skotliwym i wybuchami hulaszczey piosenki.  
 Zpobliża usłyszeli wyraźnie:

Ola, ola, kole pola  
 Kole olszyny  
 Pobily się dwa chłopaki  
 Wedle dziewczyny — —  
 Ha, ha, ha!

Spotkali znowu samotną parę: Staśka Wo-  
 zniaka, młodego fornała, z piękną Józją »żół-  
 nierką«, której męża wzięto do wojska na Kau-  
 kaz. Szło sobie powoli tych dwoje, trzymając

się w pół, jak do oberka, a gdy spostrzegli Czemskiego z Manieczką, rozłączyli ramiona, zeszli im trochę z drogi, ale minęli bez ukłonu. Nie mogło tam być uczciwej zmowy między nimi, bo Józia przecie zameżna. I błysnęli oczyma jakby zuchwale ku młodej parze ze dworu, posądzając ją może o koleżeństwo. Gdyby było jasno, Stefan ujrzałby na twarzy Manieczki silny rumieniec oburzenia.

Im dalej w las, tem gorzej. Ani on, ani ona nie wiedzieli, o czym mówić. Czemski, oszołomiony całą orkiestrą wrażeń zmysłowych, czuł się teraz niezdolnym do swobody. A tak się dobrze gadało cały wieczór z tą śliczną pannienką, nawet o ludzie i o jego przyszłości, nawet o kwestyach drażliwych — — Teraz, w tej nocy rozmiłowanej, trzeba było mówić jedynie o miłości — a Stefan nie poczuwał się do takiego prawa wobec Manieczki. Ona zaś możeby i tego chętnie słuchała, tylko nie tutaj — — tu jest strasznie, wstydliwie, grzesznie — —

Ponieważ poszła szukać ojca, szła dalej, pchana przez inercję tego niewczesnego projektu. Aż jakieś głosy, nie chłopskie, wyróżniły się z innych gwarów.

— Zdaje mi się, że słyszę głos ojca pani i pani Drobińskiej — rzekł Czemski.

— Tak, zdaje się — odpowiedziała Manieczka wcale nie radośnie.

Postąpili jeszcze trochę w głąb ogrodu. Rze-

czywiście, słyhać było głosy Bronieckiego i pani Kary, umiejscowione tam, gdzie Manieczka wiedziała, że stoi zaciszna altanka nad rzeczką. Głosy nagle ucichły.

Dziewczyna stanęła, zachwiana we wszystkich swych postanowieniach. I po jej ruchu, pomimo ciemności, zrozumiał Czemski, że ona chce stąd uciec. Wiedziony tem przecuciem, odezwał się stanowczo:

— Wie pani co? powróćmy do domu.

— Ach tak! jaki pan mądry i domyślny!

Stefan nie zaprzeczył i zawrócił, milcząc, w drogę powrotną. A Manieczka, czując przyływ do serca ogromnej ulgi i swobody, sama tłómaczyła swój wykrzyknik:

— Bo pan nie jest, jak wszyscy, którzy dlatego, że okrzęzne... że taka noc... zaraz głupieją i tylko im głupstwa w głowie? — Pan ma ideę... pan coś zrobi dla kraju... zaraz tak pomyślałam, kiedyśmy się poznali.

— W każdym razie — odpowiedział Czemski głosem szczerym i dobrym — może pani z zaufaniem oprzeć się na mojem ramieniu.



## VII.

Wrzesień dłużył się i przykrzył Czemskiemu w Niespusze, choć był radosny na ziemi, ozdobionej krasą męskiej dojrzałości, sposobny do pracy zadowolonej dla tego, który kochał pracę wiejską. Ale Czemski właśnie się do niej zniechęcał z powodu ciągłej sprzeczności między tem, co było rzekomo jego powołaniem; a tem, co się na przekorę jego programowi zdarzało. Co to znaczyło właściwie: uświadamiać i budzić lud? — — Rozpowszechniać »Ludowca« i pisemka w duchu pożądanym — to zajmowało zaledwie parę dni na kwartał. Trzebaby najprzód nauczyć czytać mnóstwo nieumiejących, założyć szkołę według innego planu, niż obecny, zły, bo popierany przez ludzi przeciwnego obozu. Gdzież na to środki? — Chodzić po wsi i rozpowszechniać pożyteczne idee? — jest to drażnienie kamienia zapomocą kropli wody — szkoda czasu i sił rwących się do pracy skuteczniejszej. A gdy się zdarza robota wyraźna dla dobra ludu, na przykład, ten dom

ludowy w Mielnie, jak trudno tę robotę obrócić na tryumf pożądanej idei samodzielności ludu! Zawsze jakieś licho tym chłopem owładnie i napędzi go powrotnie. pod jarzmo starych nawyknień. Ile się ten profesor Owocny naagitował po wsi przeciwko projektowi, a jednak Mielniacy uchwalili na zebraniu budowę domu według typu i planu, podanych przez Godziembę. Mówią, że ze składką będzie gorzej — ale Broniecki, jak obiecał, »obrobił« naczelnika na polowaniu, naczelnik pozwolił na zebranie gminne, a Rykoń z przyjaciółmi przeforsował żadaną uchwałę. Tryumfowali zacofańcy, wściekał się profesor Edmund.

— Odbudujemy Bastylię! — wołał, rozdzierając szaty.

Czemski nie brał tego znowu tak tragicznie, bo jeżeli gmina uchwaliła budowę, to widocznie większość jej chce, i rzecz powstaje już z woli ludu. A dom ludowy nie jest Bastylią, można go będzie owszem wyzyskać z czasem dla oświaty i dobrobytu ludu. Skrycie nawet przyznawał się do ulgi, którą mu ta porażka przyniosła; intrygować przeciw istniejącej już uchwale gminnej nie będzie, bo na to nie pozwala mu sumienie; a dla siebie osobście także coś zyszcze; pozbędzie się profesora, który zapewne ma co innego do roboty, niż przesiadywać w Niespusze i płakać nad utratą wpływu w Mielnie.

Ale co do tej pociechy miał Czemski do-

znać zawodu. Profesor, choć się był prawie pogniewał na Czemskiego za jego obojętność, okazaną po zgubnej uchwale, w kilka dni później powrócił słodki, filozoficzny i niosący lekarstwa dla zaślepionego Mielna.

Tym razem Stefan, pod pozorem nagłej sprawy rodzinnej, wyjechał na trzy dni, zostawiając profesora w Niespusze, a gdy powrócił, już go u siebie nie zastał. Dowiedział się natomiast, że właśnie podczas jego nieobecności przyjechał do Niespuchy pan Broniecki ze Sławoszewa, kazał się kłaniać i dał rubla Agatce za nic, za otwarcie drzwi, bo do domu zajrzał tylko na prawo i na lewo przez ciekawość, jak się tu mieszka.

— Dobry pan — mówiła Agatka — mało takich w bliskości.

— Widzę, Agatko, że nabierasz gustu do starych. Już ci profesor wpadł w oko, teraz znów Broniecki.

— A bo pewno! starszy pan uważa sobie kobietę, kiedy jest warta.

— Cóż to? źle ci tutaj?

— Iii — mówiła dość kwaśno — pan ciągle wyjeżdża, nijakiej kompanii niema — —

— Miałaś przecie przez trzy dni profesora.

— Tyle tylko, co ten poćwiwy profesor kiedy przyjedzie.

— Może chcesz do niego na służbę? — lekko zapytał Stefan.

— A bo co? — spojrzała Agatka bystro i ciekawie.

— Bo nic; bo widzę, że coś mi kaprysisz.

— Jeżeli pan nie będzie mnie traktował, jak równą towarzyszkę, to pewnie, że sobie pójdę.

— Któż cię tak pięknie gadać nauczył? Może profesor?

— On, czy inny, z panem się nigdy dogadać nie można.

— A dajże mi święty pokój! — przynies mi obiad.

Te humory Agatki, coraz częstsze, nie przepawiały o rozpacz Stefana; były raczej jeszcze jednym zgrzytem więcej w rozstroju ogólnym, który zapanował w jego życiu zewnętrznym i wewnętrznym.

— Co to za towarzyszka! — zżymał się — zwyczajne bydle! nawet niewdzięczne — —

I błyskawicznie przeciwstawił ją w myśli innej młodej istocie, takiej miłej i sprytnej, z którą wymiana słów najprostszych budzi w sercu harmonię i siłę — — Ale pomimo swych napoleońskich na kobietę poglądów, wzdrygnął się, gdy porównał pannę Broniecką — z tą dziewczką.

— Szkoda, że Broniecki nie zastał mnie w domu — pomyślał dalej — znalazłaby się może okazyja odwiedzenia Sławoszewa, a przyznam się, że stronić od ludzi życzliwych — no i dodatnich — dlatego, że nie wyznają jed-

nego ze mną katechizmu społecznego... to idyotyzm!

Rozwazał, następnie, co jest wstecz, a co naprzód? — To pojęcie względne, zależne od różnych katechizmów. — Broniecki jest bezwarunkowo siłą, pobudzającą lud do ulepszeń bytu. Ma wyborne gospodarstwo rolne, służy więc za wzór i nawet za rozsądnik postępu ekonomicznego.

— Że tam z przyzwyczajęń i z nałogów należy do starego typu — co mnie to przeszkadza? — Jest zato uprzejmy, zręczny, umie sobie jednać ludzi — to są także atuty w każdej akcji. Niejeden z naszych Katonów jest tak kanciasty i kolczasty, że od siebie i od idei odstręcza.

Tęsknił poprostu do sprytnego śmiechu pana Józefa i do młodego wdzięku Manieczki. Ale nie miał żadnego powodu powrócenia do Sławoszewa, a nawet okazji spotkania jego mieszkańców. Błądzić po drogach i wypatrywać — to śmieszne. Pojechać zaś w niedzielę do kościoła, w którym nie bywał — to ponieważ odstępstwo od zasad — —? Miotał się w rozterce sprzecznych pragnień i zajęć.

W tę niespokojną ciszę, jak dźwięk dzwonka, wpadł list Jerzego Godziemby. Prezes przypominał Czemskiemu wyrażoną na obradach w Sławoszewie chęć oddania części Niespuchy na cele ludowe i zapytywał, czy Czemski nie zechce obecnie przyczynić się do projektu

realnego, który powstał w gronie ziemian, mianowicie: do założenia w Niespusze szkoły rolniczej dla włościan. Dla omówienia tego projektu zapraszał Godziemba do siebie, do Modrzewca, gdzie zbiorą się ludzie, zarządzający znacznym kapitałem, przeznaczonym na powyższy cel oświatowy.

List zadziwił Stefana, ile że z Godziembą nie miał innych stosunków, jak dyskusya, dość kwaśna, w sprawie domu ludowego w Mielnie, ale pochlebila młodemu działaczowi pamięć o jego słowach z przed paru miesięcy i sama propozycja, świadcząca bądź co bądź o zaufaniu do jego dobrej woli obywatelskiej. Zaciekawiony i pobudzony Czemski odpowiedział odrazu telegramem, że stawi się na wezwanie, i wyjechał do Warszawy, gdzie prze nocował. Nazajutrz rano wsiadł do pociągu nadwiślańskiego, dążącego na północ Królestwa.

Zdobywszy kąć przy oknie w przedziale wagonu, pomiędzy ludźmi nieznanymi, przetrawiał jakby w samotności niesmaki swego wewnętrznego życia, a powierzchownie łowił oczyma widoki.

Ziemie polskie wydały mu się tak do siebie podobnemi, jakby jeden gospodarz nakreślił i obsadził topolami te drogi, porozrzucił te dwory i kościoły, wyciągnął sznurami te wioski. — Są i różnice, ale tylko przy dużym bliższem wpatrzeniu się. Naogół wyraz wsi

jest wszędzie ten sam: równina rodzajna i leniwa. Ludzie tu nie głodni, bo wesoło śpiewają »oj, dana, dana!«, ale mają wiele czasu przed sobą. Nic bardzo silnego nie rośnie, nie wznosi się na polach łągodnych.

Wielka zaświeciła Wisła pod Modlinem, rozlana do krańców wzroku przy połączeniu z Bugiem, pustynia płowo przewalająca się, szklista w oddali cynowym blaskiem; — trwała na widoku przy drodze żelaznej. Murowane klamry i zielone przykopy twierdzy zdawały się próżnym zakusem panowania nad królewskim żywiołem. Ująłby ten niezmierny bieg wody, sunący niby bez łożyska po wierzchu płaszczyzny, w mocne groble, ustalić na pożytek ludzki tę potęgę kapryśną, zamuloną, a rwącą, senną, a pobudliwą, jak dusza polska! Ile to lat mija od projektów regulacji i wielkiej żeglugi! — —

Przy widoku wielkiej Wisły odczuwał Stefan najmocniej niecierpliwe ukochanie ojczyzny, która żyje wciąż niewyczerpana, ale daremnym rozlewem, wspaniała i leniwa — tyle tylko, że wieczna — — —

Sam zaś ledwie życiem nie przyplacił swego zapału do wielkiej rzeki polskiej w jednej przygodzie za lat dziecięcych. Zamknął teraz oczy i wspominał, jak to było.

Poszedł niegdyś kapać się z dozorcą do Wisły pod Toruniem. Rozebrał się i pobiegł po przybitej do ładu tratwie ku wodzie, po-

zornie płytkiej i sennej. Za tratwą była mała rybacza łódka, przywiązana łykiem do kołka; dalej rozlew niemal morski, gdyż Wisła toczyła wówczas swe wysokie wody świętojańskie. Ciągniony zachwytem do płynnej roztoczy, świeżo kuszącej nozdrza, wskoczył do łódki. W tej chwili krucha uwięź pękła i łódka odsunęła się cicho od tratwy. Dozorca, pozostały jeszcze na brzegu, krzyknął: już łódka z małym, nagim Stefkiem była daleko — — Prąd, jak zbudzony wąż podwodny, chwycił ją na swe przeguby i unosił, unosił ku głównemu łożysku — Stefan poczuł zrazu tylko rozkosz: nieznanym sposobem sunie do nieznanego kraju; wikliny i ciernie nadbrzeżne uciekają w tył tak szybko na lewo — a na prawo Wisła nieprzejrzana, niby w gładki warkocz upleciona z mętnych prądów — — Na zabawę mu to, czy na zagładę? — — Poczł jednak wiejący od wielkiego rozlewu chłód złowrogi — i zaczął się ratować. W łódce nie było wiosła, tylko gruby drag; ten drag chwycił Stefan i całą siłą dziecięcych ramion jął się odpychać od wielkiej wody ku lewemu brzegowi, który mijał szeregiem niskich zarosli, już podmytych rozlewem. Wzdłuż rzeki, po wyższym, suchym gruncie biegł dozorca, niosąc ubranie Stefana, i krzyczał bezsilnie: do brzegu! do brzegu! — Ale porwaną łódkę niósł prąd, dokąd mu była wola. Chciał jednak tylko pokoiysać malca, nie pochłonać, czy z powodu

jego wiosłarskiej roboty drągiem, czy dlatego, że koryto załamywało się w tem miejscu kolaniem, łódka zaczęła się zbliżać do zatopionych krzaków. Już pręty wikliny migwały tak blisko, że gdyby kawał sznura pod ręką, można by się o nie zaczepić — — Nareszcie jeden krzak bardziej w powódź wysunięty! — Zajął go Stefan drągiem, łódka okręciła się i dziobem dotknęła krzaka — pobiegł malec po dnie łódki, chwycił za gałąź, przyciągnął się jak najbliżej i skoczył w płytką wodę między zaroślami. Brnąc po pas, potem po kolana, po kostki, uciekał, chlapiąc rozgłośnie, ku suchemu łądowi. Już go dosięgnął, ale na prawo i na lewo lały się jawnie po żwirze, podstępnie po murawie potoki przybierającej rzeki. Gonila go w głąb łądu rozkrzewionymi ozorami swej paszczy, z której się wyrwał. Biegł z tymi syczącymi ozorami na wypródki, skakał przez nie, aż stanął na wyższym garbie gruntu, gdzie go z odzieniem oczekiwał dozorca. Łódka, odepchnięta, majaczyła już tylko drzazgą na wartkich prądach, niosących ją do morza.

Ile razy spotkał się potem Stefan z płowym majestatem Wisły o niepewnych brzegach, stawała mu przed oczyma ta przygoda z lat dziecięcych. I teraz, zamknawszy oczy w wagonie, wspominał — aż się zdrzemnął.

Zbudził go konduktor przed miastem, gdzie miał wysiąść. — Tu przecie co innego! gęsto zabudowane miasto, trochę wzgórzyste, a naj-

wyżej piękny kościół o polsko-gotyckich frontach. Coś przecie mówiącego o silniejszych porывach człowieka do panowania nad ziemią.

Na dworcu znalazł Czeński, oprócz bryczki z Modrzewca, wydelegowanego praktykanta, pana Łagowskiego, który mu oznajmił, że w mieście odbywa się właśnie zjazd rolniczy, na który prezes Godziemba zaprasza gościa; dodawał, że zjazd jest liczny i może zainteresować ziemianina łowickiego.

Zajął go zaś odrazu miasto, weselsze, niż osady miejskie w pobliżu Warszawy. Ulice czyste, przerywane zielenią ogrodów, zalecały się niejedną kamienicą ponętą na ciche, lecz wygodne mieszkanie. Coś w rodzaju wielkiej wsi ucywilizowanej — nie podobnego do płwających na zgniłych kałużach steków bud żydowskich, które zbyt gęsto plamią inne ziemie polskie.

Bryczka, dudniąc po pierwotnym, lecz starannie utrzymywanym bruku, wtaczała się w dzielnicę coraz okazańszą, aż zatrzymała się przed wielkim, piętrowym gmachem.

— To nasz dom rolniczy — objaśnił z dumą Łagowski.

Jasne sale przyziemia wionęły odrazu na Stefana pogodną atmosferą instytucji nie biurokratycznej, lecz ziemskiej, samorządowej. Na ścianach widniały mapy i zestawienia statystyczne. Łagowski z zadowoleniem pokazywał gościowi pomieszczenia syndykatu rolnego,

sklep spółdzielczy, bibliotekę — wszystko w porządku i stylu wzorowym.

— Niby Wielkopolska — zauważył Czemski.

— Blisko stąd — odrzekł Łagowski.

Dwaj młodzi spojrzeli po sobie przyjaźnie, jakby czując, że im obu coś dobrego przybywa przez ten piękny rozkwit polskiego dobrobytku.

Głuchy grzmot, przesuwający się nad sufitem, zwrócił uwagę Czemskiego.

— To zebranie na piętrze? — zapytał.

— Tak, w wielkiej sali. Muszą nad czemś głośować przez rozstąpienie, kiedy się tak rozszurgali butami. A buty mają ciężkie!

— Dużo włościan?

— Kupa ich tam; ale i nasza szlachta nie nosi lakierków.

— A ile osób razem?

— Sto z górą.

## VIII.

Chyłkiem weszli do sali obrad, aby nie przeszkadzać. Jednak Godziemba spostrzegł Czemskiego, powitał go ukłonem ze swego miejsca prezydyalnego — przewodniczył bowiem zebraniu — i wysłał jednego ze swych asesorów, Czesława Młockiego, który umieścił gościa przy sobie, za stołem. To sąsiedztwo było Stefanowi dogodne, bo znał Młockiego już ze Sławoszewa i tutaj potrzebował objaśnień dla orientacyi w zgromadzeniu.

Uczył najprzód odkrycie radosne, że przy tym samym stole opodal siedział Józef Broniecki i kiwał przyjaźnie głową do sąsiada łowickiego. Szukał Czemski dalej znajomych, ale znalazł ich zaledwie paru. Tłum szaro ubranych, wąsatych postaci wydał mu się zrazu zupełnie jednogatunkowym, niby wojsko w szereгах.

— Gdzież tu są włościanie? — zapytał Młockiego.

— O, jest ich sporo — uśmiechnął się Mło-

cki — tylko nie wyróżniają się ubiorem, a nie bardzo i typem. Masz pan przy stole prezydyalnym dwóch członków zarządu, włościan: ten poważny, w kubraku staromodnym, co siedzi przy Bronieckim — i tamten młody, elegant. Myśli pan, że sportsmen? — nie — chłop tutejszy z dziada, pradziada, bardzo teęga sztuka. Obok, ten z obwisłymi wąsami to szlachcic chodackowy. I po sali masz pan rozsianych dużo włościan i drobnej szlachty, ale niepodobna mi ich teraz panu wskazać.

— Zawsze jednak ziemian, siedzących na dużych folwarkach, jest tu więcej? — zagadnął znowu Czemski.

— Naturalnie! myśmy to przecie wszystko stworzyli, zorganizowali. Drobnych ziemian przyciągać trzeba było z początku prawie przymocą — obecnie coraz bardziej sami się garną. Ale niech pan nie sądzi, że szlachta tutejsza to obszarniki — przeważnie chudopacholki, panie — po dziesięć do trzydziestu włók. Modrzewiec, rozległy na włók kilkadziesiąt, jest już wyjątkiem.

Umilkli, gdyż zaczęto oglądać się na szmer rozmowy, a prezes Godziemba ściągał rękę do dzwonka.

Radzono kolejno o mnóstwie spraw i zarządzeń, związanych z rolą, hodowlą i administracją. Czemski śledził zrazu pilnie porządek dzienny: Jakaś stacya rolnicza doświadczalna — kupno sztucznych nawozów — kupno

wspólnemi siłami pługa samochodowego — przegląd porównawczy wydajności ziemi — okólniki i instrukcye centralnego towarzystwa, z którem tutejsze koło zdawało się być w ścisłych stosunkach porozumienia i w nieprzymuszonej zależności — — Powoli jednak Stefan, niedość przygotowany elementarnie, nie mogąc wchłonąć nadmiaru płynącej z obrad nauki technicznej, puszczał mimo uszu szczegóły i jał się przypatrywać samemu funkcyonowaniu żywej maszyny.

Kwestye z porządku dziennego przychodziły niby automatycznie na aparat, który je chwycił, rozkładał, roztrząsał i odrzucał już w formie uchwały. Jeżeli kwestya dotyczyła uprawy, w kole radnem ujawniała się natychmiast komisya melioracyjna; jeżeli nabiątu — komisya mleczarska; jeżeli zakupów — komisya ekonomiczna; jeżeli porozumienia z władzami lub instytucjami — zarząd główny. Niby pod naciskiem odpowiednich klawiszów, z grona obradujących powstawały głosy krótkie, nie retoryczne, fachowo ściskające kwestyę w potrzebne kształty i wyrazy. Czasami sprawa, wymagająca rozchodu paru tysięcy, długich prób i planów, zabierała w naradzie zaledwie kilka minut, tak była wyrobiona w specjalnej komisji, albo tak powszechnie uznana za niezbędną w zebraniach szerszych, naczelnych. I mrowie głów, pozornie pospolitych, postaci niewykwintnych, nabierało w gromadzie żół-

nierskiej powagi, znaczenia wymustrowanego oddziału, który tam, gdzie zamierza, dojdzie, to, czego się jął, wykona. Czemski, krytycznie uprzedzony do tych »zacofańców«, przyglądał się z mimowolnym podziwem i szacunkiem robocznemu oddziałowi i w nagłym przeblysku myśli historycznej przypuszczał, czy nie jest to, przyłapaną na żywym uczynku, częśćka tego żywiołu, który od wieków tworzy Polskę, jaka była, jest i będzie? — —

— Prowadzi szlachta — poprawił się we wniosku. — Choć tu przemawiają czasem i włościanie, ale rej wiedzie szlachta; chłopci są upośledzeni, jak pionki na szachownicy wobec większych figur; partya się gra dla króla, po staremu. Dlaczegoż naprzykład w tem zebraniu jest dużo mniej włościan, niż większych ziemian, skoro liczba chłopów w okręgu, a nawet przestrzeń ziemi chłopskiej i drobnoszlacheckiej jest przeważna?

Zwrócił się Czemski z tem zapytaniem bardzo cicho do swego informatora, Młockiego, który odszepnął:

— Przystąpili do nas ci, którzy chcieli i zrozumieli pożytek towarzystwa. A przecie uchwały nasze obowiązują tylko stowarzyszonych.

Zasunięty w kąć pokoju, Czemski słuchał dalej i patrzył, ale spostrzeżenia nie sprawiały mu radości, bo plątały mu cały system poglądów, które był sobie przyswoił i którym dotąd ufał. — Jak tu budzić i hodować lud

samodzielny, skoro lud poddany jest, jak był dawniej przemocy uprawnionej, tak teraz moralnemu kierunkowi szlachty, bynajmniej nie umarłej, owszem, ruchliwej i pociągającej lud do wspólnego działania. Wprawdzie, co się tu widzi, jest pracą wyłącznie ekonomiczną, wspólnem obrabianiem interesów, rodzajem wielkiej kooperatywy. W kółkach włościańskich — to samo. — Nie nasycy to potrzeb duchowych ludu. Do nas — myślał Czemski — należy przynajmniej oświata. — — Tutaj przypomniał sobie projektowaną szkołę rolniczą, dom ludowy w Sławoszewie — wszystko inicjatywy tej samej szlachty, uparcie przewodniczącej.

Obserwował też uczestników rady. W nagle poznanym zbiorze ludzi widział zrazu tylko typ jednolity: ogorzałe i zdrowe twarze, ręce robocze, ubiory sumaryczne. Czem się właściwie różnią ci ludzie od chłopów? Ani rasą, ani trybem życia — większą zasobnością i kulturą — tymczasem! Chłop do nich dorośnie powoli i będzie taki sam. — Ale szlachta musi mieć szlacheckie przywary, bo inaczej byłaby wzorem przyszłego włościanina — —?

Powoli rozpoznawał Czemski w tłumie indywidua: specjalistów od uprawy, od mleczywa, od buraków; dowiedział się nadto, że ten jest doktorem medycyny, ów dyrektorem fabryki, tamten wyrobił się z chudopachołka na względnego »obszarnika«. — A więc to nie szlachta, przemysłająca o swoim kastowym in-



teresie, lecz odłam wiejskiego społeczeństwa, związany przez wspólne potrzeby, skoordynowany przez wspólną, żywą robotę. I jakież oni tutaj, razem wzięci, ujawniają szlacheckie przywary? Czy wyuzdany indywidualizm, niegdyś wyrażany przez »veto«? Czy pogardę dla praw ludzkich mieszczan i chłopów? Bynajmniej — grupa demokratyczna, równouprawniona. Nawet wybitne indywiduala, pochopne do rozkazywania, jak Godziemba, gną się przed wolą ogółu, a jeżeli pociągają innych za swem zdaniem, to mocą pragnienia ogólnego pożytku.

Przyglądał się znowu Czemski Bronieckiemu, przybyłemu tu, jak on, w gościnę. Niepoahamowany na swych włościach szlachcie, wydawał się tu odmiennym. Mógłby przecie łatwo przegadać, zająć sobą, oszołomić swą wymową, a nawet biegłością agronomiczną, tych ludzi niewielkich, równych i niebłyskotliwych. Ale ich zespół, tak sprawnie ułożony w czynny organizm, ogromniał mu w oczach, przyciszał mu fantazję. Słuchał pilnie, z uszanowaniem, odzywał się z głosem doradczym tylko wtedy, gdy go o to proszono.

Płynęły sprawy za sprawami, a porządek dzienny nie zdawał się blizkim wyczerpania. Czemski czuł już pewne znużenie, a zarazem ogarniał go niepokój: gdyby, po ukończeniu obrad, przyszło komu do głowy zapytać go, czem on się zajmuje i co zrobił dla społeczeństwa,

choćby w dziedzinie uświadomienia ludu? — — Napisał kilka artykułów bez widomego skutku; uczestniczył w obradach, jakich uczonych, a górnych, a obiecujących! — — Nosił się z wielkimi projektami — pragnął szczerze dobra kraju, w którym się urodził — znał wiele pięknych teorii — ale w szkole życia, niedawno rozpoczętej, nauczono go dopiero nienawidzieć przeciwników postępu — — Czy to ci, których ma tu przed oczyma?? — —

Przerwano wreszcie obrady. Więc zakołysało się i ruszyło z miejsc zgromadzenie. Dopiero Czemski przywitał się ze znajomymi, a najskwapliwiej z Bronieckim, który wychodził z sali, prostując energicznie ścierpłe kończyny. Szepnął do Stefana przyjaźnie i jowialnie:

— No, umięją tu siedzieć, panie Stefanie! Codzień sesya, komisya, kółko — — kręćka we łbie można dostać! Ale pszczołki robocze, przyznać im trzeba — każda siedzi w swej chałupce ciasno, a jaki plastr miodu razem budują! — palce lizać!

— Czy tylko plastrów nie układają w odwieczne ramki? — poczuł się w obowiązku nadmienić Czemski.

— A pan jak chciałeś? Żeby miód robili w dziurach ziemnych, jak osy?

Zbliżyło się kilka osób, rozpromieniając oblicza na sam widok Bronieckiego, który, gdzie stąpił, podniecał do wesołości. Zaczął

opowiadać rozgłośnie o nowinach łowickich, a zwłaszcza o powstającym domu ludowym w Mielnie. Zainteresował wszystkich do nowego typu tego posterunku oświatowego, a gdy się dopytywano, jak to tak gładko i śpiesznie przeszło przez uchwałę gminną i przez pozwolenie władzy, nie omieszkał pochwalić siebie i swoich:

— Spytajcie mego przyjaciela, Jana Rykonia z Mielna, jak za lby brał opierające się stadko gminne, aby je zaprowadzić nie na rzeź, lecz na dobrą paszę. A mnie się pytajcie, jak ugłaskać władze i uczynić je dobroczynnemi. Trzeba to umieć!

— Znamy — rzekł Młocki — te koszty wstępne przy zakładaniu każdej nowej instytucji. Trzeba łapówki.

— Czasem trzeba. Ale taniej i skuteczniej przez stosunki i dyplomacyę — o! Cudów można dokazać. Toć wiecie, co ja w r. 1905 wyprawiałem z moim naczelnikiem powiatu?

Dopominano się opowieści.

— Napisało się przednią proklamacyjkę do ludu polskiego — o! W nocy pisałem, przedmiot mnie uniósł — aż mnie muza nawiedziła znienacka — i skończyłem wierszem.

— Wierszem pisałeś proklamacyę?! — zawołał Młocki.

— I jakim jeszcze! Słupkabyś stanął, panie Czesławie.

— Ciekawym — — dajże mi to do przeczytania; musiałeś zachować?

— Wydrukowałem 30.000 egzemplarzy, ale tak je rozchwymano, że mi został jeden tylko egzemplarz — pokażę ci. — Rozdawałem u siebie, rozdawałem i w mieście; przez kilka dni chodziłem, wypchany tą bibułą. Kiedyś, będąc w mieście u naczelnika, miałem w paltocie parę tysięcy tych kartek i paltot zostawiłem w przedpokoju. Jakiś strażnik, idyota, zwietrzył pismo nosem, zwłaszcza, że musiało tam zerkać do niego z kieszeni mego paltota, — cap za proklamy i niesie do naczelnika — — Nie wypadło mi wypierać się, a tembardziej stchórzyc. Więc po olej do głowy, zawsze w pogotowiu. — »To jest w duchu czasu« — tłumaczę naczelnikowi. A to było pod koniec lata 1905 — w głowach Babilon, jak pamiętacie... »Nu, w duchu, czy nie w duchu, ja muszę o tem raport dać«. Szkoda czasu, panie naczelniku! Plotę mu tam różne koszałki-opałki, pomijając proklamacyę, które schował do kieszeni. Skończyło się na tem, że go zaprosił na obiad do Kugła, jak mam zwyczaj, gdy w mieście żadnej przyzwoitej fizyogęby nie spotkam. O! widzicie, jak się może przydać taka komitywa!

— Jeszcze nie widzimy. Cóż dalej?

— Siedzę więc z nim u Kugła na werendzie, wychodzącej na rynek. — Wódka jedna i dziesiąta, a po obiedzie kazałem podać oso-

bliwego Węgra z przydomkiem »brzoskwinka«. Kugel chowa go tylko dla mnie. Biskupie wino, powiadam wam! I kładę chłopu w uszy bajeczne opowieści, jako że ja wkrótce będę tu prefektem z wyborów, a on »zostanie się w durniach«, jeżeli nie pójdzie z duchem czasu. Niezłe zresztą chłopisko i pijak twardy — śmieje się, wierzy, czy nie wierzy, ale wchłania trunek, jak zlew uliczny deszczówkę. Kiedy już zobaczyłem, że nos mu rubinem naciąga, mówię: posłuchaj pan tej proklamacyi; cały w niej obraz przyszłości. I rznę mu głośno z dźwięku, niby do spiskowca. — Płakał, powiadam wam! A ja już przed obiadem gwizdnąłem na moją organizację — miałem tam chłopyszków tysiące w garści, ho, ho! — żeby, jak zacznę czytać, zlazło się gapia, ile tylko zdybać w mieście, i żeby prosili o tę proklame. Więc zaraz kelner jeden z drugim i kmiotki z rynku do nas: »dopraszam się jaśnie panów o tę kartkę«. — To już od łaski pana naczelnika zależy — odpowiadam. Zachłysnął się odrobinę, spojrzął na mnie, dałem znak, że wypada — zaklął »czort pobieri!« — i sam rozdawał moje proklamy.

— Bajeczna historia! — zawołał ktoś ze szlachty wśród ogólnego śmiechu.

— Dajcie dokończyć! — odrzekł Broniecki, sam z trudem utrzymując powagę. — Rozdał pocziwina ze sto sztuk, aż się zabieliło na rynku. — Otrzeźwiał jednak trochę, opamiętał

się i przestał. Oddał mi całą paczkę i poradził, żeby ją zaraz wrzucić do pieca w kuchni. Nie oponowałem, ale mówię: cóż z tym raportem będzie, naczelniku? — »Raport musi być, w kancelaryi widzieli«. Przekładam mu znowu: już teraz nasza wspólna sprawa; obaj rozdawaliśmy. — »O, psia!« — zawołał, czy inaczej tam po swojemu. — Wydoił mi przysięgą bestya dwa gąsiory »brzoskwinki«.

— Ale raport podał?

— Jakiś tam niewinny, o ogólnem wrzeniu umysłów w powiecie, bez nazwisk. Dużo się z niego władze wyższe dowiedziały!

Dzwonek wołał znowu do sali obrad, gdzie miał jeszcze nastąpić referat teoretyczny, więc Broniecki zauważył trochę niecierpliwie:

— Pora obiadowa, kiszki marsza grają, a wy znowu rozpoczynacie sejmikowanie. Niech was nie znam, jacy wy tu cnotliwi!

Ale właśnie Godziemba zbliżył się do Bronieckiego i Czemskiego z propozycją, żeby pominęli odczyt popularny i podążyli zaraz do Modrzewca, odległego o kilka wiorst, na obiad. — Godziemba, jako prezes, musi dosiedzieć do końca zebrania i obiad zje później; pani Godziembina przyjmie gości, obiad zaś gotów, o czem w tej chwili telefonowałem z Modrzewca.

Broniecki nie dał się prosić ani chwili, pociągnął za sobą Czemskiego i paru innych.

— Cieszę się, że cię tu widzę, panie Stefa-

nie — rzekł, klepiąc Czemskiego po żebrach. — Zechciej rzucić oczkiem na koronkową robotę tutejszych ziemian — —

Czemski, nie chcąc dyskutować wobec paru nieznajomych, odpowiedział wymijająco:

— Pan Godziemba ma projekt założenia w Niespusze szkoły rolniczej dla włościan. Dlatego przyjechałem.

— Wiem, wiem! Pogadamy o tem wieczorkiem i jutro, ale już swobodniej, w mniejszem kółku i po przepłukaniu gardziolka.

## IX.

Nazajutrz rano Czemski obudził się w Modrzewcu. Świeży dzień zazierał do wesołego pokoju przez białe, staroświeckie franki. Dobrze narysowane, mocne meble dębowe i brzozone, tapeta odwiecznego wzoru, sprzęty użytkowe proste — przypomniały Stefanowi zamierzchające już w pamięci czasy dziecięce. Na ścianie — o dziwo! — wisiały dwa litografowane portrety braci Śniadeckich — te same, które miał przed oczyma w swym szkolnym pokoju, w domu rodzicielskim, w Lublinie. Wszystko to było obyczajem znajomym, pokrewnym.

A przecie wczorajsza narada wieczorna o zużytkowaniu Niespuchy na szkołę rolniczą dla włościan nie zadowoliła Stefana. Projekt postawił Godziemba: proponował nabycie folwarczku za cenę kupna i wkładów; ponieważ ziemia podrożała przez kilka lat ostatnich, Czemski uczyniłby dość znaczną ofiarę z superaty ceny, godząc się na sprzedaż. Godził

się jednak na nią chętnie, zwłaszcza, że miał zostać jednym z członków zarządu, a dawno już pragnął poświęcić się jakiejś czynnej pracy dla ludu. Ale co do dyrekcyi i programu nauk, ile kwestyi spornych! Najprzód Godziemba, przypominając, że towarzystwo rolnicze rozporządza stosownym zapisem i użyć go pragnie na założenie szkoły w Niespusze, żądał, aby w składzie zarządu zapewniono przewagę liczebną członkom towarzystwa. Czemski zaś proponował kilku swoich bliższych znajomych, nie stowarzyszonych, albo rodzaj plebiscytu gmin okolicznych na skład zarządu. Godziemba nie dopuszczał tego wcale, upierał się absolutnie przy zwierzchnictwie towarzystwa rolniczego. Dyskusya zaostrzyła się i Czemski zapytał, dlaczego właściwie panowie obrali sobie Niespuchę; mogą przecie kupić inny grunt i założyć na nim szkołę według swego widzi-mię.

— Doszliśmy do przekonania — odpowiedział Godziemba — że Niespucha jest wybor-nym punktem, jako leżąca w prowincyi prze-ważnie włościańskiej. Liczyliśmy się też z pana gotowością do uczynienia pewnej ofiary na rzecz sprawy ludowej. A taka szkoła w Ło-wickiem jest jedną z najpilniejszych potrzeb ludu.

Pozostawało jednak dla Czemskiego bar-dziej niż wątpliwem, dlaczego ta szkoła ma

być koniecznie prowadzona przez stronników tyranicznego Jerzego Godziemby.

W programie nauk chciano umieścić wy-kład religii, i to przez księdza.

— Pocóż to? — protestował Czemski — w szkole świeckiej, praktycznej, rolniczej?!

— Bo zmuszeni jesteśmy przyjmować chłop-ców zupełnie surowych, najczęściej bez ele-mentarnego wykształcenia — odpowiedział tym razem Czesław Młocki.

Za zdaniem Godziemby głosowali, jak je-den mąż, wszyscy, nawet Broniecki. Czemski czuł się odosobnionym, zahukanym, nieufnym.

Leżąc w łóżku, przypominał cały tok wczorajszej narady i winał sobie, że się do-tychczas na nic nie zgodził, że zastrzegł sobie porozumienie ze swoją grupą i zawiesił odpo-wiedź do dalszej przyszłości. Bo przecież pro-jekt, choć zasadniczo chwalebny, był znowu zakusem ujarznienia geniuszu ludowego przez tych »starszych braci«, tych samych wodzire-jów klerykalno-zachowawczych. Szczególniej dotknęło Stefana spostrzeżenie, że Broniecki, człowiek niezależny, stawał po stronie grupy tutejszej, a przeciw niemu, sąsiadowi z Łowi-ckiego; Broniecki zaś był jedynym tutaj czło-wikiem, do którego Stefan czuł instynktowe zaufanie i sympatyę. Człowiek to dzielny, przy-jaciel ludu i mnie życzliwy, jak się zdaje — rozumował Czemski — a przytem — ojciec Manieczki.

Nagle, przez głowę, pełną spraw i ścierających się argumentów, strzeliło mu, jak ciepły promień, wspomnienie milej i mądrej panny — — Przedyskutowałyby z nią te wszystkie wątpliwości — — umysłem obejmuje łatwo, a sercem jakoś bliższa, niż inne istoty — — jak dawno to już jej nie widział — — Cóż, kiedy ona skrepowana więzami przesądów, zależna od swojej zaśnieżonej »sfery« — — nawet jej ojciec pozbywa się indywidualności w sprawach publicznych i łączy się z gronem zacończonych — — Ona czy miałaby dość siły, aby od nich się oderwać, gdyby zaszła potrzeba? —

Stefan ubrał się; była dopiero ósma rano; w części domu gościnnej panowało milczenie; Broniecki w sąsiednim pokoju spał jeszcze. Stefan dosłyszał jakiś zgiełk dziecięcy od strony podjazdu i podążył ku tym świeżym głosom porannym.

W przedpokoju spotkał panią Jadwigę Godziembinę, której wczoraj nie dosyć się przypatrzył z powodu ciągle, nawet przy jedzeniu, toczących się rozmów społecznych. Pomimo minionej trzydziestki była fizycznie bardzo przyjemna: piękne jej, spokojne oczy zapraszały do rozmowy, a postać tchnęła ponętą świeżością. Klucze u paska znamionowały gospodynię, lecz estetyczny pozór ogólny daleki był od typu klucznicy.

— Tak za lat piętnaście wyglądać będzie

Manieczka — pomyślał Czemski i poczuł odrazu serdeczną skłonność do pani Jadwigi.

Zanim na pierwsze śniadanie wszyscy się zejda, pani Godziembina zaproponowała gościowi przechadzkę po ogrodzie.

Przed domem zaczęło się zaraz tłumaczenie, któremu rzadko opiera się właściciel, dla czego dom jest taki a nie inny, i jaki mógłby być, gdyby się coś tam nie spaliło, a gdyby co innego było według marzonego planu wykonane. Dworek zaś tłumaczył się oczom sam przez się, że jest niewielki i niemłody; zato ogród w zupełnej szacie letniej pysznił się wieńcem starych drzew około podjazdowego trawnika.

— Bardzo byłbym rad posiadać taką wesołą siedzibę — odpowiedział Stefan na ekspozycję pani Godziembiny.

— A pan posiada gorszą?

— Murowaną chałupę bez ogrodu.

Pominał objaśnienie, że sam ją sobie taką zbudował.

Okolo trawnika biegało z dziesięcioro dzieci na wyścigi. Właśnie dobiegały do celownika, na czele tegi chłopak, może czternastoletni, i równego z nim wzrostu dziewczyna, nagiemi, mocno różowemi ramionami wynurzona z białego papilotu sukienki, na ciemnych, rozhecowanych puszczalkach. Zjawienie się starszych osób zatrzymało i oniemilo kompanię wyścigową.

— Januś! tak się rozrzucić?! taka stara panna! — upominała matka, sama rozśmieszona, i przedstawiła Czemskiemu najstarszą swą córkę, Janinę.

Stefan wyciągał rękę i do innych.

— Nie — uśmiechnęła się pani Jadwiga — tyle znowu nie mam dzieci; tylko jeszcze ten mały... chodź tu, Jurku, przywitaj się — — Starszy syn w szkołach.

— A te wszystkie? — pytał Stefan.

— Dzieci pisarza i karbowego, koledzy moich w szkole domowej.

Czemski pomyślał: bardzo to pięknie, ale dlaczegoż i tamtym nie można podać ręki? — Nawet przy dobrych zamiarach wszędzie jeszcze ta szlachetczyzna, feodalizm... Jednak się uspokoił, gdy pani Jadwiga obciągnęła własnoręcznie kusą katankę, wymykającą się z pod pasa małego pisarzewicza czy karbowiaka, i gdy zauważył, że wszystkie dzieci patrzą na panią, jak na matkę.

Więc Czemski zapytał uprzejmie:

— Czy pani się także zajmuje szkolnictwem?

— Naturalnie! to moje najmilsze zajęcie. Mamy ochronkę, trochę szerszego zakresu, niż przepisane — rozumie pan?

— Rozumiem.

— Mamy i parę szkół zawodowych w okolicy, dla chłopców i dla dziewcząt. Wszędzie jestem w zarządzie.

— Szkoda zatem, że pani nie wzięła udziału we wczorajszej naradzie o szkole rolniczej; skorzystalibyśmy z pani doświadczenia...

— Ach, narady! — — Panie Czemski, my, kobiety, jesteśmy od wykonywania waszych planów męskich... o ile te plany trafiają nam do serc i sumień.

— Czyli — uśmiechnął się Czemski — od potwierdzania lub odrzucania naszych projektów?

— Nie. Pomagamy wam, gdy czujemy się dosyć silnemi, aby pomódz; a silne jesteśmy tylko wtedy, gdy kochamy... człowieka, czy sprawę.

Czemski zamilkł, rozważając te słowa. Ale pani Jadwiga chciała widocznie do czegoś praktycznego się dogadać.

— Słyszałam wasze rozprawy wczoraj... Jabym się na ten przedmiot zapatrywała bardziej ze stanowiska pożytku...

— Nie dobrze rozumiem panią — —

— Trzebaby stworzyć szkołę taką, jakiej lud nasz chce i potrzebuje.

— Któż temu przeczył?!

— Może nikt — — ale właściwie dyskusyjcie panowie głównie o tem, do którego z obywateli politycznych należy przygotować wychowawców szkoły rolniczej. Jabym ich raczej kierowała na dobrych rolników.

— To cel główny, przyznaję. Jednak ktoś

musi kierować szkołą, a wybór kierowników nie jest rzeczą obojętną.

— Naturalnie; potrzeba zawodowców.

— I ludzi... idących w przyszłość.

— To frazes... z przeproszeniem, panie Czemski; wszyscy idziemy w przyszłość.

— Chronologicznie — tak; lecz nie wszyscy postępowo, ewolucyjnie, szanowna pani.

— Zwycięży mnie pan w teorii — rzekła pani Jadwiga z udaną może pokorą — ale w tym wypadku praktycznym, czy pan sądzi, że szkołę rolniczą ludową poprowadzą lepiej zawołani gospodarze wiejscy, czy ludzie z miast, nawet bardzo uczeni?

Stefan spostrzegł, że pani Godziembina wchodzi w samą istotę zatargu, że więc musiała uważnie śledzić wczorajszą dyskusję. Odpowiedział:

— Do kierownictwa trzeba jednych i drugich: dobrych praktyków i ludzi... ogarniających dalsze i wyższe cele, do których lud należy prowadzić... raczej... rozumiejących to, czego lud nasz, jeszcze surowy, choć genialny, nie potrafi sam sformułować.

— I tych drugich, tych znawców pragnień i przeznaczeń ludu, pan odnajduje po miastach?

— Przeważnie — odrzekł Stefan bez należytą stanowczości w głosie.

Przypomniały mu się podobne rozmowy z Manieczką; mawiała ona inaczej, z młod-

szym temperamentem, ale właściwie to samo. Pani Jadwiga dwiema prostymi uwagami w formie zapytań zachwiała w nim bardziej jego wnioski, niż wszystkie wczorajsze wywody. Kto wie, rzeczywiście, czy ta szlachta wiejska, to jest: najlepsi z nich robotnicy, czy nie są zdolniejsi do pracy z ludem, niż my, ludowcy teoretyczni?... Siedzą pospołu na ziemi od wieków, przywykli do siebie nawzajem; szlachta pozbyła się wielu nałogów panowania, lud zaczyna pozbywać się nieufności do szlachty. POCO odgradzać obie warstwy ziemiańskie przez hasła separatystyczne? Może to nawet grzech przeciw przyszłości i postępowi?

Zamilkł, idąc obok pani Jadwigi, uśmiechniętej uprzejmie, jakby świadomie dającej mu czas do namysłu. A ona, zgadując kierunek jego myśli i rozgrzanie serdeczne, próbowała rozmowy poufniejszej. Najuczciwsza kobieta wyczuwa, kiedy jest miła mężczyźnie — i że wtedy wszystko, co mu powie, przyjęte zostanie bez urazy, choćby było poniekąd reprimandą.

— Mówmy szczerze, panie Czemski! Każdy z nas chce zająć miejsce przyzwoite w Polsce ludowej. Jest nas dużo szlachty, inteligencji... słowem, ludzi, którzy coś robią. Bo dotąd my wszystko robimy w społeczeństwie, oprócz pracy ręcznej. Z ludu podnoszą się dopiero nieliczne indywidua i te ku nam, do nas wyciągają ręce. Ich miliony są dotychczas nie-



świadome swych ideałów obywatelskich. Ale my, klasa dzisiaj przodująca, bądźmy zgodni między sobą przynajmniej co do wskazywania drogi ludowi. Bo inaczej, zamiast postępu, wprowadzimy zamęt, rozszerzymy zgorzenie wojny domowej w całym kraju. I myślimy też o sobie, o naszym losie i udziale w przyszłości. Co tam szlachta, czy nie szlachta, wieśniacy czy mieszkańcy miast, obozy, stronnictwa! — w zdrowym społeczeństwie żadna warstwa nie powinna być skazana na wymarcie, lecz odradzać się i przystosowywać do zmienionych warunków wspólnej pracy dla wspólnego postępu... Czy nie jest pan tego zdania?

— Z panią zgodziłbym się łatwo — odrzekł Czemski wzruszony i pocałował w rękę panią Jadwigę.

Doleciał gwar od dworu, który ciągle był blisko miejsca przechadzki, niewielkiego ogrodu. Jerzy Godziemba powracał bryczką z wczesnego objazdu gospodarstwa, a naprzeciw niemu wyszło kilku mężczyzn, wypoczętych, rumianych, na czele Broniecki.

— Należy się nam śniadanie — rzekła pani Jadwiga — trzeba wracać do domu.

— Szkoda! — wyrwało się Czemskiemu — nawet o szkole rolniczej rozmawia się lepiej w ogrodzie i z panią.

— Jednak we dwoje nie poprowadzimy tej szkoły i to jeszcze u pana, w Łowickiem. Musicie się porozumieć w gronie męskim. To tak

łatwo, panie Czemski, między dobrymi ludźmi, którzy wszyscy pragną ogólnego pożytku — trochę tylko ustępstw z miłości własnej.

Spojrzała mu w oczy przymilnie, jakby prosząc o coś dla siebie — i Czemski wracał do dworku, pełen chęci pojednawczych.

Sama pogoda narajała chęci podobne; słońce, już wyniosłe, przesiewało przez wierzchołki drzew łagodne, roztańczone światło, w którym podstarzałe domostwo uśmiechało się blademi licami ścian i łyskało siwiejącą czupryną gontowego dachu. Rzeźwy poranek schyłku lata był jeszcze radosny, kryształowy, pełen świergotu ptaków. Szlachta na ganku, zdrowo rozrosnięta, miała pozór soczystych, dojrzałych we właściwym klimacie owoców.

W tej chwili Czemski zapomniał swych uprzedzeń i czuł się pociągniętym przez tych ludzi porannych i roboczych. Wrogowie postępu nie mogą mieć takich żon i matek, jak pani Jadwiga.

## X.

Włoczyły się mgły po ziemi, zmęczonej rozdajnością, i przesłaniały szarżyzną barwy, już przez porę jesienną wyszarżane. Czasem tylko, gdy słońce, coraz leniwsze, spojrzalo weselej, we mgłach mżące powstawały tęcze, niwy ozime weseliły się szczyrze zielonymi rzędami runi. Nic już na polach nie bujało wysoko, chyba przy folwarku tu i owdzie pozostał wyniosły kwadrat końskiego zębu i oczekiwał pierwszych przymrozków. Z tych kwadratów, z remiz i z pożółkłych zagajów porywały się czasami gęste stada kuropatw i, uszykowane w lotny szwadron, ciągnęły nad rolę nikle, a tak szybkie, że, gdy przecinały powietrze nad szosą, przechodzień myślał, że się wiatr gdzieś zrywa niewytlómaczony, a gdy ujrzał wiatr, niosący się na szarych skrzydłach, już stado było daleko, ledwie obliczalne. Po runi kicały wolno pasibrzuchy — zające, utykając na przodek głowiasty, obciążony słuchami; gdy który przypadł, albo stanął słupka, trwał nie-

ruchomie, jak rdzawy kamień, bochenkowaty, lub wytyczny, wśród szmaragdowych rozłogów. Pasły się na nich i sarny, pochylając wdzięczne szyje do smakowitego szczypioru, a między niemi czujny kozieł wywyższał nad stado łeb suchy i strzelisty, w najpiękniejszym rozkrzewieniu rogów. Na tego matadora pół dybały rozjaśnione oczy chłopów, choć nie uzbrojonych.

— Patrzajta, sar! jaki sar! — —

Czaili się do niego i strzelcy, chciwi mięsa, albo pięknych rogów, które kozieł wkrótce miał zrzucić i zakopać w niedostępnej dla ludzi kryjówce.

Po szosach, rozmiękłych od jesiennej wilgoci i wyżłobionych przez ciężkie koła, ciągnęły bez ustanku ładowne skrzynie kartosli do gorzelni, buraków do cukrowni. Kominy fabryczne gęściej zaczynały dymić, a w nocy tu i owdzie paliła się we mgłach łuna błękitna i w niej żarowe lampy, jak nizkie księżyce, wschodziły na horyzont. Ulatniała się coraz bardziej świeżość wsi, powietrze miejskie, przemysłowe, dyszące gorączką i dymem, rozpełzło się szeroko po kraju.

W Sławoszewie była tylko gorzelnia gospodarska, w znacznej odległości od domu. Wielki ogród, kawał prawdziwego lasu — utrzymywały tutaj w każdej porze roku niezamącony charakter wsi w zajęciach i widokach. Jednak wytryskujące o zmroku w dalszym pierścieniu

okolnym elektryczne ognisko sąsiedniej cukrowni, dojazdy do granic, zaprawne wyziewami fabryk, ciemny kołpak dymów, wiszący nad Łowiczem, nocami roziskrzony pożarnie, a przedewszystkiem niebo chmurne lub wypłowiałe, chłód nocy dotkliwszy i rozwłóczona powszędy woń wędnących roślin — wszystko to wsiąkało w usposobienie mieszkańców Sławoszewa: ciała otulały się grubszą odzieżą, dusze — odmienną powłoką.

Tylko nie smutek je ogarniał; ludzie zamiłowani do swych zajęć nie bywają smutni. Pan Józef Broniecki, na przykład, zmieniał tylko, stosownie do pory roku, projekty, nigdy — humor.

— Kopia się grzecznie buraczki — — sto pięćdziesiąt korcy z morgi — kontrakcik z cukrownią wykoncypowany artystycznie — szczebiotął pan Józef pieśczośliwie, zacierając ręce, podczas wieczerzy z córką.

Manieczka, która wiedziała z lat poprzednich, do czego zmierza takie jesienne zadowolenie ojca, próbowała oponować:

— Już tatusiowi do tej Warszawy pilno! Na wsi jeszcze mnóstwo roboty.

— Takiej, że ją Wierzbosio odrobi za mnie, jak nastawiona maszynka, a za ciebie Magda. Siewy skończone, kontrakciki gotowe — — trzeba się trochę w stolicy ludziom pokazać, a nawet prosili mnie o odczyt w Towarzy-

stwie Centralnem, trochę o bydełku, trochę o chilijskiej saletrze. Palnę im — —

Manieczka odeła wargi, a pan Józef dalej:

— Córka także się zabawi. Ciotka Obichowska dużo przyjmuje; przed adwentem czas jeszcze potańcować.

— Kto tam teraz tańczy!

— Właśnie, że mi pisano. A w adwencie są i rauty, dużo młodzieży — — Oleś Leśniowski ciągle się dopytuje, kiedy przyjedziemy do Warszawy.

Manieczka z przesadnym obrzydzeniem wzruszyła ramionami.

— Nie on jeden; wielu innych bywa u ciotki Obichowskiej, która ma przecie Zosię na wydaniu. Nie lubisz Zosi?

— Zosia wielki próżniak; ciągle tylko myśli o podróżowaniu za granicą.

— Ej, Maniuś, wszystko ci dzisiaj nie w smak. Cóż ty masz tutaj do roboty? — — Nawet sąsiedzi wybierają się do Warszawy; Drobińscy, Czemski...

— Tak? — odezwała się Mańka z innego tonu i bez widomego powodu obejrzała uważnie koszyk z pieczywem, stojący na stole.

— Tak, moje serce. Każdy chce się trochę odpolerować między ludźmi; nie można ciągle na wsi siedzieć: człowiek śniedzieje, tyje...

— Ja nie utylam. Chyba tatus?

— Co ty mówisz?! Uważasz, że utylam?

— Trochę w pasie.

— O, psia! — najgorzej — —

— Ej, nie... tak mi się może wydawało... Zresztą powiem tatusiowi: mówię na przekór, bo jestem w złym humorze.

— Toś się ode mnie odrodziła; ja nie jestem nigdy w złym humorze.

— Bo Olczakówna chce od nas odejść.

— Giez ją uciął, czy co? — może za mąż wychodzi?

— Mówi, że nie; tylko dwór jej się uprzykrzył, tęskni do chaty.

— Przeczytała chyba jaki stary romans? Dodać jej rubla na miesiąc, odechce się jej wioseczki.

— Mnie się zdaje, że zadurzyła się w kimś, który jej nie chce.

— Proszę, proszę — — dramatyczna awantura!

— Zdarza się, tatusiu.

Manieczka wygłosiła to zdanie z tak niezwykłą powagą, że Broniecki przyjrzał się córce, na chwilę sam spowaźniał i wysnuł moral stosowny:

— Zdarza się właśnie wtedy, kiedy dziewczeczka siedzi na partykularzu i mało kogo z młodych mężczyzn widuje. A tu wiosenka życia kwitnie, szepcze do uszka — — i niema z kim o tem pogadać. Wtedy pierwsza lepsza para wąsów wydaje się ideałem. A kiedy ideał wąsy zwróci w inną stronę — tragedia. Nie mówię o Magdzie — uprze się, to niech sobie

idzie do chałupy. Ale i ty, Manius, nie masz tu stosownego towarzystwa.

— Dlaczego?

— Mówię: towarzystwa młodych. Spraszać ich do Sławoszewa nie wypada; to jakbym się napraszał, żeby mi cię zabrano.

— Tych warszawiaków ja nie lubię — rzekła Manieczka z przekonaniem.

— Nie swatam cię przecie z łykiem warszawskim; wogóle cię nie swatam. Ale w Warszawie spotyka się cały kraj, więc i całą młodzież.

— W kabaretach! — palnęła Mańka.

— Któż ci to powiedział?! — zapytał zdumiony Broniecki.

— Byłam już przecie w Warszawie; wiem, jak tam żyją przyjezdni ze wsi.

— Co ty tam wiesz, moje dziecko! — —

Pan Józef, który sam nie stronił w Warszawie od nocnego życia, był wcale niezadowolony z uświadomienia córki w tym kierunku. Zaczął, przeciw swemu zwyczajowi, wydziwiać nad wieczerzą:

— Tego groszku jeść już nie można — struś by go nie strawił — —

— Nie udał się ogrodnikowi ostatni posiew, tatusiu. Już późno, nie chce się wiązać w strączki młodszy — a to stary groszek.

— Bo się ogrodnik rozbrykał. Ostatniej niedzieli wyjechał bez pozwolenia do Łowicza,

wrócił po północy, z nogami na fornalu. Wyleję go.

Manieczka zamilkła, choć wiedziała, że ogrodnik jest umiejętny i uczciwy, a podchmiela sobie tylko w święta, bez szkody dla ogrodnictwa. Zmiarkowała, że sprawiła ojcu przykróść, więc prawie rozrzewniona jęła go głaskać ustepliwemi słowami:

— Wie tatuś co? — weźmiemy Magdusię z sobą do Warszawy — —

— O, widzisz: dobra rada. Rozerwie się dziewczucha i wywietrzeją jej z głowy pomyłone romanse.

— A ja mogę z tatusiem zamieszkać w hotelu, nie u cioci Obichowskiej? Będę miała swoją służącą — —

To nie trafiło do przekonania panu Józefowi:

— Trudno będzie. Ja mam dużo interesów. Ciągłe z tobą chodzić nie mogę, a jakże we dwie takie sarenki będziecie się szastały po ulicach, po restauracjach? — niepodobieństwo!

— Dobrze; to będę mieszkała u cioci.

— A poczciwa pani Rozalia umieści i twoją służącą. Ciotunia ma i mieszkanie i serce obszerne.

— I będę przyjmowała, kogo mi się podoba, w salonie cioci?

— No... porozumiesz się z nią łatwo.

— Drobińskich?

— Pewno, pewno — starzy jej znajomi.

— A pana Czemskiego?

— Czemskiego? — zadziwił się Broniecki. — Tego nie zna ciotka Rozalia.

— To go pozna.

Ojciec popatrzył bystro w oczy córki, która nie umknęła spojrzeniem, lecz zarumieniła się. Ułożył sobie szybko w głowie szereg przypuszczeń, lecz nie chciał nalegać i mówił dalej, niby niedbale:

— Dobry chłop, ale w głowie coś nie rychtyk.

— Jakto?! bardzo uczony!

— Przez obcych nam ludzi, przez szkodników.

— To go trzeba do nas przyciągnąć.

— Próbuje. Ale ma w głowie cudzą bibułę zamiast własnych myśli. Ty zaś: córuchno, nauczyłaś go... naprzykład, oberka, lecz nie obywatelskiej roboty. On zresztą ucieka od nas, ma w mieście swoich kamratów, gryzi-piórków, a na wsi chłopów, z którymi ani be, ani me — porozumieć się nie może. Chciałby, żeby chłop był ślicznie wycięty z jego gazety, a chłop jest na złość zupełnie inny, taki, jakiego my znamy.

— Ja mu to samo mówiłam! — wtrąciła żywo Manieczka.

— Boś po ojcu rozumek wzięła, córuchno.

— Więc nietylko do oberka, tatusiu?

— I jęczyczek po ojcu!

Uściskał pan Józef córkę i zapanowała

między nimi zwyczajna zgoda, oparta na gorącym przywiązaniu i wzajemnej pobłażliwości.

W garderobie wszczął się ruch, zwany »pakowaniem«, który nie był prostym aktem złożenia do kufrów rzeczy, potrzebnych na pobyt w Warszawie, ale długim ich doborem, pełnym artystycznego namysłu. Trzeba było odświeżyć kilka sukien, przeciągnąć nowe wstążeczki przez »wstawki« różnych batystów; dać kowalowi do naprawy zamek od kuferka, odezwany poprzednio z niecierpliwości, że klucz się gdzie zapodział — wykonać mnóstwo niezbędnych robót.

Magdusia, gdy się dowiedziała, że pojedzie do Warszawy, rozplakała się najprzód nad swym losem, potem zaczęła mu się przyglądać i doszła do wniosku, że los jest tymczasem nie srogi, nawet ponętny. Wróci stamtąd przecie, a tymczasem zobaczy wielkie miasto, o którym nasłuchiwała się dziwów, rozjaśni strapienie myśli, zobaczy, jak to ludzie tam bawią się, a tańczą, a zalecają się, a stroją — zobaczy i rój chłopców: paniczów, studentów i gminiaków cudnie ubranych, — może z dziesięć razy tyle chłopca, ile na jarmarku w Łowiczu widziała. Może jej kto wybije z myśli dziwaka Rykonia, który i łaskaw na nią i jej nie chce, jakoby jakiej zapowietrzonyj — Ej, nie! Rykonia nie zapomni, ale na innych spróbować można, czy też oni tak nieczuli? —

Więc Olczakówna, gotując stroje dla panienki, nie zapomniała też o swoich, dworskich i chłopskich, bo niewiadomo, jak się tam ubrać wypadnie. Marzyła nawet, że dostanie do jednych kapeluszy, do drugich bursztyny.

A wieś, jakby na pożegnanie dobrych ludzi ze Sławoszewa, wdzięczyła się w rozjaśnionej pogodzie, pod koniec października. Oziminy tak pięknie podrosły, że obawiali się gospodarze, aby nie wysiliły zbyt swych zielonych pędów przed zimą. Udawały tymczasem wiosnę, zaścieleając wielkie, regularne płaszczyzny, graniczące z rolą przeoraną, o jędrnym polysku skib świeżych, z drogami szaremi, z łąkami, na których płowe stogi dumwały, jak grobowce minionej krasy traw, z lasem, wiecznie młodym przez odmiany swych liści i szpilek, przez gatunki żywe i dzikie, które go zaludniają. Las, niewiadomo kiedy piękniejszy: czy na wiosnę, kiedy go młoda zieleń ogarnie; czy jesienią, kiedy złotem skrzy się i kąpie, a rozbujają zielenią sosen i jodeł uraga ogólnemu przymieraniu?

Przez taki las słoneczny, pachnący jeszcze żywicą i już fermentem opadłych liści, jechał powóz otwarty, w cztery konie, mieszczący Bronieckiego z córką, bryczka z Magdusią, otoczoną mniejszym bagażem i jeszcze wóz z kuframi. Wszystko to dążyło do stacyi kolei żelaznej. Na granicy Manieczka odwróciła się od uciekającego Sławoszewa i lekko wes-

tchnęła, żegnając dom i lato, niby ukochańsze jeszcze w tym roku.

— Cóż tak wzdychasz, córuś? Nie emigrujemy przecie do Ameryki.

— Ach nie! — — tylko tyle grzybów widziałam po drodze; myślę, czy szafarka nie zapomni zamarynować — —

## XI.

Chociaż jedna siedziba ludzka, najwyżej zbudowana, opustoszała, okolica nie zasmęciła się bynajmniej. Lęgowi mieszkańcy pozostali przy ziemi, która ich zrodziła, ciągnęli z niej dalej soki żywiące, stosowali swe zajęcia do jej wiecznych przemian. Błękitnie barwione chaty Mielna ciężiej jakoś przylegały do ziemi w powietrzu jesiennem, ale było w nich raczej weselej teraz, niż za natężonej roboty letniej, gdy większa część mieszkańców na cały dzień wyrażała się w pole. Siedziały wszystkie kobiety i dzieci w granicach gospodarskiego obejścia. Póki światła, po stodołach dudniły młocarnie, obracane przez dwuramiennie kieraty; w niejednej sadybie waliły jeszcze rytmicznie starodawne cepy ręczne. Koniom coraz częściej trzeba było zadawać na zakładkę w stajni, bo polne pastwisko, i tak dość chude, było o tej porze prawie całkowicie wyżarte. Ludzie i bydła coraz ściślej skupiali się w okólniku, aż póki na zimę nie zamkną się szczelnie

w swym drewnianym gródku. Trzy razy na dzień wszyscy domownicy zasiadali w izbie do stołu, na śniadanie, obiad i wieczerzę — bo już podwieczorki skasowano od świętego Michała. — A tkactwo lnu i wełny zajmowało kobiety przy kołowrotkach i warsztatach, nie tylko ze zwyczaju i obowiązku, ale dla honoru, bo każdy człowiek musi mieć przecie z własnego lnu koszulę — im cieńszą, tem godniej — i wełniakiem własnym godzi się popisać gospodarskiej rodzinie. Więc w chacie każdy kął był pełny użytku, roboty, osobnego postuku lub szmeru — i cała chata gadała mową swą własną, od przebudzenia aż do snu, nawet bez udziału głosów ludzkich. A gdy po krótkim już dniu zabłyśły frontowe okna od lamp i ognisk, mrugliwy różaniec światel wydłużał się na wiorsty w kłamrę, ogromny w mroku i radujący oczy, że tyłu nas jest w gromadzie — nie damy się złodziejowi, ani komu.

Wszystkie porządki najpiękniejsze zawierała osada Jana Rykonia; najlepszy pono miał zbiór, najteższy inwentarz, obfity sad owocowy, pańskie narzędzia rolnicze, sławne kury, bo też i głowa nad tem wszystkim czuwała naczelna. Napatrzywszy się dużo świata, Jan zagrzał się do ulepszeń w gospodarstwie, a szczególnie do szerszej organizacyi wspólnej roboty, niż ją mieli Mielniacy w swem kółku rolniczem.

— Widzita, ojce — mówił do kilku przyjacielskich gospodarzy, którzy wieczorem do niego przyszli — miewają w innych stronach panowie po piętnaście, a niejeden tylko dzie sięć włók — niewielkie państwa, kilka razy tylko większe, niż nasze. A jak się w kupę wzięli, takie ci zaprowadzili u siebie porządki: pługi samochodne se sprowadzają, nasiona najplenniejsze, buhaje i ogiery zagraniczne. A ktoby tam z tych małych panów miał śmiałość sam dla siebie taki koszt i zachód czynić? Jeno jak się w gromadę zbili, jak wszyscy dla wszystkich radzą i składają się — mocni są; dwa razy tyle ziarna zbierają z morgi, co my, a krowa im więcej, niż pięćset złotych, na rok daje.

— To nasz zakrystyan ma taką krowę, co mu z udoju w przeszłym roku sto rubli dała — odezwał się ciężki Selwestrowicz.

— Nie trudno jedną taką mieć — odrzekł Rykoń — a jeszcze kościelną, co jej nikt nawet swego zielonego grochu nie zabroni, a z całej parafii jada — ale żeby sztuka w sztukę z wielkiej obory tyle dawała.

— Szcześliwsze panowie od nas są, bo mądrzejsze — rzekł z przekąsem dziobaty Worowski.

— To właśnie, somszedzie — potwierdził Rykoń — zmądrzeć nam trzeba. I który mocniejszy rozum ma, kto więcej czytał, abo lepiej praktykował, niech innym użyczy — żeby go



tylko słuchali. A najlepiej postawić nad każdą robotą przełożenstwo, żeby ci, co umieją robić, dla całej gromady robili. Spółki mleczarskiej nam trzeba — i takich, co by nasiona kupowali — i takich od kupowania narzędzi — i takich, co by z urzędu naszych spraw pilnowali.

— A to wszystko przy naszym kółku urządzić! — odezwał się Żulek, chłop młody i niecierpliwy.

— Aale! — odrzekł Workowski — w kółku od pół roku o kupieniu buhajka radzimy, a buhajka jak nie było, tak niema.

— Kółko za słabe; szerszego nam koła trzeba — odezwał się Dominik Pełka, brat karbowego ze Sławoszewa.

Rykoniowi błysnęły zęby od radosnego uśmiechu.

— Rzadko co powiecie, somsiedzie Dominiku, ale dobrze: trzeba nam się poczuć w większej gromadzie — i z panami, które mądrale są na roli — i z nauczycielami, które uczą po szkołach rolniczych — i z wielkimi pieniędzmi i z wielką siłą.

— Jakże to przemyślacie, Janie? — zapytał Workowski.

— Widziałem ich tam robotę między sobą w towarzystwie rolniczym. Ta jest i z nami, gminiakami. Wielgachna jest ta robota; wszystko w niej sprzężone, co człeku siedzącemu na kawale tej polskiej ziemi potrzebne, czy na

dużym, czy na małym. I nam, Mielniakom, trzeba do tej wielkiej roboty mieć przyłączenie.

— Oj! — powątpiewał Workowski — robią ci tam oni bardziej dla siebie, niżeli dla nas. Taka już ludzka natura jest.

— Nie widzieliście, Pawle, a gadacie. Trafiliście jeno w to, że każdego natura do swojego ciągnie. Tylko i natura nas wszystkich, co się tą ziemią paramy, powinowata. A cóż to, my w zarządzie nie potrafimy naszych chłopskich interesów obronić, czy co?

— Byliby nasi w zarządzie? — zagadnął Workowski, a twarz ospowata śniadością mu się powlekła ciemniejszą i oczy pożądliwie błysnęły.

— Choćby i wy, Pawle, i ja. Tak myśleliśmy z dziedzicem sławoszewskim, kiedyśmy sobie pogwarzali o założeniu u nas towarzystwa okręgowego na wiosnę.

— Oj, rety! już na wiosnę? — zawołał Selwestrowicz.

— A dopóki chcielibyście czekać, somsiedzie? Kiej co dobre, śpiesz się doń, bo może uciec — rzekł Rykoń.

Nowy projekt realny obudził w gospodarzach niektóre wątpliwości. Przemówił Żulek:

— Ślachty mało w okolicy; jakież ci to będzie towarzystwo?

— Taka bieda, po waszemu? — odparł

Rykoń nieco ironicznie — to nas więcej będzie w zarządzie, gminiaków.

— I nową składkę nałożymy na siebie — powątpiewał Pełka.

— Kto nie chce się zapisać, płacił nie będzie. A potem, jak zobaczyta, co to za robota przyłączona do swojej własnej centrali, niby do Warszawy, każdy się naprosi jeszcze, żeby płacić głupiego rubla.

— To niby gubernator nie ma do tego nic? — odezwał się znowu najmniej świadomy z obecnych, Selwestrowicz.

— Jemu tam gubernator! — objaśniał Workowski. — Gubernator je tylko od tego, żebyśmy powstania nie robili.

— A od tego, coby ludziom na roli lepiej było, mamy swoje naczelniki — dodał Rykoń głosem głębokim od przeświadczenia.

— Jacyż to oni? jacy? — zapytało naraz paru gospodarzy.

— A bo to mało ich, prezesów w Warszawie, abo jenszych na wsi! A są i tacy, co ni jakiej wielkiej godności na sobie nie noszą, ten gospodarz na małym, ten dochtór na ten przykład w Kutnie, ten wędrownik od zakładania warsztatów chłopskich po kraju — a naczelniki są! — Co wam tam powiadać, kiedy się nie chceta nawet do towarzystwa zapisać — —

— Kto powiedział — warknął Workowski — że ja nie chcę?

— Może wy, Pawle. Ale do tej roboty potrzebna cała gromada; inaczej nic!

— Dajcie pomysleć, Janie — dorzucił Pełka — powoli wszyscy możemy się zapisać.

— Oj! powoli wy myślicie, Mielniacy! — a czasy prędkie są.

— I cóż? gadajcie — —

— Przerabia się ta polska ziemia — mówił Rykoń mocno — jakby ci ją kto głębiej plugiem skroił, a odkładnicą na wierzch wywalił takie skiby, co nigdy słońca Bożego nie widziały. To te skiby nowotne powinny ze starami, które zdawna rodziły, swoją spoistość mieć, bo kiedy się nie skleją i w rodzajności swojej nie pogodzą, mizerny będzie plon z tej niwy. Tego, widzita ojce, nie trzeba zabaczać przy każdym naszym poczynaniu.

Słuchali go, jeden bystrzej, drugi leniwiej, wnikając w znaczenie, ale wszystkim podobła się przypowieść. Workowski opowiedział się odrazu przy Rykoniu i tłómaczył:

— Trzymajta ze ślachtą — mówi wam Jan.

— Ze ślachtą, abo i nie ze ślachtą — poprawił Rykoń — ze wszystkimi po wsiach i miastach, które Polaki są i robić potrafią w gromadzie.

— Polaki to oni wszyscy w gębie są — nadmienił Żulek — które z nami gadają. Ale kto ich tam wie, co potrafią i jaką dla nas życzliwość mają?

— Na to człowiek rozum ma — odrzekł

Pelka — kto ci gada o tem, co sam już dobrze robi, to go słuchaj; a kto od śliny, abo coś tam z niewiadomego pisma przepowiada, to lepiej obwąchaj, zanim połkniesz.

— I racya — potwierdził Rykoń. — Kiedy mi pan Broniecki, co jest gospodarz, jak się patrzy, poradzi: bronuj tu prosto, tam na sągę, wierzę mu. Kiedy pan Godziemba, co już budował, a dobrze, da mi plan domu gminnego — biore. A zacnie mi tam opowiadać ten profesor, co się po Mielnie tego roku włoczy — śmieję się. — Prawi mi o Polsce ludowej, gdzie to my tylko sami, gminiacy, rząd sprawować mamy — daleko to, ale daj Boże! — A zapytajcie go, co tera robić — uczyć się — dobrze — prenumerować »Ludowca« — niechta będzie. I dalej co? — Nie robić nic z dziedzicem, ani z księdzem, bo to wrogowie. — To ja ich lepiej znam od was, panie profesorze! Jest czasem, który we dworze, abo w plebanii, o sobie tylko myśli i do pospólnej roboty na nic — ale więcej takich, co nam z duszyserca życzliwi są, bo się już po ich czynach pokazało. Do takich was namawiam, ojce. A ilu ich ja widziałem i na wsi i w miastach! — i wrogów naszych nie spotkałem. To taki profesor niby nowe czasy przepowiada, po swojemu postęp, a stare bajki roznosi. Abo on głupi z całym swoim rozumem, abo swoje w tem jenteresy ma, nie nasze.

W te rozprawy starszyny wmieszał się

znieńska głos parobka Bembenisty, który dotąd słuchał w milczeniu:

— Gadajcie zdrowi, gospodarze, ale profesor dla całego ludu roboczego serce ma — —

— Pocałował cię? — zagadnął szydyczko Workowski.

— Całować me nie całował, jeno zna on należność, jaką człowiek roboczy za granicą ma, parobek, czy fabryczny, i o tej przepowiada, że i u nas nastanie.

— To ci tu jeszcze źle u Rykonia — mówił ze zgrozą Workowski — gdzie parobek z nimi do jednej misy siada, a sutej? — gdzie kozuch co roku dostaję i tyle dobra, że lepiej ma, niż niektóry gospodarz na półwłóczku?! —

— Nie mówię, że tu źle, jeno że kuźdy człowiek do swojej własnej skiby ziemi się kwapi i do swego prawa..

— A pokwap-no się tera za drzwi! — zawołał Rykoń niewielkim nawet głosem, ale tak dotkliwym, że Bembenistę jakby wymiotło z izby.

Zaległo między ojcami wsi milczenie, przemyślali o nowych czasach, które nadciągają, pełne obietnic i razem niepokoju. — — Jednym będzie lepiej, drugim gorzej — — ale jak nam? — myślał każdy o sobie i swoich najbliższych. Tylko Jan, który miał najszersze serce, roił wciąż o szerokiej szczęśliwości i wrywał się do jej przyśpieszenia. Odezwał się nareszcie:

— Patrzajcie, jaka tu jeszcze robota tego profesora! Od Bronieckiego i Godziemby nas odciągał; proboszcza, chociaż to nijaki ksiądz, na czarnego dyabła przemałował; ledwie nam naszego domu nie popsuł w zaczęciu — a tera jeszcze i parobków przeciw gospodarzom bontuje. — Ten ci jest w roli, o której wam powiedziałem, jako ten kamień, co skibę od skiby odgradza, plonu nijakiego nie żywi, tylkoby dobre żelazo pługą szczyrbil i łamał.

Pokiwali gospodarze głowami.

— Wyrzucić go ze wsil! — zawołał prędki Żulek.

— Co tam wyrzucić? nie mieszka przecie w Mielnie — poprawił Workowski — tylko go nie słuchać, nie brać jego książeczek, bo i bez Boga są i nie do rzeczy.

— Dużo on tam wiel! mojej wyki na polu nie mógł poznać; myślał, że groch — zaśmiał się Selwestrowicz.

— A do mnie gadał: chodzisz pan do kościoła? — A jakże — mówię. — Nie przeszkadzam — powiada. Ja się go ta pytać bede o pozwolenstwo! — śmiał się z profesora Dominik Pełka.

— To widzicie — rzekł Rykoń — tacy się nam na naczelników napraszają, a nic z naszych spraw nie rozumieją, nic dobrego nie radzą, jeno ludzi kłocą i roboty psują. — A inni, dawni znajomi i sąsiedzi na roli, mówią nam: pójdźcie do wspólnej z nami ro-

boty. Was jest gromada duża, jeno ciemna, nas gromada mniejsza, ale silnie z sobą z mówiona i nauczna. Robić będziemy to samo: żeby każdy chleba więcej miał, Polskę słał i Boga jednego chwalił. — To jakich myślitą obrać sobie za przyjaciół: czy tamtych majstrów-psujów, czy tych majstrów od roboty?

Zgadzali się już, mniej lub więcej rozumiejąc, ale ufali wszyscy Janowi, który najdalej jeździł i najdalej okiem sięgał.

Gdy wyszli, Rykoń przeszedł przez sieni i zajrzał do drugiej izby, gdzie Rykonina matka, brzydka dziewczka Anastazyja i drzemiący parobek Fudała zwijali nici na szpule. Cicho tam było i niewesoło, tylko ład i dostatek, widoczne przy świetle dobrej lampy, napełniały izbę zadowolonym spokojem.

— Idźta już spać — rzekł Jan do służby.

Matkę zaś pocałował w rękę na dobranoc, a ona przemówiła, całując syna w głowę:

— I Jasieńko już legnie, co? Niechta oczków se nie ślepi przy lampie, jak wczoraj — —

— Tylko se doczytam gazetę, legnę, matulu.

Wrócił do izby, w której przed chwilą rozmawiał z sąsiadami; dymno w niej było od papierosów, więc okno otworzył i spojrzął w noc pochmurną. Różaniec światłych okien, czuwających przy ziemi, poprzerzywał się już znacznie i gasł w oczach; wiało chłodem wilgotnym i osmętną ciszą.

Zamknął okno. Ogarnąwszy wzrokiem pü-

stą izbę, podumał przez chwilę nad swem życiem prawie zakonnem, które wypełniała całym robotą, tylko robotą — i przypomniał nagle Magdusię Olczakównę, jak ją trzymał w tańcu przyciśniętą krągłym gorsem do piersi, palącą oczyma, napraszającą się ust czerwoną ponętą, na okrężnem w Sławoszewie — — Wiedział, że wczoraj wyjechała z państwem do Warszawy — żał go w serce zaklął, że ona już nie w sąsiedztwie, lecz daleko, między rozpusztą ludnością wielkiego miasta, a słodka taka, jak plaster miodu, do którego wszystkie baki i trutnie się zlatują — — Mógłby ją tutaj mieć, w chacie rozweselonej, pełnej młodego szczebiotu — — pogodziłaby się z matką, której Jan do śmierci opuszczać nie chciał — i dobrą byłaby żoną a pomocną, bo nawet pisać umie pięknie i w listach mogłaby wyrećzyć — byłaby naogół taka, jakaby ją Rykoń mieć chciał, bo potulna, choć piękna, i garnie się zdawna do niego.

Ale zakazał sobie ponownie tego rojenia, niby złej pokusy, westchnął krótko, potrząsnął czupryną, po lejbiku na żebrach mocno się chlasnął oburącz, jakby ręce, do ciągót ochocze, powstrzymywał — i usiadł przy stole pod lampą.

Miał Rykoń w tej izbie stół, przeznaczony do czytania i pisania, na którym ostro zakazał gospodarować czeladzi. Leżały tu zebrane po porządku numerów trzy pisma peryodyczne,

dwa warszawskie, jedno łowickie; był kałamarz, pióro, ołówek, papier i koperty; w szufladach zbiór listów otrzymanych, plany domu ludowego — cały aparat wiejskiego statysty. Było to ulubione miejsce Jana podczas samotnych wieczorów, czuł się tu obywatelem szerokiego kraju, którego przeróżne sprawy przynosiły mu gazety; nieraz już i sam napisał do znajomych redakcyi zwięzłe uwagi albo zapytania. Niektóre z nich wydrukowano. — Otrzymywał często listy i nie od byle kogo: od wybitnych działaczy, od doktorów, od prezesów, ba, nawet od jednego posła polskiego z Petersburga. — Gminiacy, zamiast pisać, woleli do niego przyjść, albo przyjechać, a nierzadko zjawiali się z dalekich stron. Na listy Jan odpisywał zawsze, prędzej czy później, a przychodzących po radę przyjmował uprzejmie, nie jak naczelnik albo znachor, lecz — jak brat. Chwalili go sobie ludzie, jako mądralę i setnego chłopca. Najmniejszy może mir miał w swojej wsi, w Mielnie, że to z panami za dużo majstrował i fizyk był nieprzenikniony.

I którzy tu byli dzisiaj, niby najlepsi przyjaciele, jak ciężko godzili się na projekty i namowy! A co i gadać o innych, zazdrosnych o swoją przewagę, jak wójt Damian Skierski, albo wręcz nieprzyjaznych, jak Goździk, Kołaczyński, Orlik, Maryniak, chłopcy oporne wszelkiej robocie łącznej z dworem! A o takim Smagale, nawet z innej gminy pochodzącym.

który z profesorem Owocnym był w znowie i w jego zastępstwie przyjeżdżał do Mielnia chłopom we łbach przewracać. Reszta gromady była ciężka, podejrzliwa — tyle tylko, że na zebraniu gminnym szła za tym, kto najmocniej gardłował, a w tej sztuce Rykoń był majstrem nieprześcignionym... Przeprowadził więc uchwałę o domu ludowym mocą swego gadania i zabiegów — już się cegłę zwoziło na grunt przy gminie kupiony od Gładocha — ale po tem zwycięstwie nie nabrał zaufania do zbiorowego rozumu, ani do samodzielności Mielniaków; utwierdził się tylko w przekonaniu, że pchać ich trzeba przemocą ku ich własnemu pożytkowi.

Do wójtostwa w Mielnie też się nie kwapił — przybyłaby mu jeszcze walka z pisarzem gminnym i mozolna korespondencya z władzami — czuł się za to przełożonym nad znacznie większym okręgiem, zmówionym z potężnymi organizacyami, z wielką gromadą. Na wójta możeby go nawet nie zatwierdził gubernator, bo rodzina Rykoniów była »niebłahonadeżna« od roku 1905, gdy się wszystkie z niej chłopcy postawiły twardo przy obronie polskiego języka w gminie. Brat Jana, Ambroży, odsiedział nawet za to dwa lata więzienia, przeznaczony przez nieboszczyka ojca na winowajcę w tym buncie, jako mniej zdolny i mniej potrzebny gromadzie, niż Jan.

Cherłał od tego czasu, ale się ożenił i miał swe gospodarstwo w Mielnie.

Jan Rykoń kochał swoją gromadę po męsku, bez rozrzewnienia, bez pobłażania wadom i opieszałościom, kochał ją trochę tyranicznie.

## XII.

Zapomina się o wsi w Warszawie tem łatwiej, im pora roku surowsza. Opuszczają człowieka nagle pragnienia dotknięć bezpośrednich do żywiołu pierwotnego, inaczej człowiek czuje i myśli, mądrzej i skuteczniej — zapewniają mieszczuchy, — powierzchowniej — twierdzą zagorzali wieśniacy. Ten, który po zbożach dojrzałych puszczał oko spokojnie szczęśliwe i podśluchiwał, co kłosa szepczą o wieczystej harmonii i zgodzie; który wchodził między żrebce rozhulane na gródzi i skupiał do ręki ich oczy, rżące życiem, ich ciała gniade i kare, pachnące potem centaurów; który widywał, jak dzień gaśnie u siebie, na swoich włościach bezgranicznych; który zasypiał, jak dziecko, a budził się z ptakami o świcie — ten znalazł się dzisiaj w mieście, w hotelu.

Obudził się późno, bo poszedł spać po północy. Zechciał przez otwarte okno wpuścić do pokoju świeże powietrze, ale dostał w twarz zapachem węglanu cebuli, a po uszach turko-

tem kół tak przeraźliwym, jakby całe miasto zajeżdżało mu przed hotel. Zamknął okno. Już dziennik poranny przynosi ten zamęt wypadków, którymi ludzkość, stłoczona po miastach i stelegrafowana po świecie, zaprzęta sobie niespokojne głowy.

Oszołomiony wieśniak wchłania wiadomości krajowe, zagraniczne, teatralne, literackie, polityczne, osobiste — — wszystko to czytało się i na wsi, ale było niby powieścią o dalekich, niedościgłych stronach. Tutaj wypadki są dzisiejsze, osoby takie, z których niejedną można zaraz obejrzeć, do drugich łatwo dojechać. Ze steku bezładnych powiadomień pozostaje w głowie szum ogromnej zgłębliwości spraw ludzkich, a zarazem przyzwyczajenie do powszedy panującego Grzechu. W wielkim mieście nie zdybać nigdzie cnoty, wszędzie gorączkę i zmaganie się ludzi między sobą, »rekord«, którego celem rozkosz, sława lub potęga. Ten dąży do bieguna ziemi, ten w niezwydzone wyżyny powietrza; ten legalnie wydiera bliźnim pieniądze, ów dla swych celów handluje ideami. Mężczyźni wyglądają na gładkich a przemysłnych zbójów, kobiety na głodne dreszczów i wydziwów nierządnic. Wszystko, co ludzie urządzili rzekomo dla dobra ogółu, od tronów do przytułków nocnych — technie obłudą hasań i prawdą żądzy człowieczej — wszędzie stary Grzech tryumfalny na czele zabiegów ludzkich, pojedynczych i zbior-

rowych! — To w mieście. Ale na wsi są jeszcze wielkie pola niewinne, dworki i chaty, których gad jadem swym nie oślinił. Gdy się zaś sumiennie poszuka, wszędzie są jeszcze dobre ludzie.

Do takich należą ludzie z sercem wiejskiem a z umysłem ciekawym, którzy, folgując obu tym instynktom, pół roku siedzą na wsi, pół w mieście, a z piekła miejskiego nie czerpią zgorzenia, lecz ostrzegający przykład. Do takich też należy pani Rozalia z Bronieckich Obichowska, stryjeczna siostra pana Józefa. Majętna wdowa, oprócz dóbr ziemskich, posiada w Warszawie dom, do którego powraca stale późną jesienią i zajmuje w nim całe drugie piętro od frontu, bardzo obszerne, zdolne do pomieszczenia licznych zebrań i rozszerzonego koła domowników, po wiejsku. Przy matce mieszka najstarsza córka, Zosia, rówieśniczka Mańki Bronieckiej; młodszy synowie są w szkołach zagranicznych.

Ciocia Rozalka, u której Manieczka pozostaje już kilka tygodni, jest wcale pokazną i miłą osobą, chociaż czarne jej włosy zaczęły już tracić połysk. Bujna krew Bronieckich utrzymuje jej zdrową cerę i zalety towarzyskie, a ponieważ zarazem żywi zbytecznie jej cielesne wdzięki, ciocia szuka namiętnie ruchu i jeździ do Marienbadu, »aby nie ociężać«. Umie jednak nie być śmieszną w gustownie dobranych strojach i usposabiać do siebie przy-

chylnie. Pan Józef lubi, w przypadkach naglących uczuć familijnych, objąć »siostrunię« za kibić mocno pancerną i wrazić serdeczny pocałunek w loczek około uszka. Jako nieodrodną Broniecka, musi pani Rozalia gadać, słuchać, sprawiać bliźnim przyjemność, karmić ich i pić; skoro się tylko zjawia w Warszawie, salon jej przyciąga liczne koła uradowanych gości.

A jednak wiadomości publiczne, głośne i szeptane, niewesołe były w tym roku. Ucisnęły wszystkich, jak więzy, osłabiały, jak choroba. — Tylko dobrze było odpocząć od nich czasami w salonie pani Obichowskiej. Chociaż nie tańczono w nim, lecz ogrzewano się przy jego ciepłe wiejskiem, żywym, zwłaszcza z powodu dwóch panien na wydaniu. Pani Rozalia miała i tę wyższość, oprócz wielu innych, nad pospolitemi matkami, że nie była zazdrosna o Mańkę, bogatszą od jej Zosi i bardziej pociągającą młodzież przez swój spryt przyjazny. Zosia była inna, brunetka, pogardliwa i wybredna, podobna do nieboszczyka ojca, Zbigniewa Obichowskiego, który poczuwał się do arystokracji z powodu starożytnego podania, że Obichowscy herbu Wieniawa byli jedni z królewskim rodem Leszczyńskich, tylko przez cały ciąg naszych dziejów oczekiwali na sposobność odznaczenia się. Więc w salonie pani Rozalii spotkać było można dużo karmazynowej szlachty, nierzadki przeciągał



hrabia, a comesów, których przodkowie za Piastów trzęśli krajem, było co niemiara. Spotykało się tam przecież i ludzi, którzy obecnie znaczą coś w kraju, oprócz cyfry swych fortun.

W początku grudnia Manieczka, przyczyniająca dotąd ciotce tylko zadowoleń i gości, nabawiła ją kłopotów: samowolnie poszła na jakiś odczyt, z którego powróciła zagadkowo podniecona, może nawet zapłakana, w każdym razie tajemnicza. Niepokój ciotki wzmógł się szczególnie od następnego dnia, gdy się wieść rozeszła, że na zebranie młodzieży, która urządziła odczyt bez pozwolenia władzy, wtargnęła policja i aresztowała kilkunastu uczestników, mężczyzn i kobiet. Wprawdzie Manieczka powróciła do domu, ale jej niezwykle usposobienie i parę poprzednich spostrzeżeń obudziły niepokój pani Rozalii. Zatelefonowała do hotelu, gdzie mieszkał pan Józef, lecz dowiedziała się, że właśnie wyjechał gdzieś na wieś. Wogóle coraz rzadziej odwiedzał córkę i stryjeczną siostrę. Trzeba więc było, z obowiązku opiekunki i z ciekawości, rozmówić się gruntownie z Mańką.

Nastąpiła ta rozmowa zaraz po śniadaniu dnia czwartkowego, wyznaczonego na regularne przyjęcia pani Obichowskiej.

— Powiedz mi, Maniuś, otwarcie, jak starszej przyjaciółce, czy nie byłeś czasem na tem

zebraniu, przerwaniem przez policję, o którym wszyscy dziś mówią?

— Byłam, ciociu — odrzekła bez wahania panna.

— Masz tobie! poco?!

Pani Rozalia nie była bynajmniej trwożliwa, przejrzała też prędko w myśli swe wpływy i stosunki, zapewniające, w razie potrzeby, wykreślenie siostrzenicy od odpowiedzialności za czyn nierozważny. Ale ubódł starszą, dobrą krewną brak zaufania, okazany jej przez Mańkę.

— Więc pocóż bez mojej wiedzy, ani ojca? — —

— Bo możeby ciocia nie pozwoliła, a ja musiałam tam być.

— Jakaż to pilna potrzeba?

— Nie można ciągle żyć w salonie; gdzieś indziej są rzeczy bardziej zajmujące.

— Maniuś, Maniuś! Ja nie jestem taka stara, jak ci się zdaje. Wszystko rozumiem, poszłabym może z tobą... ale trzeba przecież choć zapytać ludzi doświadczeńszych i z twojego towarzystwa! Oleś Leśniowski pewno by ci nie pozwolił.

— Ten ananas ma mi co pozwalać?!

Zaczerwieniła się nie ze wstydu, lecz z rozdrażnienia.

— Maniuś! jak ty się wyrażasz? — — mówię, że masz w nim bardzo życzliwego człowieka i młodego — — mógłby ci objaśnić, ja-

ka młodzież tam się zbiera i czy to pannie Bronieckiej wypada.

— Dużo on tam wie! Wie tylko, co robią hrabiowie i że nic nie robią.

— Cóż tam znowu, moje dziecko? — zawołała żywo pani Obichowska — w głowce ci się przewróciło? Mamy przecie, Bronieccy, dużo krewnych hrabiów, są jednej z nami krwi — gorsi nie jesteśmy w żadnym razie od jakichś panów... Czemskich.

Manieczka, ugodzona w punkt wrażliwy serca i sumienia, spojrzała na ciotkę nieprzyjaźnie. I z nadąsaniem odparła:

— Ja jestem z ludu...

— Co takiego?!... Aha, rozumiem: to są idee tego pana, któregoś do mnie wprowadziła. On cię też namówił na ten odczyt?

— Może być — odrzekła krnąbrnie Mańka.

— Ale u mnie działać się to nie może, Manieczko; — odrzekła sucho pani Obichowska — poczekamy na zdanie twego ojca.

Po odejściu ciotki Manieczka obrachowała swe sumienie, mocno jednak obciążone. Jeszcze samo wprowadzenie do ciotki Czemskiego było stosunkowo niewinną intrygą. Panna Broniecka spotkała go na ulicy, idąc z Magdusią do blizkiego sklepu, zaczęła go i w krótkiej, lecz celowej rozmowie ułożyli się z sobą, że Stefan w najbliższy czwartek zjawi się u pani Obichowskiej z jakimiś wiadomościami ze wsi, jako sąsiad Sławoszewa. Był to już po-

niekąd spisek. Czemski przyszedł w ów czwartek, został przedstawiony ciotce Rozalii i przyjęty przez nią uprzejmie, ale zaraz po pierwszej przedłużonej wizycie zbudził nieufność pani domu i jej stałych gości. Odosobnił się w salonie z Manieczką co najmniej na pół godziny, co zwróciło ogólną uwagę, a dotknęło Olesia Leśniowolskiego, który nawet wyraził się, że ten pan z zupełnie innego świata jest niebezpieczny nie sam przez się, lecz z powodu należenia do grupy ludzi, pilnie przez władze obserwowanej. Czemski wrócił jeszcze w następny czwartek, potem się już nie pokazał u pani Obichowskiej. Lecz przez dwa długie popołudnia daleko zaszło porozumienie między nim a panną Broniecką. Stefan, mówiąc długo i sprawnie, jakby przez tydzień przygotowywał się do milej audyencji, zdołał gorąco zająć Mańkę i sobą, i robotami młodzieży, w których brał udział. Tutaj kowano przyszłość demokratyczną, ludową, obrachowaną na wielkie i zbawienne przewroty; promienie tej akcji na wsi są jeszcze słabe i chwiejne — tutaj grzeje i wzmacnia się płomień centralny, dobroczynny w zjednoczonych sercach młodzieży. Z tych rozmów wynikło, że Mańka musi pójść na zebranie młodych, na które też otrzymała od Stefana kartę wstępu i wczoraj — poszła. Ten pierwszy krok czynny zakończył się tragedią faktyczną, a większą jeszcze w wyobraźni dziewczyny. Spotkała tam

Stefana pośród swoich, słyszała jego mowę płomienną, której jeden ustęp zdawał się płynąć z ich wspólnych wspomnień, a zwracać się prosto do niej, do Manieczki.

Mówił:

»Żyje sprawa postępu i gorące ukochanie ludu w wielu umysłach i sercach, które mieliśmy za stracone. W szeregach bogatego ziemianstwa, pośród ludzi znieprawionych przez tradycyę wyzysku pracy włościanina i przez zamrocza klerykalizmu, zdarzają się dusze zdrowe i jasne, niepodęjrzanę o sobkostwo klasowe, pełne szczerości i ofiary. Sam poznałem takie siostry i towarzyszki, bo mówię o kobietach«...

Słuchałyby tak długo jego męskiego głosu, dźwięcznego, jak wiosenne gromy, patrzyłyby w oczy, odbijające daleką, umiłowaną wizyę, a czasem złagodzone dla niej, w nią prosto mówiące. — Poszłyby po tej przemowie z nim, gdziekolwiek on każe, pewna, że nie zawiedzie jej zapalu, ani zaufania. — Wtem — dreszcz elektryczny i mroźny zarazem: dzwonek policyi do prywatnego mieszkania — oniemienie kilkudziesięciu zebranych osób — dobytec przez Stefana z zanadrza jakiegoś zeszytu, przygotowanego na wypadek, i rozpoczęcie czytania zgoła innego przedmiotu — wejście paru urzędników i żandarmów — cisza — groźne zapytania i krótkie odpowiedzi,

dźwięczące jednak podobnie do nabijania broni — strach i gniew — zapisywanie nazwisk.

— Marya Broniecka, córka obywatela — wymieniła pierwszy raz w życiu Manieczka swe nazwisko przed policyą, a uczyniła to tak jasno i twardo, że Stefan, na którego w tej chwili spojrziała, zmarszczył czoło po bohatersku, a oczyma roziskrzonemi powiedział niezawodnie, że ją kocha — —

Rozpłakała się dopiero wtedy, gdy samotna śpieszyła do domu w zakrytej dorożce. I dosięgła w tym dniu świadomości swych przeznaczeń; poczuła w sobie dzielność i postanowienie, a także rozwagę, ona, która dotychczas poddawała się kolebaniu swego pogodnego życia.

Po rozmowie z ciotką zastanowiła się odrazu nad tem, co ma czynić. — Nie trzeba się poróżnić z ciotką, która zresztą jest dla niej bardzo dobra — należy zaś dowiedzieć się dokładnie o losie Stefana, zobaczyć go, a potem?... Nie domawiała dalszych pragnień, choć stały się one naraz głównym bodźcem jej działań, treścią jej życia. Na dzisiaj program jest ten: wejść między ludzi, nie nie dać poznać po sobie i zasięgnąć informacji. Więc z twarzą wesołą, choć przybladłą, ukazała się na przyjęciu w salonie ciotki.

Siedzącym tam już paru paniom Oleś Leśniowski opowiadał plotki klubowe, dotyczące znajomych osób: ten się z tym pognie-

wał; ów dużo wygrał w karty; jakaś pani otrzymała anonim, który ją odstraszył od urzędzenia skatingu na cel dobroczynny i wogóle od spraw krajowych... Te anegdoty wydały się Manieczce wstrętne, ale pomyślała:

— Muszę być dzisiaj uprzejma dla Leśniowolskiego, bo należy do klubu, więc zna z pewnością różne urzędowe figury. Może mi być potrzebny.

Słuchała więc, powstrzymując swe niezależne usposobienie do prawdomówności, a gdy jeszcze przyszło parę osób i konwersacja jeszcze się rozdrobniła, fruując, jak rój much bezmyślny z przedmiotu na przedmiot, Manieczka wdała się w rozmowę z Leśniowolskim, który oddawna już starał się jej podobać. Nie był głupi, tylko inteligencją swą przystosowywał do zbyt pospolitych pragnień: chciał powierzchowną swą dystynkcyą, raczej krawiecką, niż głębszą, zyskiwać sobie uznanie wszystkich naraz: dorożkarzy, kokot, paniczów — słowem, całego narodu, z którym obcował. Przystojny był — przyznawały to niektóre kobiety — gdyby nie te oczy, zbyt piękne, fałszywie szlachetne i pełne zagadkowej wyższości. Manieczka nie cierpiała tych oczu, szczerych tylko w zmysłowej propozycji, obrażających jej dumę dziewczęcą; świadomość, że Leśniowolski jest »dobrą partya«, że stara się o jej rękę, że dużo osób, nawet najbliższych, życzliwie popiera jego zaloty, dra-

żniła ją aż do gniewu. Dlatego tylko nie dała mu dotąd kosza, że przezorny Oleś nie wypowiedział się wyraźnie, darzył ją jakimś sentymentem, niby kuzynowskim (krewny był Obichowskich), i nie śpieszył się z oświadczeniami. Przyszło dzisiaj Mańce do głowy okazać się bardziej łaskawą dla swego konkurenta, na wszelki wypadek.

— ...Więc może się pani da namówić na karuzel w maneżu? — w kostymach *Louis quinze* — poprowadzi nas hrabina Granowska z księciem Dołgorukim — będzie wspaniały!... Jakże, panno Manniu?

Manieczka nie cierpiała też wypieszczonego akcentu Leśniowolskiego. Raz już zwróciła jego uwagę, że imię jej zdrobniałe jest od wyrazu Marya, nie manna. Ale dzisiaj pominęła tę poprawkę i weszła w szczegóły propozycji:

— Czy trzebaby mieć amazonkę z tej epoki, czy zwyczajną, a tylko strój głowy?

— A nie! koniecznie amazonkę stylową! Ja pani dostarczę modeli rozmaitych — mam taką książkę francuską: *Les sports à travers les âges*.

— Dobrze... Któż tam będzie jeździł? Znam panią Granowską, ale tego księcia — nie.

— Przedstawię go pani — — Zresztą niekoniecznie trzeba znać wszystkich, tylko swoją parę — — Jeżeli pani pozwoliłaby służyć sobie za rycerza... albo nawet za pachołka?...

— Naturalnie; gdybym jeździła, to tylko z panem.

Oleś skłonił się, mocno zadowolony, bo nie przywykł do nadmiernej uprzejmości panny Bronieckiej, i sądząc, że już posiadał obietnicę udziału w karuzelu, który mógł być stanowczy w jego życiu, mówił z ożywieniem:

— W takim razie, możeby pani była już tak łaskawa wybrać kostyum i dla mnie, dostosowany do pani stroju?

— Niech pan najprzód pokaże tę książkę — — Nie wiem, jakby wyglądała w takich fiokach — nie jestem ani trochę *Louis quinze*...

— Owszem! widzę panią doskonale — — jako pasterkę. A ja się znam na tem, śmiem powiedzieć.

— Na czem się pan zna?

— Na tem, jak może wyglądać piękna kobieta... przestawiona w inne warunki. Pani jeździ dobrze konno? prawda?

— Jeżdżę tam... naturalnie, że jeżdżę. Najlepiej lubię po męsku.

— *Très moderne!* ale w tej kombinacji niemożliwe. Pani może cudownie wyzyskać swój typ piękności w przebraniu. Popracujemy nad tem, — czy zgoda, panno Manniu?

— Ja wiem, jakbym się przebrała! — rzekła Manieczka, zapominając o dyplomacji, pociągnięta nagle przez samą treść zabawy — za Łowiczankę!

— Za Łowiczankę? chłopkę? — — Wie pani, że mogłoby to być bardzo oryginalne — i kolorowe i odbijające od całego kadrylu — odpowiedział Leśniowski, byle się godzić.

Ale wejście do pokoju nowego gościa przerwało te układy i inne rozmowy, gdyż gość był dość rzadki, człowiek bardzo zajęty i ogólnie znany, jeden z prezesów instytucji ziemiańskiej. Przyszedł głównie w celu otrzymania adresu Józefa Bronieckiego, bo nie mógł go od paru dni zastać w hotelu. Choć człowiek w sile wieku, uprzejmy, prezes wnosił zawsze z sobą niby memento spraw publicznych do zebrań towarzyskich. Przywykł już do tego, więc nie zdziwił się i tutaj, że po paru minutach wstępnej, rozstrzelonej rozmowy, zapytała go jedna z pań:

— Słyszał zapewne pan prezes o nowych aresztowaniach w mieście?

— Czytałem rano w dzienniku — odpowiedział prezes dość niechętnie.

I pani Obichowska starała się ominąć ten przedmiot, proponując gościowi różne ciastka do herbaty. Ale przedmiot był, widać, nieunikniony, bo zaraz odezwał się Leśniowski:

— Mieliśmy i w klubie o tem wiadomość; porobiono dużo rewizyi; między aresztowanymi jest i jakiś Czemski.

— Czemski?! — zawołała jedna z pań — ten może, któregośmy poznali tutaj w zaprzęszly czwartek?

— Zdaje się, że ten sam — tłumaczyła pani Obichowska — to sąsiad od Sławoszewa Bronieckich, więc go raz, czy dwa przyjechałam — — znam go mało.

— Ależ to bardzo interesujący młody człowiek! — wołała poprzednia pani. — Czy pan prezes go zna?

— Trochę. Jeżeli zabrnął głęboko, to szkoda go, bo tegi młodzieniec i wykształcony, tylko jeszcze niewytrawny. Nieszczęście, to ten brak normalnego porozumienia między dzielnymi ludźmi. — —

I rozmowa przeszła na wymianę ogólników, mniej lub więcej trafnych, o życiu publicznym u nas.

Na Manieczkę uderzyły żary. Jednychby zgromiła głośno za niechętnie wzmianki o Stefanie, a na przykład prezesa uciskałaby za życzliwość dla »tego młodzieńca«. Ale musiała milczeć, bo była sama skompromitowana, i to »politycznie«! Na szczęście, nikt o tem nie zdawał się wiedzieć, oprócz cioci Rozalii. Ale on, Stefan, jeżeli »zabrnął głęboko«, może siedzi w okropnym, podziemnym więzieniu?! Może będzie badany okrutnie, sądzony na pozbawienie wszystkich praw?!... Dreszcz chwycił dziewczynę, ale nie dreszcz lęku, lecz siły i odwagi. Trzeba koniecznie mu pomódz, wydobyć go z więzienia! —

Szukała między obecnymi sprzymierzeńców. Ten Leśniowski zna tyłu potentatów... Ej

nie — Leśniowski zrobiłby coś dla niej, ale nie dla Czemskiego; gotówby jeszcze zdradzić — takie ma oczy... Ta pani, która jakąś tam głupią sympatyę okazała dla Stefana? — — Cóż ona może? baba! — — Ale właśnie ten miły, dobry prezes! — o! —

Odrązu powzięła zamiar prosty i serdeczny: czyhała na wyjście prezesa, który wkrótce powstał rzeczywiście i pożegnał się. Pani Obichowska odprowadziła go do progu, Zosia także, a Manieczka, jako panna domowa, pospieszyła też z odprowadzeniem i nikt bardzo nie zadziwił się, że poszła za odchodzącym aż do przedpokoju. Mrugnęła na Zosię, aby wróciła do salonu, i sama przystąpiła do prezesa:

— Pan szukał mojego ojca? — — Jak tylko powróci ze wsi, powiem mu... to pewno z powodu odczytu o hodowli i o sztucznych nawozach?

— Tak jest. Nie wiedziałem, że mamy w pani tak uprzejmą i fachową sojuszniczkę!

Spojrzał wesoło na panienkę, która garnęła się do niego ze ślicznym zaufaniem.

— Ale ja także chciałam pana prezesa zapytać... jakby można pomódz panu Stefanowi Czemskiemu, który tam... siedzi — —

Prezes spojrzał uważniej w oczy dziewczęcia:

— Nie jest to łatwe, proszę pani, ale... Czy pani zna dobrze Czemskiego?

— Jakże? sąsiad ze wsi!

— Zamieształ się do robót, niezupełnie trafnych.

— Jednak tegi człowiek — sam pan mówi?

— I nie cofam tego. Teraz, gdy wpadł w nieszczęście, godzin jest, oczywiście, współczucia i pomocy.

— On chce tylko dobra ludu. On jeszcze z nami będzie pracował — zobaczy pan.

— Jeżeli pani go nawróci — bardzo wierzę. No... ja mogę spróbować... nie jestem wprawdzie w dobrych stosunkach z ludźmi, od których to zależy — ale znam takich, którzy tamtych znają.

— Panie prezesiel — —

Manieczka złożyła ręce błagalnie z tak gorącym zaufaniem do człowieka, którego zaledwie znała, tak jasno, i kobieco, i dziecinnie patrzyła iskrzącymi oczyma, a świeżymi ustami rzeźbiła serdeczne słowa, że prezes rozrzewnił się i pocałował dziecko w rękę.

— Spróbuję napewno; w każdym razie, dowiemy się dokładnie o sprawie. Niech pani nie miesza tu swego nazwiska... to trzeba robić ostrożnie. Mnie pani powiedziała — dobrze; innym nie warto tymczasem. A z naszej rozmowy nabrałem przekonania o Czemskim, że to porządny człowiek. Do widzenia — dam pani znać.

Powróciła Mańka do salonu, promienna od rozbudzonej nadziei. Spojrzał Leśniowski na pannę i nic nie zgadł; nie mógł jej przecie po-

sądzać o zalotne konszachty z prezesem; ale zauważył napewno, że jest ładniejsza jeszcze, niż zwykle, — nie tylko posażna jedynaczka, lecz kobieta, pełna zdrowej i pociągającej siły, z którą wartoby się sprzymierzyć. Wydało mu się, że dzisiaj należy wyjaśnić, czy może liczyć na wzajemność Manieczki. Zaledwie powróciła do salonu i usiadła zamyślona, słuchając tylko pozornie rozmów, przysiadł się do niej ze swobodą większą, niż wprzód.

— Więc jakże, panno Maniusiu? Mam się ubrać za markiza, czy za chłopca?

— Dlaczego ma się pan przebierać? — zapytała Manieczka, jak zbudzona ze snu.

— No... na ten kadryl w maneżu.

— Ach! niechże pan da spokój! Tutaj mówiono o najważniejszych sprawach, a pan znowu z tym głupim kadrylem! Wstyd doprawdy!

— No, dobrze... — wahał się oszołomiony Oleś — ale cóż kadryl przeszkadza? — i jakim sprawom?

— Nie słyszał pan, co mówiono o aresztowaniach najlepszej młodzieży?

— Najlepszej? nie wiem. Przyznaję, że to niewesołe — ale tymczasem można przecie konno jeździć; to zabawa rycerska.

— Można, można — odrzekła Manieczka niecierpliwie — tylko ja nie pojadę.

— To i ja nie! — ja tylko chciałem w to się wdać z panią i dla pani.

Ten zwrot mowy energiczny i szczery nie

rozzewnił Manieczki, ale ją rozbroił. Spojrzała zadziwiona na Leśniowolskiego, który mówił dalej z przekonaniem, a nawet mniej pretensjonalnym, niż zwykle, akcentem:

— Myli się pani, jeżeli myśli, że ja jestem tylko światowcem i niczem więcej. Żyję w towarzystwie, w którym się urodziłem, biorę udział w jego zajęciach i zabawach; ale nie wystarczają mi; sam czuję pustkę tego życia.

— Więc dlaczego pan nie robi czegoś na prawdę? Dlaczego nie siedzi, na przykład, na wsi?

— Owszem, bywam i w swoim majątku. A że tam nie pracuję, jakbym mógł? — No, to dlatego, że nie jestem doskonały. Jeżdżę, rozglądam się po świecie, szukam ludzi i poznaję ich zajęcia. — — Gdybym na wsi miał dla kogo pracować, dla jakiejś wspólnej przyszłości... Zresztą nie mam jeszcze lat trzydziestu.

Jakoś ten Oleś wydał się Manieczce w tej chwili mniej wstrętnym. Słuchała dość ciekawie jego wynurzeń, mniej wspaniałych, niż zwykle, zato szerszych. A on wróżył sobie coraz lepiej z jej zaciekawienia.

— Gdyby pani chciała trochę przyjaźniej mnie traktować, lepiej poznalibyśmy się. Ale pani traktuje mnie, jak zbrodniarza.

— Co znowu?! gdzież tam!

— No, to przynajmniej, jak jakieś podejrzanе indywiduum, zepsute przez życie miej-

skie, obce... A my przecież jesteśmy trochę krewni... Powinnaby mi pani mówić: »Olesiu«. —

— To znowu nie wiem, dlaczego — —

— Więc inaczej, ale w ten sens: to mi się w panu nie podoba, a tamto podoba. Przyjąłbym od pani z radością każdą nagane, gdybym tylko wiedział, że panią choć trochę obchodzi...

Manieczka milczała.

— A znowu gdyby pani przywiązywała choć trochę znaczenia do mego zdania, czy jabym doradzał same kadryle, spacer, wizyty? Z pewnością — że nie. Mówiłbym z panią o wszystkim szczerze: o ludziach, o kraju, o polityce — — mówiłbym nietylko, jak z cudowną kobietą...

— O nie! proszę już tylko nie o mojej cudowności, bo nie wierzę. Mogę być dla kogoś... przyjemna, ale potrafię być i nieznośna.

— To właśnie pytanie ogromnie ważne — *une question palpitante* — jaka pani chce być dla mnie?

Manieczka pomyślała przydług, sumiennie:

— Dla pana chcę być... uprzejma. Ale pan jest zupełnie inny, niż ja — pewnie wyższy — —

— Chciała pani powiedzieć: daleki?

— Daleki — powtórzyła Manieczka i utkwiała spojrzenie w swe ręce złożone i kurczące się od nerwowego napięcia.

Urwało się, jakby wąła nić, którą bawili się oboje, pękła. I wtedy właśnie zwrócono



uwagę z paru stron na Leśniowolskiego i Manieczkę, zanotowano ich miny niepowszednie.

Po wyjściu gości pani Obichowska wzięła żywo na bok siostrzenicę.

— Przyznaj się, Maniūs: odpaliłaś Leśniowolskiego?

— Nie, ciociu; nie było mowy o takich rzeczach.

— Aleś go zniechęciła... no, do projektu?

— Staralam się go zniechęcić.

— Wiesz co, Maniūs? Bardzo cię kocham, ale od paru dni robisz mi same głupstwa! A tu jeszcze twego ojca, jak niema, tak niema!

### XIII.

Fatalnym szkopułem dla cnoty Bronieckiego była mnogość jego przyjaciół. Gdy przyjeżdżał do Warszawy, do hotelu, w którym zwykł był stawać od ćwierci wieku, napełniał cały hotel zgiełkiem swych spraw rozlicznych. Krzyżowali się posłańcy od i do jaśnie pana, telefony napełniały powietrze dreszczem prawie nieustannym. Były w tem i sprawy ważne: rolnicze, kredytowe i parlamentarne, ale dużo też spraw wesołych, lekkich, był i nadmiar polskiego gadania. Czasami górował nad wrzawą donośny głos pana Józefa:

— Antoś! wypucować mi buty, ubranie — i kawy białej — duchem! No, ruszaj-że się, Antoś!

Służący, z pozoru weteran wojsk polskich, chyba dlatego tak pieśczośliwie nazywany, że zaczynał dzieciennieć, łyżwował wtedy jak najśpieszniej do pokoju gromkiego pana dziedzica i, zabierając manatki, zdawał jednocześnie raport z wypadków, które zaszły przed połu-

dniem, podczas gdy Broniecki spał jeszcze, bo o ile na wsi był rannym ptakiem, o tyle w Warszawie — nocnym.

— Odnieśli tryb do maszyny — ciężki jucha! postawiłem w łazience.

— Dałeś co posłańcowi na piwo, Antoni?

— Z czego tu dać? Grosza na tabakę niema w kieszeni.

— Mówiłem ci, arcybyku: gdy potrzeba co zapłacić dla mnie, rznij do pana Klonowicza, administratora, który komenderuje moją flotą.

— Będę wiedział. — A jeszcze telefonowała tam jakaś... zdaje się, że Janka.

— Która Janka?

— Zdaje się, że ta kulawa — —

— To mnie nie znasz! Kulawych tam żadnych nie przyjmuję. Bucik jej dolegał, jak tu była. — Czegoż chciała?

— Ha, pewnie tego, co i zawsze — — Powiedziałem jej, żeby zadzwoniła później, bo pan wyszedł.

— Nie powiedziałaś, że śpię? Brawo, Antoś! Widać, żeś służył w dobrym pułku. No, teraz kawunia —

— W mig będzie.

Podczas gdy pan Józef golił się i ubierał, przychodził do niego pan Klonowicz, minister finansów, szlachcic starożytny, brodaty, z pozoru okrutny, tylko gdy się rozweselili, śmiał się do łez, jak człowiek pogodnego sumienia. Był to przyjaciel wtajemniczony w sprawy

i sprawki Bronieckiego, niby zrzęda i moralista, lecz w gruncie bardzo czuły i pobłażliwy powiernik.

— Stary Klon wygląda mi dzisiaj coś niebardzo — — witał go pan Józef — musiał wieczorkiem bawić się czemś niezdrowem?

— Gdzie mnie tam! — opędział się Klonowicz ręką od podejrzeń. — Po sobie pan sądzisz.

— Cóż? patrzę na księżą oborę? — pytał Broniecki, przeglądając w lustrze swą twarz od brzytwy lakierowaną, wąs do góry i oczy pijane życiem już od rana.

— Ogniotrwałe zdrowie! — mruzczał Klonowicz, niby oburzony. — Miesiąc z górą takiego życia, a innego pochowałiby już — słowo daję! Ale Kasia chora — —

— Kasia?

— Ta żelazna, z czterema zamkami. Złożyłeś mi pan w końcu października trzy tysiące w depozyt — wczoraj frunęła ostatnia setka. —

— O psia! — Ale nie bój się, Klonosiu. Nadpłynęła flotylla za jęczmień. O, patrz tu — —

Dobyl z pod poduszki grubą kopertę i rzucił na stół. Klonowicz wziął do rąk i zaczął liczyć banknoty.

— Po czemuż pan sprzedajesz?

— Po ośm rubli korzec, ale tylko połowę. Na wiosnę będzie droższy.

— Bój się pan Boga! podwójna cena w porównaniu z targową!

— Bo jęczmyk »prima Sławoszewo«; rozchwytają te ziarenka na siew.

Klonowicz osłupiał, wiedząc, że Broniecki lubi wywoływać osłupienie przez słowa swe i czyny.

— Zaraz tu przyjdzie parę osób — zaczął pan Józef z innej beczki — zjedz z nami śniadanie, stary.

— Padam do nóg, uciekam! — zerwał się Klonowicz z miejsca, zagarniając wszystkie pieńki za jęczmień.

— Hola, hola, jegomość! schowaj mi pan tyśiące, ale zostaw te drobne.

— Ładne mi drobne! — burczał Klonowicz, oddając kilkaset rubli.

Przychodzili do pana Józefa, gdy się zagnieździł w swoim hotelu, przyjaciele bardzo liczni i bardzo odmiennych gatunków: poważni rolnicy i hreczkosieje ogólno-szlacheckiego typu; mózgowcy i ludzie bezmyślnie weseli; hrabiowie i chłopci. Tylko kobiety, gdy się czasem zamieszały do towarzystwa, były wszystkie jednego gatunku. Córce zakazał wyraźnie pan Józef odwiedzania go w hotelu. — Czasem ci goście, gdy się spotkali znienacka, spoglądali na siebie wzajemnie z nieufnością; jeden dziwił się, że Broniecki toleruje takich lekkoduchów, drugi nie mógł zrozumieć, dlaczego »Żozio« zaprasza takich nudziarzy. Ale niewyczerpana

werwa gospodarza wyrównywała te wszystkie różnice stanów i usposobień. Był to rodzaj demokratyzacyi za pomocą butelki.

Bo łącznik, nazywany przez uprzejmego gospodarza szkielkiem, flakonikiem i mnóstwem jeszcze piśszczotliwych przezwisk, spajał i dopasowywał różne humory gości, zatrzymanych, czasem przemocą, na śniadanie w numerze. Pił, kto co chciał: gobę, czerwienca, renia, szampidruta czyli białego. Tradycyjny węgrzyn zjawiał się już rzadziej na stole.

Ktoby nie znał Bronieckiego ze wsi, gdzie wstawał ze słońcem, dozorował bacznie, liczył dobrze i przezornie, pomyślałby, widząc go podejmującego w hotelu gości, że polsko-saski Bachus jeszcze żyje między nami.

Tym razem zasiedział się Broniecki w Warszawie: szósty już tydzień rezydował w niej bez przerwy dla dwóch pozorów: wprowadzania córki w »świat« i odczytu w towarzystwie rolniczem. Ale córkę widywał tylko u pani Obichowskiej, coraz rzadziej, a odczytu dotąd nie przygotował należycie; upominano się z towarzystwa natarczywie o termin. Pan Józef obiecywał sobie opracować przygotowany materiały w trzeźwym świetle którego poranku, tylko tych poranków jak gdyby nie było wcale w mętnych dniach zimowych, zajętych całkowicie przez przyjaciół. Można wprawdzie pracować i przy lampie, ale znowu, gdy zabłyśły światła, narzucała się nieprzepracie konieczność

biesiady obiadowej, teatru, teatrzyku, aż do godzin bardzo późnych, zawsze w towarzystwie jakichś przyjaciół. Radośnie wchodził »Żozio« na czele ich szwadronu, naprzykład do restauracji. Zapalały się wszystkie lampy i serca, a usłużne »byki« związały się ochoczo, pewne sutego napiwku i przyjaznego traktowania. Tylko czasem z kąta sali jaki znajomy statysta zezował z przekąsem ku bachicznej kompanii i mrucał:

— Ależ ten Broniecki przepije Sławoszewo!

Mylił się statysta, bo pan Józio szumił jako »Żozio«, dopóki starczyło nabranego fermentu, nie zaciągał długów i powracał znowu do usilnej roboty na roli. Trwało to już ćwierć wieku niechybnym systemem. I nawet — o dziwo! — było z tem Bronieckiemu nieźle do twarzy, choć coraz bardziej zaokrąglął się w pasie, czerwieniał na nosie i siwiał na skroniach. Niweczył poglądomo nowożytnie teorye o higienie w wieku dojrzałym. Niejeden jego rówieśnik chwiał się w przekonaniu do swych leków i kuracji, patrząc na pana Józefa, dającego żywy przykład tryumfującej niewstrzeżności:

— Choroba takiego nie zmoże — mrucał z podziwem i zazdrością.

Jednak w tym roku krytykowano szumne życie Bronieckiego z innego stanowiska: w kraju było zbyt smutno i groźnie, aby dojrzały obywatel mógł się tak weselić — —

Z Petersburga ziało ku nam nienawiścią czynną, zgubną dla wszystkich dobrych poczynań; zaprowadzono u nas »porządki«, jakby umyślnie obliczone na przyśpieszenie skrajnego zamętu; postęp narodowy znieprawiały zdradzieckie działania Żydów, zalewających coraz nowe obszary ziemi i myśli polskiej; młodzież, w istocie dość obojętna na roboty ogólne, ogłaszała swe buńczuczne zakazy i programy niezwyłe — — Klóciła się załoga nawy publicznej między sobą, zamiast walczyć zgodnie z nauką, wszystkim grożąca — —

Widział to wszystko Broniecki, ale tak niecierpiał stanu przygnębienia, że, spełniwszy na wsi swe obowiązki, hulał w mieście dla pokrzepienia ducha. To dążenie do równowagi nie obchodziło się bez pewnych odchyień na stronę wybujałej zabawy.

Zdarzyła się taka okazyja w dniu imienin Ambrożego Dowbutta, 7 grudnia. Był to Litwin, osiedlony zdawna w Królestwie, w willi, którą nabył niedaleko od Warszawy, kawaler wesoly, broniący się od starości ciąglą wprawą w młode zabawy, więc oczywiście i przyjaciół pana Józefa. Nazywali się »Brozio i Żozio«, a gdy się zetknęli, tryskały iskry dowcipu, strugi szampana i nawet awantury. Raz się nawet strzelali, choć bez krwi rozlewu, o jakąś damę, która już dawno poszła za kimś trzecim, — i pozostali następnie w tem ściślejszej ze sobą komitywie. — Pan Dowbutt, postawy

i fantazyi rycerskiej, służył niegdyś w pułku ułanów i dotąd czuł słabość do barwnego munduru, przypominającego mu, jak twierdził, polskie czasy, ale bardziej minioną młodość, mniej polską, niż buńczuczną. Uczta w willi Dowbutta nie mogła się też obejść bez udziału młodych oficerów, nadzwyczaj dobrze wychowanych i usposobionych dla Polski, póki się nie urznęli ostatecznie, lub nie dosięgli wyższego urzędowania.

Co się działo tego roku na imieninach u Dowbutta — niebardzo wiadomo, gdyż pan Józef nie opowiadał o tem wcale. Wiedziano tylko w hotelu, że Broniecki wyjechał samochodem w okolice Warszawy i miał powrócić nazajutrz, lecz nie wrócił. Dopiero czwartego dnia o dziewiątej rano ukazały się na ulicy cztery imponujące samochody.

Pierwszy prowadził osobiście pan Józef, ubrany w wilczurę włosom na wierzch, w czapce z okularami, może nie bez celu tak ukryty pod przebraniem. Obok siedział Dowbutt w czapce mundurowej, którą »miał prawo nosić«, w głębi dwóch cywilnych, jeden ułan i postać, okutana w aksamity, mieszająca do swędu benzynowego mocny ciąg perfum kobiecych.

W następnych samochodach jechali sami wojskowi z paru jeszcze paniami, w ostatnim trębaczce pułkowi, bez dźwięku trąb, dla przyzwoitości.

Pędził ten pociąg czterowagonowy szybko,

roztrącając sygnałami dorożki i przechodniów, jakby czereda uprowadzała porwane panny przed spodziewanym pościgiem. Poranek był jasny i mroźny, dużo ludzi na ulicach. Przechodnie, czy nędznie, czy dobrze ubrani, ścigali samochody oczyma niechętnymi. —

Chociaż z postaci pana Józefa widać było tylko rubin nosa, wąsy i energiczną szczękę, kilku panów, porządnie ubranych, zatrzymało się na chodniku, przyglądając się pilnie dowódcy niezwykłego korowodu. I Broniecki zwrócił twarz w przelocie na tę grupę.

— O psia! — zawołał, wtulając szyję w wilczurę,

— Cóż to, Żoziu? — zagadnął Dowbutt — paluszek tobie zabolął w nożce — a?

— Nic... nic — odburknął pan Józef, zapominając ciętego języka.

Poznał na chodniku Godziembę, Młockiego i paru innych, dążących in gremio, prawdopodobnie na posiedzenie. Czyżby i oni go poznali? — — I trzebaż było właśnie tych spotkać! — —

Stanąwszy przed swoim hotelem, Broniecki oddał kierownik Dowbuttowi i prawie bez pożegnania towarzystwa wpadł do swego numeru.

Kilka listów leżało na stole, z których jeden od pani Obichowskiej samym adresem ukłął nieprzyjemnie pana Józefa: »siostrunia« nie pisała nigdy do niego z ulicy na ulicę

Warszawy — mieli przecie telefony — więc musiała go szukać już dawno, skoro... Naturalnie! jakaś komplikacya z Manieczką — i to niepokojąca, sądząc po treści pisma — — Drugi list był od prezesa towarzystwa rolniczego, który oświadczał, że ostatni termin możliwy na odczyt Bronieckiego upływa 10 grudnia. — Kiedyż to? — dzisiaj właśnie!

Bez czapki tylko, lecz jeszcze przybrany w swą włochatą wilczurę, siedział pan Józef przez chwilę nad otwartymi listami, z miną wilka, pokutującego po obżarciu się. Sapał ciężko i prychał, jakby z obrzydzenia do siebie samego. Zerwał się nareszcie do dzwonka i zadzwonił tak energicznie, że numerowy zjawił się natychmiast.

— Antoś, wannę galopem!

— O, mój Boże! — dziwował się Antoni — jak też jaśnie pan wygląda w tych kudłach!

— Nie ze mnie wyrosły — nie masz się czego rozdziawiać — pomóż mi to ściągnąć — i zaraz kąpiel!

— W wannie dla panów siedzi numer szósty.

— To go wylej! — No, Antoś, galopa z lewej!

Gdy wkrótce łazienka została uporządkowana dla Bronieckiego, zamknął się w niej i długo zmywał z siebie podróżne kurze i grzechy. Ubrał się zaraz potem i wyszedł na miasto, dziwiąc się względnej świeżości powietrza

porannego, której nie zaznał prawie przez cały ostatni pobyt w Warszawie.

Niespokojny i skruszony, zadzwonił do mieszkania pani Obichowskiej — wszyscy byli w domu. Nasamprzód chciał się rozmówić z panią Rozalią, i ona także miała ten zamiar, więc się odosobnili w małym saloniku.

— Gdzież to byłeś tak długo, Józiu?

— Ach!... proszono mnie gdzieś o założenie płodozmianu... wszystko jedno. Ale co tam z Mańką?

— Cała awantura — —

Pani Obichowska opowiedziała o tajemniczej wyprawie Manieczki na zebranie młodzieży, zakończone wtargnięciem policyi. Pan Józef wysłuchał ze spokojem, właściwym ludziom odważnym, pozbył się tylko swej żartobliwej fantazyi i chciał się dowiedzieć dokładnie, jak dalece sprawa dotyczy jego córki.

— Po powrocie Mańki nie było u was nikogo z policyi? Nie zapytywano o nic?

— Dotychczas nie.

— Ale wymieniła swe nazwisko tam, na zebraniu?

— Nie przyszło mi do głowy zapytać ją o to. Wogóle jest tajemniczą ze mną od tego czasu. Wszystkiego tu nabroił ów Czemski, wasz przyjaciel.

— Hm — — —

— A jeszcze muszę ci powiedzieć, Józiu: zdaje się, że Manieczka dała kosza Leśniowol-

skiemu, bo wyszedł z mego czwartku, jak zmyty.

Broniecki nabierał tych powiadomień w zmarszczki twarzy, coraz wyrazistsze i groźniejsze. Rzekł wreszcie:

— Teraz bądź łaskawa przysłać mi Maniusię.

— Zaraz. Tylko jej nie łaj zanadto — —

— To mnie nie znasz, Rozalko! Ja sam się boję.

Rzeczywiście, pan Józef doskonale stawiający czoło niebezpieczeństwu zewnętrznemu, bał się córki, to jest nie wiedział obecnie, jak się ma zachować wobec jej postępów samodzielnych, wymagających aprobacji lub potępienia? — Ojcowskie jego serce dyktowało mu jednak pobłażliwość; we wszystkim, czego się dowiedział, nie znajdował marnych pobudek, owszem, widział może śmiałość, lecz szlachetne instynkty Manieczki. Ale znowu niepodobna było pochwalić takiej samowoli, takiego rządzenia się, jak szara gąska.

Przyszła do niego poważna, bledsza, niby dojrzalsza, niż tydzień temu. Pochylając się jej główkę ojciec uściskał i ucałował we włosy. Sędzia i podsądna spojrzeli sobie w oczy z oczekiwaniem, on — bunt, ona — gniewu; ale dojrawszy tylko wzajemną chęć uniknięcia urazy, uśmiechnęli się do siebie miłośnie.

— Wiem już od ciotki wszystko, co zmalałaś, Maniu. Nie miałaś złych zamiarów,

jestem pewien, tylko główka — no! Powiedz mi teraz ty sama, dlaczego posłałaś na to zebranie, kto ci to pozwolił... Widzisz: nie gniewam się, a wierzysz chyba, że cię zrozumie, bom ćwik i jesteś mi najmilszą na świecie osobą.

Manieczka położyła znowu główkę na ramieniu ojca, a on ją przytulił do twarzy.

— No, powiedz, córuś — — pan Stefan tak pięknie gadał?..

— Na zebraniu? — już tatuś słyszał o tem?

— Nie; wiem tylko, że w ciupie siedzi. Pytam, czy cię namawiał, abys poszła?

— Ja go prosiłam o kartę wstępu. On przecie sam bardziej się jeszcze narażał..

— A nie broń-że tego kawalera przede mną! Jakby kacuszka chciała skrzydełkami zasłonić konia — — ja go nie powieszę.

— Tatuś taki kochany, że go nawet wydobędzie z więzienia! I prezes obiecał mi starać się o to.

— Prosiłaś prezesa o uwolnienie Czemskiego?!

— Prosiłam.

— A tam, w tej ptaszkarni, nakrytej przez policję, powiedziałaś swoje nazwisko?

— Kiedy mnie zapytali, powiedziałam. Jakże miałam zrobić? powiedzieć inne?

— I odpaliłaś Leśniowskiego?

— Nie, ale zrozumiał, że nie warto o mnie się starać — —

Pan Józef zachmurzył się na dobre:

— Hm, hm... Toś ładnego piwa nawarzyła, Maniuś: powiedzą, żeś... zaręczona z Czemskim.

— Czy to tak straszne, tatusiu?

— Jakto?! — wybuchnął Broniecki — bez poradzenia się ze mną, bez mojej zgody zaręczyłabyś się z tym wartogłowem?! Tegom się po tobie nie spodziewał!

— Nie jestem zaręczona — odrzekła smutno Mańka.

— Mam nadzieję! Ale dosyć i tego, żeś obniosła po świecie nasze nazwisko, połączone z tym jegomością. Nie wiesz nawet, kto on taki, skąd się przydryndał w okolice Sławoszewa...

— To bardzo porządny człowiek — zaryzykowała Mańka.

— Porządny! — sapał pan Józef, chodząc po pokoju — to nie dosyć, że nikogo nie zabił, ani okradł! — — Przewrócona głowa, nie szlachcic... Zresztą, co ty wiesz o nim, dziecko? Kocha się na prawo i na lewo...

— Jakto?! — zawołała Mańka, blednąc.

— A tak sobie — — Ma na wsi jakąś... narzeczoną, chłopkę, a po świecie ogląda się za każdą ładną kobietą. Spotykam go w Kownatach, pokazuję mu koronkową robotę szlachecką — kręci mi nosem przez cały czas i zadurza się wreszcie w gospodyni domu! Chłopoman po wierzchu, a w gruncie rzeczy

fireyk. Ulokowałaś też rarytnie swoje sympaty. Maniuś, proszę, proszę — —

Fulminowałyby dalej, gdyby nie spostrzegł, że wielkie łyzy, szybkie, jak deszcz wiosenny, spływały po twarzy Mańki.

— No, no, córuś! Nie jestem ludożercą. Wiesz, że dla ciebie żyję, dla ciebie pracuję; wiesz, że pragnę ci dogodzić we wszystkim — chyba żebyś chciała kapitalnego głupstwa — — No, czy wierzysz, że ci nikt serdeczniej nie życzy?

— Wierzę, ojczec.

— »Ojczec?« — możesz mnie i tak nazywać; nie jestem ci wujem. Musisz mi obiecać jedno, moja pani córko; że bez mojej wiedzy nie pryśniesz na żadne zebranie, nie będziesz się zmawiała i odmawiała. Masz przecie ojca, który i zrozumie, i poradzi.

— Jabym o wszystkim się radziła, jak zawsze, ale odkąd-że tatusia nie widziałam? —

Broniecki chrząknął, pono się i zaczerwienił. Niewiadomo, kto bardziej nabroił w ostatnich dniach: on, czy córka?

— Tak się złożyło — rzekł — od dzisiaj będzie inaczej.

— Codzień rano przyjdę do tatusia — dobrze?

— Nie. Ja tu będę bywał codzień. Najprzód dowiem się o Czemskim.

— O tak, tatusiu!



— Postaramy się wydobyć pana Stefana z loszku, a w światełku zobaczymy, jak wygląda. Że ma ładne oczy i wąsy — to nie dosyć. Pięknie gada, kocha ludek — to także dopiero jest w gębie. Ale skąd się wziął, co robił, z kim się trzyma? — to bystrem oczkiem przejrzymy. Weźmiemy go pod nadzór *naszej* policji.

— Więc tatuś się dowie i o tych jego zaręczynach?

— To furda, moje dziecko. Takie zaręczyny łatwo się zrywa.

— Bo z chłopką? — — jakto?

— Bo... różne są na świecie zaręczyny. Wszystko ci powiem wkrótce, gdy będę wiedział dokumentnie.

Manieczka, jeszcze nieuspokojona, nowe postawiła pytanie:

— A pani Godziembina ładna?

— Masz tobie! — Dosyć ładna, ale matka trojga dzieci i najzaciejsza niewiasta! Ja przecie nie o niej cośkolwiek — tylko o tym twoim pomyłonym ideale!

Manieczka odęła usta i spojrzała na ojca z wymówką, a pan Józef rzekł serdecznie i poważnie:

— Dowiemy się najprzód wszystkiego, co wiedzieć potrzeba o panu Stefanie. A wiesz, Maniuś, że — co w twojem sercu, to i w mojem — —

Wyszedł szybko, rozrzuwiony i pełen energii, niepomny już hulanki, jak niegdyś jego imiennik, ksiązę Józef Poniatowski, który zrywał się od uczty, aby śpieszyć na zagrożony posterunek.

#### XIV.

Nazajutrz był już Józef Broniecki znowu poza Warszawą, w Lublinie, ale tym razem podał swój dokładny adres pani Obichowskiej i prosił, aby w razie najłżejszej komplikacji w sprawach rodzinnych zawiadomiła go przez depezę. I nie pojechał na bylejaką lekkomyślną wyprawę, działał, owszem, pod wpływem serdecznego wzruszenia, które wywoływało w nim sprawną i przemyślną energię. Dowiedział się, że Stefan Czemski pochodzi z Lublina, gdzie mieszka też jego ojciec, doktor medycyny, i podążył odrazu do ośrodka powiadomień o człowieku, który już pewną rolę odegrał w życiu Manieczki.

Stał po południu w hotelu »Wiktorya«, który pamiętał z wystaw rolniczych i innych odwiedzin bogatej małopolskiej dzielnicy. Broniecki znał zresztą cały kraj i wszędzie w nim był u siebie; miał i tutaj szeregi przyjaciół na wszystkich piętrach społecznych, od braci szlachty aż do służby hotelowej. Dowiedział

się łatwo, gdzie mieszka doktor Tomasz Czemski i, ogarnawszy się trochę po podróży, poszedł do doktora.

Dzień grudniowy był pogodny, polyskiwał prawie wiosennie na pstrokatych murach, na wielce nierównych dachach, krenelach i wieżach wzgórzystego miasta. Na bruku i chodnikach głównej ulicy, Krakowskiego Przedmieścia, leżało lepkie, czekoladowe błoto, naniezione setnemi kołami wozów i bryczek, przybywających z żyznych okolic podmiejskich. I przed oczyma Bronieckiego harcowały dwukonne, puste doróżki, wiejskiem zacięciem nieco odmienne od warszawskich; wlokły się chłopskie wozy, naładowane worami zboża, paradowały dworskie karykle przeróżnych kształtów. W jednym powozie, sypiącym wyciągniętego kłusa czterech koni, poznał pan Józef dobrego kompana.

— O, psia! ten szelma Wicek! Jeżeli mnie zobaczy, będzie znowu około szkła robota —

Ale pan Józef szedł piechotą, głowę trochę odwrócił ku sklepom, a pan Wincenty, stojąc w powozie, był pilnie zapatrzony na kłusa czwórki, którą może właśnie chciał kupić lub sprzedać.

— Lewy w dyszlu dryga, jak na kijach — musiał być ochwacony — wyrwała się Bronieckiemu uwaga zawodowca, automatycznie.

Sklepy ogłaszały swą zawartość nie tylko zapomocą szyldów, lecz i zapachów; cukiernia

buchała »litewskiem« masłem, skład apteczny — dajweldrekiem, tylko księgarnia wystawiała mozaikę druków, mniej więcej bezwonnych. Panowała zaś w powietrzu przeważnie woń Żyda. Ale Broniecki, przywykły do miast krajowych, puszczał mimo nosa ten koncert zapachów. Doszedłszy do magistratu, zawrócił na prawo, w ulicę, gdzie wkrótce znalazł liczbę domu wskazaną. Z chodnika zszedł po schodach niżej, dostał się na małe płaskowzgórze, obudowane z włoska po staropolsku, potem schodami pod górę trafił do mieszkania lekarza na wysokim piętrze.

Trzy osoby siedziały w poczekalni przed zamkniętymi drzwiami gabinetu. Pan Józef podał służącemu bilet wizytowy, uprzyjemniony srebrną monetą, i kazał się zameldować. Służący poszedł naokoło do gabinetu i wrócił niebawem, oświadczając głosem, zmięczonym przez postać i hojność Bronieckiego, że doktor prosi o poczekanie kolei. Ruszył wąsem niecierpliwym dziedzic, ale uznał porządek demokratyczny i usiadł na krześle pod oknem, skąd widok miał pocieszający.

Starożytna strażnica bramy Krakowskiej zagradzała dolną część miasta swym kadłubem fortecznym, przebitym niską, głęboką paszczą, w której przepadali ludzie i wozy. Wielkie żółte gmachy katedry i przyległej kapituły stały na prawo, niżej pałac biskupi, jeszcze niżej staczało się drobniejsze miasto ku By-

strzycy. Poznawał Broniecki z wysokiego swego piętra krenelową koronę zamku Leszka Czarnego, dzisiaj turmy, dachy dawnego, prześwietnego Trybunału, zapleśniałe mury Dominikanów, pamiętające Kazimierza Wielkiego, święty przybytek Unii lubelskiej. — — Czując się wśród tych wielkich pamiątek uczestnikiem dawnej świetności i chwały, choć blade ozłoconej zimowem słońcem, Broniecki rozmarzył się i udobruchał zupełnie. Tymczasem poproszono go do gabinetu doktora.

Dr. Tomasz Czemski był wysokim mężczyzną o bujnych włosach siwych, o pięknych, zmęczonych oczach i postaci ujmującej przez swą poważną swobodę. Pan Józef zaraz wyciągnął do niego rękę:

— Jestem Broniecki, ze Sławoszewa, sąsiad syna pańskiego, Stefana. Nie przychodzę po consilium pana doktora, bo jeszcze, chwała Bogu, jestem z lekarzami tylko w przyjaźni, ale nie w zależności pacyenta. Przychodzę pomówić o panu Stefanie, który, jak zapewne panu wiadomo...?

— Ach! — klapnął się doktor w czoło, jak gdyby teraz dopiero zbudził się do rzeczywistości — pan Broniecki ze Sławoszewa! Tyle przecie o panu słyszałem! — proszę mi darować zwłokę w przyjęciu pana, ale my, słudzy publiczni, musimy się trzymać przyjętej zasady.

— Uznaję, uznaję. — — A o synu pan wie?

— Wiem, szanowny panie. Dostał się do

kozy. Niech posiedzi — może go to odczyt od papierowej roboty.

Broniecki trochę się zadziwił, jednak przyjemnie. Doktor mógł być obojętnym ojcem, ale oczywista, że jest miłym człowiekiem, pełnym szlacheckiej fantazyi. Musi nawet być szlachcicem? — Lada łyk takby nie wyglądał — —

— Pogląd doktora trafia mi do przekonania. Gadałem mu to nieraz! Tymczasem jednak wartoby chłopaczka wyłabudać z ciupy.

— Udałem się już do znajomych ze świata urzędowego — odrzekł doktor frasobliwiej — mówiono mi, że sprawa małej wagi, bo cóż? tylko nielegalne zebranie. Ale kto ich tam zgadnie? — —

— Ja także znam kilka wpływowych mundurów i pozostaję do świąt w Warszawie. Mogę za tą sprawą podeptać — —

Doktor podziękował wymownem spojrzeniem.

— I przyjechałem właśnie dlatego prosto do pana, aby zebrać wiadomości o młodym »zbrodniarzu«. Znamy się od niedawna, a przemawiając za kimś, trzeba znać jego *curriculum vitae*, aby się w zabiegach nie zasypać.

— Proszę szanownego pana — Stefan ma lat 25; chodził do tutejszego gimnazjum; skończył je, na szczęście, przed wybuchem strajku szkolnego, ale już do uniwersytetu w Warszawie nie poszedł, jak mieliśmy dawniej projekt.

Jako jedynaka, uwolniono go od wojska. Siedział przez pewien czas w Warszawie, gdzie różne pozawierał znajomości — — Namawiałem go na uniwersytet krakowski, ale uparł się i pojechał na studia do Niemiec. Gdy je ukończył, kupiłem dla niego za posag jego matki, już nieżyjącej, ten folwarczek Niespuchę w pańskim sąsiedztwie, mówił bowiem, że czuje się powołanym do życia z ludem wiejskim i dla ludu. — — Oto szkielet jego życiorysu. Co zaś do jego przekonań i działań politycznych, o które zapewne chodzi w obecnej chwili — nie mogę pana dokładnie objaśnić. Już w gimnazjum należał do związków raczej postępowych — — potem — czy się zapisał do związków takich lub owakich? — nie wiem, coraz mniejszem bowiem zaszczyca mnie zaufaniem, jako człowieka »zacofanego«... mnie, który przecie... Ale nie zaczęć mówić o sobie.

— Taki już los nasz, ojców — westchnął Broniecki. — Gwizdać na nas wolno i korzystać z naszej roboty. Gadałem trochę i z panem Stefanem. Sprawił mi wrażenie, że byłby setnym pracownikiem, gdyby go nie opętały cudze formułki.

— To właśnie mówię — ucieszył się doktor — dodam tylko, że Stefan nigdy nie był kosmopolitą, międzynarodowcem, niczem podobnem.

— Niby Polak ordynaryjny, jak my, panie doktorze?

— Z instynktu najzupelniej, szanowny panie. A tam z teorii! Wypróbuje on ją na swojej skórze.

— Byłe nie na skórze ludu — wtrącił Broniecki.

— Tak źle nie będzie — odpowiedział ojciec Stefana, chcąc kres położyć ujemnym przypuszczeniom o synu — kto ma polskie sumienie i głowę na karku, nie zechce wykonywać takich eksperymentów swej teorii. Stefan pragnie dobrego postępu, w to wierzę. A że tam czasem zabłąka się w drodze do celu, to skutek krwi gorącej. My mamy krew żołnierską, szanowny panie.

Doktor wskazał na ścianę, gdzie wisiało sporo obrazków i trochę broni. Pan Józef rzucił oczyma we wskazanym kierunku, a potem pytająco na doktora. Ten zaś mówił dalej:

— Ach, przepraszam! stare nawyknięcie; każdy czemś się chwali. Wiszą tam patenty żołnierskie mojego dziada, jego broń — — drobiazgi pospolite, ale dla mnie pamiątkowe.

— Owszem, to ciekawe dla każdego Polaka — rzekł Broniecki, powstając i idąc ku ścianie.

Więc powstał Czemski i pokazywał z upodobaniem. Wisiała tam za szkłem nominacya »urodzonego« Stefana Czemskiego na porucznika w wojsku Księstwa Warszawskiego, podpisana: »Wódz naczelny, Józef książę Ponia-towski« — obok patent dla tegoż Czemskiego

na krzyż wojskowy polski. Wisiała szabla, szpada, ładownica z orłem — dużo rycin, przedstawiających portrety wojskowych i bitwy.

— To wszystko po dziadku pana doktora?

— Przeważnie po nim. Po ojcu mam tylko drobne pamiątki. Zginął, jako żołnierz, w polu; miałem już kilka lat wówczas i pamiętam go, jak przez sen — —

Bronieckiemu zagrzało się w sercu, a od serca fala przepłynęła do ust wymową:

— Mój dziad służył także w ułanach, doktorze. To jesteśmy niby krewni — po mieczu. No, daj buzi, panie Tomasz!

Omiętli się podwójnym pocałunkiem, poczem Broniecki rozglądał się dalej po pokoju.

— Książek masz pan zatrząsienie!

— O! nawet niezły dobór i nietylko moich podręcznych, lekarskich. Tu są militaria polskie — — tu zbiór, który nazywam łańcuchem myśli polskiej, według mojego wyboru: statyści, reformatorowie, uczeni, poeci — — kosztowało dużo czasu i sporo nawet pieniędzy. Jest tu, na przykład, kilka bardzo rzadkich druków aryańskich, jeden nieznaną bibliografom — —

Dobył z szafy drobną, wyszarzaną książeczkę i podał Bronieckiemu, który ją ujął bez należytego uszanowania, jednak ciekawie.

— Nie znam się na tem, ale rozumiem za-miłowanie.

— A Stefan, na przykład — poskarżył się znowu doktor — wcale tego nie ceni. To też

biblioteczka pójdzie po mojej śmierci do zbiorów publicznych, gdzie się komuś przyda na pewno do studyów, bo nie jest to kupa książek, ale szereg, związany przez treść i wiedzą ewolucyę.

— A reszta, naturalnie, dla jedynaka? — zapytał niby niedbale Broniecki.

— Naturalnie. Dla kogożbym oszczędzał?

W mieszkaniu widać było, oprócz tradycyi żołnierskich i znamion aktualnej pracy — dobrobyt; pokoje i meble miały styl niepowszedni, staroświecki, lecz żywy, odświeżony dla potrzeb nowożytnych. Z przyjemnością dowiedział się też Broniecki, że doktor mieszka we własnym domu, zajmuje zaś w nim wysokie piętro dla pięknego stąd widoku.

— Morowy chłop! — pomyślał pan Józef — warto z nim wypić »jedną« — —

Odezwał się głośno:

— Gdzie się teraz u was jada, w Wiktorji, w Polskim, czy gdzieindziej? Pójdziemy może razem, panie Tomaszu?

— Nie chodzę prawie nigdy do restauracyi — jadam w domu. Ale! niechże mi pan uczyni przyjemność pozostania u mnie na obiedzie! — Dobrze? — Zaraz — dowiem się, co tam będzie na obiad.

Śpiesznie i ochoczo wyszedł doktor z gabinetu, pozostawiając w nim Bronieckiego, który wróżył sobie z instalacyi i z wszechstronnego wykształcenia doktora, że i kuchnię musi mieć

dobrą. Mina doktora za powrotem, zadowolona i pewna swego, wzmocniła jeszcze to mniemanie.

— Czy pan pije białego burgunda? — zapytał Czemski — mam parę butelek z lepszych czasów.

— Moje wino! — odrzekł wesoło Broniecki, choć uważał za swoje wszystkie gatunki win, byle dobre.

Oczekując obiadu, dwaj nowi przyjaciele ciągnęli dalej rozmowę. Mówił Broniecki:

— Gdziekolwiek się zajrzy w tę naszą ziemię, trafia się na robotę szlachty. Zdarza się tu i tam jakiś wyskoczek z ludu, z miasta, ale naogół wszędzie szlachta: na polu i w mieście. A warczą na nas z różnych piśmideł, żeśmy strupieszeli. Androny, panie Tomaszu! Gdzie tylko co się robi — wszędzie szlachta. A co najzabawniejsze, że ten, który się na nas ciska, także zwykle ze szlachty! Jeżeli nie z Żydów, bo tych to już powołanie szczebrać na wszystkie roboty, nie prowadzone przez kahał i dla kahału.

Doktor ujmował kwestyę z szerszego stanowiska:

— Można powiedzieć, że wszystko u nas robi szlachta, albo i nie szlachta; robią — obywatela kraju. A między nimi jest ogromna większość takich, których dawniej nazywano szlachtą i nazywanoby może dotychczas, gdyby nasz ustrój państwowy był naturalną ewolu-

cyą, a nie uległ bezprzykładowemu w dziejach gwałtowi i zepsuciu. Pomimo osławionego naszego nierządu i mniej uwydatnionej niedoli, myśmy dążyli konsekwentnie do najszczytniejszej demokratyzacji, do równouprawnienia czynnych obywateli. Przyjmowaliśmy przecie w poczet szlachty mieszczan, chłopów, nawet Żydów pod wieczór Rzeczypospolitej, w dobie oświecenia i świadomości, zakończonej nie- szczęściem — uszlachcaliśmy masowo ludzi pożytecznych. I to szlachectwo polskie nie miało nic wspólnego z feodalną szlachtą Zachodu, ani z hierarchiczną kamaryllą Wschodu; posiadał je równouprawniony obywatel polski, *civis Polonus*; było to coś w rodzaju patentu dojrzałości do udziału w rządzie i w prawach obywatelskich. Gdybyśmy się dotąd rozwijali normalnie, takiej szlachty byłoby jeszcze więcej; byłiby w niej i nowi chłopci — obywatele i mieszcianie — z czasem wszyscy zdolni do sprawy publicznej. Jeszcze krok dalej: zniesienie dziedziczności praw szlacheckich, a stali- byśmy się idealną gromadą republikańską. I dzisiaj, pomimo setnych przeszkód zewnętrznych, ten proces historyczny trwa: lud się budzi do obywatelstwa, czyli do polskiego »szlachectwa«, szlachty zaś, w znaczeniu stanu uprzy- wilejowanego, niema już wcale. Są pretensye, niczem nieuzasadnione, do przewodnictwa w narodzie naszej śmiesznej, ospałej arysto- kracji, która też przecie ze szlachty wyrosła;

są wspomnienia, utyskiwania niektórych ro- dów, rzeczywiście w przeszłości zasłużonych; ale to już przepada zupełnie w ogólnej »szla- checkiej« robocie, która jest i trwa, w przeci- wienstwie do tak zwanej »Polski ludowej«, której niema, która istnieje tylko w głowach, oszołomionych ewolucją społeczną niepolskiego zgoła typu. Ameryka jest »ludowa«, bo po- wstała z rozrostu gminu. Ale Polska ma swój własny typ rozwoju, zdawna ustalony.

Broniecki słuchał uważnie długiej konfe- rencyi doktora, miarkując sobie ubocznie, że musiał on mieć już gotowy taki odczynek od parady. Nie wątpił jednak o szczerości Toma- sza Czemskiego, tylko mu się w perorze nie wszystko jednakowo podobało.

— Mówisz, panie Tomaszu, jak z nut. Czy i piórkiem czasem tak...?

Domawiał, udając złączonymi palcami pra- wej ręki drobne pisanie po powietrzu.

— Nie zapieram się. Ale mało co druko- wałem i nie z tej kategorii — — Może tam kiedyś po mnie? — — Teraz mnie uniosła na- sza zwykła dyskusya ze Stefanem. Bo syn mój należy poniekąd do tych egzotycznych ludow- ców, którym się przyśniło, że Polska od nich może się zacząć nanowo.

— Tak, tak — odrzekł Broniecki — zło- temi usty szczebioczesz, panie Tomaszu. Ste- fana wydobędziemy najprzód z ciupy — to

się da zrobić — potem go sfasujemy mocno do chomała społecznego — o! Ojcu nie wierzy się zwykle — przez ambycję należenia do młodych, do nowych. — Ale my, sąsiedzi, coś tego... mamy mnóstwo przynęt dla Stefeczka.

— Niezmiernie panu wdzięczny jestem, panie... Józefie.

— Jam także bardzo rad, że poznałem tak miłego współobywatela, uczonego, działacza, no — i znowu brata szlachcica.

— Wszystko to pan łaskawie przesadza. A już do szlachectwa nie poczuwam się...

— Jakżeż?! skoro dziad pański był porucznikiem i »urodzonym« — ? — wskazał Broniecki dokumenty, wiszące na ścianie.

— Tak... cenię te pamiątki dla siebie. To moje relikwie familijne. Ale ze szlachectwa nie legitymowałem nawet ani siebie, ani syna. To tylko brózdzi w pojęciu nowożytnych obywateli.

— Tu mi dajesz kominka, panie Tomaszu! Nikt się nie wypiera pochodzenia od zacnych przodków. Nie zrobiłbyś pan tego dla przypodobania się owym ludowcom, których krytykujesz? Ręczę, że pan wiesz, jakiego używacie herbu?

— Oni się tam pieczętowali Nałęczem — uśmiechnął się Czemski.

— No więc? Masz pan wszystko, co składa szlachcica: piórka na hełmie i polską duszę

w piersi. — No, chodźmy na obiad, obywatelu Tomaszu. — —

Bo już drzwi otworzono do sąsiedniej jadalni, gdzie bielila się zastawa poczesna, a ze ściany spoglądał dziadek w staroświeckim mundurze.



## XV.

Broniecki powrócił do Warszawy, pełen otuchy. Nic wprawdzie nadzwyczajnego, ani bardzo nowego nie dowiedział się o Stefanie Czemskim, jednak usposobił się do niego dużo lepiej przez poznanie ojca. Stefan był nawet fizycznie podobny do doktora, że zaś nie dorósł jeszcze do rozumu i wytrawności ojca — to naturalne. Dojrzeje z wiekiem. Przytem stwierdził pan Józef, że Czemscy należą do szlachty najlepszego gatunku, tej, która przez ciężkie ostatnie stulecie poczuwała się bardziej do obowiązków względem społeczeństwa, niż do prerogatyw i do ciągnięcia z nich zysków osobistych. Jeżeli ma się poczynać nowa Polska, począć się musi od tych, którzy się jej krwią, poświęceniem i pracą zasłużyli, więc naprzykład od Czemskich, czy oni tam są ze szlachty, czy z łyków. — Dobrze jednak, że są szlachtą — dodawał w myśli pan Józef.

Broniecki, z usposobienia jeszcze młody, miał i tę cechę młodości umysłu, że wciąż

wdychał z życia naukę, zapalał się do postępu, nie przywiązując się zbyt uparcie do półwiecznego blisko doświadczenia. Zbyt radykalnej demokratyzacyi opierała się jego rogata szlachecka natura, rozpieszczona dobrobytem, skłonna do używania preponderencyi w społeczeństwie, do protegowania i naczelnictwa, ale zdrowy instynkt obywatelski nakazywał mu także cenić każdą osobistość użyteczną dla sprawy ogólnej, szanować dobrą wolę cudzą, choćby niezupełnie zgodną z jego dążeniami. — I z ostatniej podróży do Lublina przywiózł sobie nową podniętę do ścisłego zbratania się ze wszystkimi rodakami, pracującymi dla przyszłości ojczyzny, bez względu na sfery, partye i koterye.

— Taki doktor Czemski — opowiadał z zapalem na obiedzie u pani Obichowskiej — to luminarz prowincjonalny, moi drodzy. Rozum tęgi, jeszcze tęższa gęba; kultura ogromna — ma zbiory muzealne, własny dom tak postawiony, że mu się przed oknami cały Lublin pod stopki ściele. W poczekalni tłumy! — ledwie się przecisnął. Lekarz sławny od Uralu aż po Atlantyk. A jak gada o sprawach krajowych, dość wam powiedzieć, żem ja ledwie języka w gębie nie zapomniał. Zawarłem z nim przymierze.

Pan Józef koloryzował trochę jaskrawo, ale w najlepszym zamiarze: zwalczyć chciał wyraźne uprzedzenia pani Rozalii.

— Jednak to ludzie nie z naszego towarzystwa — mówiła dama.

— Szlachta, siostruniu! ni mniej, ni więcej, tylko Nałęcz — jak Małachowscy! Ojciec Tomasa był naczelnikiem partii w powstaniu, a dziad pułkownikiem i przyjacielem księcia Józefa Poniatowskiego.

— Skądże te wiadomości, o których nikt nigdy nie słyszał?

— Jedź ze mną do Lublina, Rozalko; zaprowadzę cię do doktora i pokażę te wszystkie patenty, szable, mundury.

— A dajże mi pokój! co mnie to obchodzi?

— To dlaczegoż postponujesz zacnego doktora, mego przyjaciela?

— Nie postponuję. Znam tylko jego syna, który ma dziwne maniery. Wyobraź sobie, że na którymś czwartku, zobaczywszy na srebrze herb nasz, Wieniawę, z głową byka w tarczy, zapytał, czyśmy to dostali za wzorową oborę! Zosi bardzo się to nie podobało.

— Ależ nie tak było, cioteczko! — zawołała Mańka. — Powiedz, Zosiu, że nie tak —

— Nie pamiętam — odrzekła Zosia, wruszając ramionami.

— Studenckie figle! — łagodził Broniecki — trochę nawet za dziecinne dla pana Stefana. Za figle też w kozie siedzi.

— Tatusiu! przecie za oświatę ludową!

— Daj mi gadać, Manius! Nie zrobię krzy-

wdy żadnemu Czemskiemu. Chciałbym, owszem, wydobyć pana Stefana z pod klucza.

Manieczka umilkła, a pan Józef ujął wypiegnowaną rączkę pani Rozalii i mówił:

— Siostrunia jest anielską istotą — sama nam pomoże do uwolnienia Stefana Czemskiego.

— Ja?!... nie widzę, jakim sposobem?

— Znasz księcia Dołgorukiego...

— Bardzo mało. — Ale poczekajcie! znam jedną damę wpływową...

Spojrzeli wszyscy przyjaźnie na panią Rozalię, która odrazu zapomniała o swej niechęci do Czemskiego, gdy chodziło o ratowanie go z nieszczęścia.

Z uwolnieniem Stefana nie szło, jak z płatka, pomimo zabiegów z różnych stron, bo i prezes, ujęty przez Manieczkę, kołatał o to samo, i ojciec w Lublinie — i pani Rozalia udała się do wpływowej damy. Bachiczna komitywa Bronieckiego z ułanami okazała się bez użytku w tej sprawie, wkraczającej w ciemne i zimne podziemia »polityczne«. Po tygodniu dopiero zabiegi odniosły ten skutek, że obiecano przyspieszyć śledztwo. Ale dużo było aresztowanych z ostatniej chwili i z przed lat, o każdego więźnia ktoś się troszczył — słaba była nadzieja uwolnienia Stefana Czemskiego przed końcem roku. I czy śledztwo ustali jego niewinność lub małe przewinienie? — czy też od-

kryje cięższe winy? — Wszystkiego można było się spodziewać, jak w loteryi.

Jedno tylko zyskał Czemski na swoim uwięzieniu: sympatyę współobywateli, którzy wszyscy byli przekonani, że został aresztowany nie za podłość, lecz za szlachetne zamiary względem swego społeczeństwa. W sercu zaś Manieczki zyskał gorętsze jeszcze uznanie, podniecone przez wyobraźnię. Z oddalenia Stefan błady, znękany, może wystawiony na niedostatek i podstępny śledczy, wydawał się Manieczce bardziej ukochanym, a ideowe z nim współnictwo przesadzała aż do poczucia wspólnego z nim cierpienia.

Po powrocie Bronieckich z Warszawy do Sławoszewa, dwór, zazwyczaj wesoły, był jakby w żałobie, tem cięższej, że się do niej otwarcie nikt nie przyznawał. Bo i pan Józef był struty przez smutne usposobienie córki. Na święta Bożego Narodzenia przygotowywał podarki dla córki, ale wiedział, że nimi nie sprawi jej radości; onaby na gwiazdkę chciała — Stefana. — Sprowadziłby go dobry ojciec niechybnie, gdyby to było w jego mocy, dla zadowolenia Mańki, nie dla swojego. Czemski w nowem oświeceniu, jako kandydat na zięcia, budził w Bronieckim duże obawy; uparty, zarozumiały i ostatecznie, jak mówi Rozalka, człowiek z innego towarzystwa, choć jest synem miłego doktora. A naprawdę, to każdy zięć jest fizycznie wstrętny, bo zabiera dla sie-

bie Manieczkę i sterczy słupem wytycznym na granicy młodości teścia. Mieć córkę dorastającą — to jeszcze ujdzie, ale być dziadkiem!... Choć pan Józef nie był zdolny do przeszkadzania małżeństwu córki z pobudek tak egoistycznych, jednak wołałby, aby ta konieczność sprowadziła do rodziny człowieka odpowiedniejszego. Stanie się wreszcie, jak Bóg chce i Manieczka — tylko kto mógł przewidzieć, że się dziewczyna zadurzy właśnie w tym kawalerze i że kawaler dostanie się do kozy? — W każdym razie marne mamy »święta« tego roczne.

Jednak Broniecki miał talent przystosowania się do każdej atmosfery. Więc smutek, panujący w domu, naraził mu nowe, zbawienne pomysły. Najprzód, za zbyt wesołe tygodnie warszawskie chciał zapłacić poważną pracą na wsi; chciał dowieść Godziembie i różnym tam prezesom, że się mylą, utyskując nad jego życiem lekkomyślnem w mieście. On jest wyjątkowo stworzony, niby o dwóch duszach: jednej hulaszczej, drugiej roboczej. Gdy hula, nabiera sił do pracy; gdy pracuje, zarabia sobie na wesołe wakacje. Więc ponieważ w zimie niema na wsi właściwej pracy na roli, Broniecki wymyślił sobie roboty teoretyczne z dziedziny rolnictwa. Pisał broszurę pod tytułem »Przykazania gospodarcze«, w której mieścił różne swe sekrety i sposoby dobycia z ziemi największego plonu. O tajemnicę tych

sposobów był nieco zazdrosny; dziś ją chciał ogłosić drukiem dla ogólnego pożytku.

Długo myśląc w atmosferze przyciszzonej przez troski, poczuwał się coraz bardziej do obowiązków szerszych, niż dobra gospodarka na własnej roli. Przemysliwał o stworzeniu ogniska oświaty i pracy zbiorowej w okolicy tej, jeszcze słabo zorganizowanej, gdzie tu i owdzie istniał jakiś prywatny dobry warsztat, lecz stowarzyszenia nie było. Dom ludowy w Mielnie — — tak, to się udało — ale to dopiero instytucja pożyteczna dla jednej gminy. — Radby pan Józef sam coś wielkiego założyć dla roboczej szlachty i roboczego ludu, sam to pokierować według swego widzimisie — — ale zdrowy rozsądek przedstawiał mu, że sam jeden nie ma dosyć pieniędzy, czasu, a nawet doświadczenia. — Trzeba będzie znowu udać się do tych samych prezesów warszawskich i prowincjonalnych, którzy wielką swą sieć kulturalną rozciągają coraz szerzej po kraju. Przecie i dom w Mielnie powstaje z ich inicjatywy i przy ich pieniężnej pomocy — — Nudziarze to, abstynenci, moralisci, a w działaniach swych nieomal burokraci — — jednak »morowe chłopy« i niepodejrzane o zamiary obłudne — chociażby Godziemba!

Trzeba będzie, trzeba znowu udać się do niego i jemu podobnych, poddać się ich potężnej organizacyi. — — Wypadnie pozbyć się

ulubionych wybujałości, partyzantki społecznej — na rzecz wielkiej gromady; wypadnie nawet wyrzec się niektórych młodych narów — — już pięćdziesiątka za pasem! — — Tak pan Józef przerabiał ciszę wiejską na chwalebne postanowienia. —

Dwór w Sławoszewie przeistoczył się zatem, zmienił swój pozór mieszkania ludzi bez troski. Manieczka cicho chodziła około gospodarstwa, pan Józef długo siadywał przy biurku, zasepiiony projektowaniem; służba stosowała się do przyciszonych usposobień dziedziców, a i Magda Olczakówna miała swoje powody smutku: nie zapomniała w Warszawie o Rykoniu, on zaś nie zajmował się nią wcale. — Nawet sąsiedzi, którzy zajrzeli do Sławoszewa zaraz po przyjeździe Bronieckich, gdy stwierdzili ich odmienny nastrój, nie powracali, snuli na uboczu swe domniemania. Rozeszła się wieść, że Manieczka nie chciała wyjść za Olesia Leśniowolskiego, z czego pan Józef był niezadowolony. Była w tem część prawdy; ale żeby uwięzienie Czemskiego, o którym wiadziano, było powodem strapienia w Sławoszewie — tego nikt nie zgadywał, nawet pani Kara Drobińska, zwykła konfidentka Bronieckiego.

Zima już zaległa szczerą, mroźną i śnieżną. Na ubielonej całkiem równinie dwór Sławoszewski jeżył się wielką kępą ciemnego starodrzewu, z którego były ku niebu liczne słupy

dymu, dając wrażenie przejezdnym, jak tam bogato siedzą ludzie i jak im ciepło. Od tygodnia jeżdżono już saniami, więc ustały turkoty na szosie i na okólniku folwarcznym, podwozy sunęły przez ciszę. Rzadko z niej wytryskało jakieś nawoływanie, przy kuchni, przy stajni lub oborze; ludzie stosowali się do uciszonej przyrody, która żyła przez sen biały, bez szmeru rzeki, ściętej lodem, bez głosów ptaków, napuszonych w swych kryjówkach. Czasem tylko wiatr zajęczał w nagich gałęziach sennie, jakby kto trącił przypadkiem strunowe narzędzie, zależałe w spokoju. Czasem przed zachodem jedna z wron, płynących pod niebem rozognionem, dała krakaniem sygnał, na który ludzie zadzierali głowy, dziwiąc się zamąceniu ciszy. A gdy noc chyża ogarniała świat, świeciła ziemia śniegiem, a niebo mętem żółtawym, gdzie w jaśniejszej aureoli rozplýwał się księżyc.

Dobrze było wtedy człowiekowi w nagrzanym pokoju, w powietrzu trochę ocieżałem wonią zamkniętą, lecz bezpiecznem od lutych niespodzianek zimy. Gdyby tylko nie troski nerwowe, dzwoniące w sercu, które ukoić trudno przez skąpe zimowe balsamy przyrody... Gdzie tu się nacieszyć dniem tak krótkim, że zaledwie starczy na rozejrzenie się po świecie! Jakże pójść w noc zimną i pustą, przypominającą tylko powieści o wilkach i zbójcach! —

Ma tam i zima swe uśmiechy, ale rzadkie — trzeba je chwycić.

W wyiskrzony mrozem dzień 20 grudnia naprosiła się Mańka pojechać do Łowicza po sprawunki na święta. Nie chce nudzić ojca, który pisze zawzięcie — pojedzie z Magdą. Mogłaby sama powozić, ale mróz za tęgi, ręce zmarzną — poprowadzi sanki zaufany woźnica Wójcik w parę kasztanów licowych od czwórki.

Projekt, podyktowany ze szczegółami przez córkę, zaakceptował ojciec, jak zwykle. Więc o 8-ej rano śmigały sanki całym kłusem kasztanów, bo Wójcik wiedział, że panienka lubi jazdę »kawalerską«. Droga szła przez Mielno.

— Patrz, Magdusiu: te chaty błękitniejsze od nieba!

— A jużci — odpowiedziała Magda, z owiniętej krągłej głowy celując ciemnymi oczyma w daleki punkt wsi, gdzie stała osada Jana Rykonia.

A jasne spojrzenie Manieczki z pod barankowej czarnej czapki biegło z zadowoleniem po szeregu chat, »bielonych na niebiesko«, znaczących ton najtęższy w słonecznym krajobrazie, pod kryształową szybą mrozu. Sanki wjeżdżały w ogromną kłamrę wsi rozkosznej, błękitniejszej przy ziemi, odgradzonej szaremi strzechami od wyblakłego lazuru nieba, przesłoniętej symetrycznymi słupami topoli przydrożnych, które oblepiała lekka okiść sinawego

szronu. Ponad to wszystko wschodziły na niebo dymy jasne, opalowe, mieszając się z chmurkami poziomymi, jakby wszystkie welny, włóczące się po niebie, miały swe źródło w ogniskach gospodarnego Mielna.

Nie czuło się zbyt zimna w powietrzu spokojnem, które zaczynało jednak mrozem przy szybkiej jeździe, bo woźnica zupełnie osiwiał na sumiastych wąsach, a twarze dwojga dziewcząt mocno płonęły. Ale słońce głaśkało przyjemnie, od wilczury w spodzie sanek szło dobroczynne ciepło i grzały z wewnątrz młode serca.

Mijali już pierwsze chaty, wystrojone, jak tam która mogła, to barwną rzeźbą na drzwiach i okiennicach, to zagrodą z kamieni, to nowem oszalowaniem ścian, z fugami, oznaczonemi błękitną farbą. Takie było zamiłowanie Mielniaków do błękitu, że nawet kamienie przy szosie pociągnięte były lazurówcem wapnem. Większa część domów miała przed frontem brukowany taras.

Wieś była cicha, zamknięta w sobie. Tylko te dymy, płynące z kominów, tylko miganie z ciemnych okien jakichś twarzy, jakichś welniaków — świadczyły, że domy pełne, jak ule, zasklepione na zimę. Aż przed frontem jednej błękitnej chaty zamigotało coś drobno, czerwono, pomarańczowo, niby pękata nasturcya. Dziewczątka, może ośmioletnie, okutane w kompletny ubiór księżacki, wyszło przed

dom, jakby przecuciem wiedzione, na przejazd pięknych sań dworskich, które gdy miały, maleństwo, sztywne w swych welniakach, pochyliło się w pas, okazując obcisłą na główce czerwoną salinówkę, rączynami sięgając prawie ziemi. Chciało, widać, ukłonić się jak najgrzeczniej. Z sanek zatrzepotały powitalnie ręce przejeżdżających.

— Czyje to? — pytała Mańka, oglądając się z rozrzewnieniem za uprzejmą laleczką.

— Musi być Goździkówna, bo chała Michała Goździka — odpowiedziała Magda — one tu ludzkie są, od małego oswojone.

Chłop w kozuchu, skrzypiący butami po zaśnieżonej szosie, przyjrzał się pilnie przelatującym saniom, lecz nie uchylił kapelusza. — Znowu zbliżały się po szosie dwie kobiety, grubo nafałdowane w pasach, z fartuchami, zarzuconymi na głowy, niby małe namioty z ognistej welny w tęczowe »mrażki«, postępujące na wysokich trzewikach, czerwono sznurowanych. Jedna z nich ukłoniła się, nachylając postać od pasa.

— A to jaka? — zapytała Manieczka.

— To?... Workowska Jagna, stryjeczna Jana Rykonia — odrzekła Magda, spuszczać oczy.

— Aha.

Zaraz przyszło Manieczce do głowy odwiedzić chatę Rykonia, leżącą na poprzecznej ulicy Mielna, do której zbliżały się sanki. Niech się Magdusia trochę ucieszy widokiem

Jana — — Można go zapytać o postępy domu ludowego, który tu się buduje przy kancelaryi gminnej. O, ile cegły nawieziono — — i około belek kilku ludzi robi toporami. —

— Wójcik! proszę się zatrzymać przed domem Jana Rykonia — wiecie, gdzie?

— Wiem, panienko, tylko to nam trochę z drogi.

— Wszystko jedno — mamy czas, wczesnie jeszcze.

— Słucham panienki.

Szczęśliwym trafem Jan był w domu, co mogło się nie zdarzyć, bo chłop był w zimie bardzo rozjezdny. I wczoraj dopiero powrócił z Warszawy od przyjaciela swego, pana Grodzkiego, do którego miał ciągle interesy z okazji zakupu maszyn i narzędzi rolniczych dla siebie i dla gminy, a z przyjaźni korzystał w ten sposób, że kupował narzędzia po niebywale niżonych cenach.

Wyszedł Jan z domu na widok zatrzymanych przed jego drzwiami sanek dworskich, uścisnął podaną rękę panienki, a do Magdy sam dłoń wyciągnął, bo nie śmiała pierwsza wrywać się do powitania. Był w spencerze i w lejniku do stanu, czarnych, obrębionych czerwona wypustką, w hajdawerach łowickich; na wierzchnich szatkach, obciśle ujmujących jego tors mocny i smukły, rzędy mosiężnych guzów błyszczwały po wojskowemu, po kawaleryjsku. Dziarską głowę miał nienakrytą.

Jakby się umyślnie tak ubrał na podziw oczom dziewczęcym, które mile na niego patrzyły, a przecie nie uprzedzono go o wizycie.

— Proszę pięknie do izby — zapraszał z ujmującym uśmiechem — możnaby się krzynekę ogrzać.

— Dziękuję wam — odrzekła Manieczka — tak tylko zatrzymałyśmy się w przejeździe do Łowicza. Ale wam zimno będzie na mrozie?

— Ej, nie, panienko — przywykłem; i taki suchy mróz nie szkodzi; przy zgnilej pogodzie łatwiej ziąb chwyci.

— Widzę, że wasz dom gminny już w robocie — zagadła Mańka.

— Ha! toć go już raz trzeba się doczekać. Fundament wykopany, materiał zwieziony. Oglądamy się już za ochroniarką i za sklepową.

Rzucił okiem na Magdę, jak z łaski, bo dotychczas patrzył wyłącznie na pannę Broniecką.

— A to, Magdusiu, coś dla ciebie, jeżeli już koniecznie chcesz nas opuścić! — zawołała Mańka.

Pokojówka nie odpowiedziała, ale szybko mrugnęła po kilkakroć, dając poznać, że pomysł bierze pod rozwagę. Spojrzała wreszcie na Rykonia pytająco.

— Na sklepową trzeba dobrze pisać i wedle rachunku biegłą być — odrzekł Jan poważnie.

— Magdusia dobrze pisze — protegowała

Mańka — a co do tego... Czy ty umiesz rachować, Magdusiu?

— Umieć — odrzekła pokojówka.

— Ja bo niebardzo, szczególnie z ułamkami — Ale w to przecie można się wprawić.

Projekt potrzebował namysłu i egzaminu. Tak zapewne osądził Rykoń, bo zmienił rozmowę.

— A u nas zima godnie się zaczęła: nasamprzód poszedł mróz, ziemię ścisnął, potem śnieżek się nam usłał na ten szczypior ozimy — i znowu mróz. Da Bóg, będzie dobrze.

— I mój ojciec tak mówi — potwierdziła Manieczka.

— A już pan dziedzic ze Sławoszewa, to kiej ten prorok na roli — dorzucił Rykoń pochlebnie. — I jakże? zostanie tera tatuś z panienką u nas, czy znowu światami pojedzie?

— Pewnie zostaniemy; w każdym razie na święta. Przyjedźcie do nas na wigilię Bożego Narodzenia, sąsiedzie. Sami jesteście...

— Matkę mam. Na ten dzień trzeba już z matką.

— Prawda. — No, to w niedzielę po świętach?

— W niedzielę można.

— A mój ojciec chyba teraz na dłużej nie wyjedzie. Chybaby go zaciągnęła do Warszawy ta historia... pana Czemskiego z Niespuchy. Słyszeliście?

— Słyszałem. Nawet że do gminy przyszło

zapytanie o »sprawkę« pana Czemskiego. Ja tam poradziłem wójtowi odpowiedź: nijakiej sprawki tu niema — człowiek jest spokojny.

— I dobry! — zawołała Mańka gorąco. — Całem sercem oddany sprawie ludu wiejskiego.

— Tego *im tam* mówić nie potrza — nadmienił Rykoń, chytrze mrużąc siwe oczy.

— Ale jakże wy? — zaciętrzewiała się Mańka — przecie wy go cenicie? kochacie? —

— Dobry człowiek — precedził wolno Rykoń przez zęby, jakby zatrzymując dla siebie bliższe wyjaśnienia.

— Któż teraz w Niespusze zajmuje się gospodarstwem w nieobecności właściciela?

— Są tacy — uśmiechnął się Rykoń tajemniczo.

I, dając folgę częściowej swej opinii o Czemskim, rozśmiał się na dobre:

— Tam z gospodarki tyle tylko, ile z nieba deszczem kapnie, a ziemia da z nieprzymuszonej woli.

— Bo to człowiek zajęty nauką, myśleniem... rozumiecie, sąsiedzie?

— Rozumieć to ja... mogę, panienko. Tylko jeżeli człowiek o jednym myśli, a drugie robi, nie spora to robota. — — O panu Czemskim ja źle nie mówię; naukę ma — kiedy mu się ta nauka lepiej w głowie ułoży, będzie on jeszcze lepszy, niż wielu innych.

Nie zadowolila Manieczki ta ocena. Pomyślała, że Rykoń jest zarozumiały, ale i dobry



zarazem: krytykuje Stefana, jednak chce się przyczynić do jego uwolnienia. Że jest przytem otwartym sprzymierzeńcem ojca i jej samej — nie trzeba go zrażać.

— Do widzenia już, sąsiedzie. Mamy sprawunki w mieście, a dzień krótki.

— W takie konie, o wał do Warszawy zajeżdżały przed nocą — odrzekł Rykoń, lubując się widokiem kasztanów, które drgnęły do biegu za poruszeniem lejca przez woźnicę.

— Bywajcie zdrowi, Janie — rzekła serdecznie Mańka, wyciągając rękę.

— Dziękuję pięknie za rozmowę po drodze — odrzekł Rykoń. — Lećcież, panienko nasza, kiej ta gołąbka, i powracajcie. Chowajcie się ojcu i nam na szczęśliwą pociechę. Niech was Bóg wedle życzenia zdarzy — — —

Z wdzięcznego serca mówił, więc pocałował ją w rękę.

Mądry i miły był ten Jan Rykoń. Aż łzy stanęły w oczach Magdy i marzły w zimnym powiewie, który szedł naprzeciw sunącym znowu szybko sankom.

Wpadły nareszcie sanki pędem na rynek Łowicza, rozległy i pozorny.

Kto nie wie, lub nie pamięta, że Łowicz był przez wieki wspaniałą siedzibą prymasów Korony i Litwy, że z warownego ich zamku pozostało tylko rumowisko, że poczet dostojnych tu murów nazywano niegdyś »polską

Norymbergą« — ucieszy się i z resztek, zwłaszcza w dzień słoneczny. Tak weteran zniedołężniały miewa pod dobry humor w swych wspomnieniach cenne przebłyski. Więc stoi jeszcze w pierwotnej ozdobie, bocząc się od rynku, wielka fara-kolegiata dwuwieżowa, erygowana przez prymasa Macieja Łubińskiego w XVIII wieku, na ciemnej pleśni murów błyskając złotymi herbami; niejeden dom swym rozpartym frontem wspomina dawnych mieszkańców, dygnitarzy; niejeden wynosi się nad pospólstwo dach kościelny lub świecki. — — Ale szczątki tylko, wszędzie szczątki! — — —

»Babska rzecz narzekać!« — mówią dzielni, jak mickiewiczowski Robak. Wierzyć raczej w życie nieśmiertelne, tworzące i dzisiaj nie tylko jutrzejsze łzy, lecz jutrzejszą chwałę.

Oto rynek łowicki, pełen pięknego, zdrowego ludu. Targ, nie targ, ale przed świętami każdemu wypada krzątania. Wygolone twarze mężczyzn weselą się żywo i dowcipnie, na przekorę miernocie doli. To nie twarze niewolników, ani zwyciężonych! Piękne są oczy ich żon i sióstr, a grzbiety harde, a całe postacie pełne lubego daru i rodzajności. Wolałbyś widzieć tu wśród zachowanych grodów i kaszteli przejazd opasłego możnowładcy przez szpaler głów poddańczych, upodlonych? Dalibóg, lepiej dzisiaj!

Skrzą się barwy ubiorów, przeletnie kwiaty,

niewiedzące nawet zimą. Tylko »mieszczanie« z parafii od fary i od świętego Ducha, choć z tej samej księżackiej gliny, noszą się odmiennie, w lejbikach i spencerach czarnych, suto taśmami szamerowanych, w kapeluszach z szeroką, czarną wstęgą. Podobnie i ci z wiejskiej parafii, z Kocierzewa. Ale że to księżak musi mieć na sobie jakąś błyskotkę, czarni parafianie noszą mankiety z jaskrawych paciurek.

Ktoby zaś chciał się nauczyć wszystkich odmian mody, odróżniających parafie, niech pójdzie do muzeum ziemi łowickiej, gdzie mu pani doktorowa Chmielińska pokaże te ubiory i objaśni niechybnie.

Manieczka miała do teźże znawczyni ludu pójść po radę co do zakupów na święta i u niej się pożywić, gdyż trudno było dwóm młodym dziewczynom wchodzić do publicznej garkuchni. Ale przedtem pobiegła na pocztę, gdzie chciała osobiście włożyć do skrzynki list, misternie pomysłany. Od czasu uwięzienia Stefana myślała o tem, jakby mu dać znać o sobie, okazać swą solidarność, pamięć, więcej jeszcze — ale dumna nawet w swych zapędach, panna Broniecka nie zdecydowała się na wysłanie listu wprost do więzienia. Nie licowałyby to z jej godnością panięską, mogłoby ściągnąć śledztwo do domu ojca lub ciotki, a wreszcie list mógł nie być wcale do-

ręczony Stefanowi. Przepętała chytrze Manieczka w Warszawie, jakie są przepisy co do listów i odwiedzin więźniów, i doszła, że wolno ich odwiedzać najbliższej rodzinie. Zaraz stanął jej w oczach obraz ojca Stefana, mądrego i dobrego doktora. Ten musi odwiedzić syna, albo z nim korespondować. Ale trudno znowu pisać do nieznanego, choć starszego człowieka — byłoby to coś w rodzaju oświadczenia się z uczuciami — i to komu? — ojcu Stefana, kiedy z nim samym nie było wcale wyraźnego porozumienia. Póki Manieczka spodziewała się w Warszawie, że Stefan lada dzień będzie wolny, odwlekała projekt listu; ale gdy nadzieje zawiodły i stało się prawdopodobnem, że Stefan święta spędzi w zamknięciu, Mańka codziennie myślała o sposobie trafienia do tych wrogich cel, czy podziemi. — Aż wpadła na pomysł, którego się chwyciła. Dostała wcześniej od zakrystyana z Mielna poświęcony opłatek i postanowiła przesłać go doktorowi Czemskiemu z przeznaczeniem dla Stefana. Koncept listu był prosty i serdeczny, jak Manieczka. Podpisała list imieniem i nazwiskiem i prosiła, aby pan doktor doręczył, jeżeli może, synowi ten opłatek z pszenicy łowickiej od sąsiadki i córki przyjaciela pana Stefana z życzeniami wszelkiej pomyślności i rychłego powrotu. Doktor jest dobry — myślała — więc list mu uczyni przy-

jemność; mądry — zatem odda lub prześle opłatek ostrożnie. A Stefan, oczywiście, zrozumie i odczuje intencję.

Ten list ucałowany wsunęła Manieczka starannie do skrzynki pocztowej w Łowiczu.

## XVI.

Jeszcze przed uwięzieniem Czemski myślał o założeniu szkoły rolniczej w Niespusze, lecz nie zajął się tą sprawą z należytą starannością, ponieważ projekt Godziemby i jego współników zawierał wiele punktów spornych. Stefan zasięgnął rady kilku znajomych, a przede wszystkim kolegi swego ze szkół i ze wspólnych działań obywatelskich, Stanisława Wintera, szczerego przyjaciela ludu, patentowanego agronoma, który zarządzał wielkimi cudzemi dobrami na Kujawach. O projekcie dowiedział się też Edmund Owocny i zapalił się do niego zawzięcie, twierdząc, że to jego własny pomysł. Oczywiście, ci panowie byli zdania, że szkoła pozostać musi pod ich przeważnym wpływem; Owocny zaś sam się ofiarował na dyrektora i nie chciał dopuścić do zarządu nikogo ze »strupieszalej, biurokratycznej szlachty«. Gdy Czemski zauważył, że w takim razie Godziemba i towarzystwo rolnicze nie dadzą pieniędzy na kupno Niespuchy i na insta-

lacyę szkoły, profesor oburzył się na ich sobkostwo, wreszcie zapewnił, że sam znajdzie fundusze potrzebne u osób »o niepodejrzanych rękach«, byle tylko Czemski trwał w zamiarze sprzedania Niespuchy po cenie kupna, a może i taniej, na cel tak doniosły i patryotyczny. Czemski nie odmawiał, lecz nie zobowiązał się formalnie. Nie chciał tymczasem powiedzieć profesorowi, że na dyrektora stosowniejszy byłby Winter, wyborny agronom i człowiek spokojny, nie wzniecający rewolucyi ideowej w każdym ognisku, do którego się przysiąda. Ale Winter miał swoje dobrze płatne zajęcie, dopiero co ożenił się i dorabiał się majątku. Nie zapomniał też Czemski o tem, czego się napatrzył w Modrzewcu. Godziemba razem z zorganizowaną gromadą tęgich rolników — ci, niema co mówić, prowadziliby najlepiej szkołę rolniczą w Niespusze, fachowo i praktycznie. Gdyby tylko nie odmienne ich poglądy na lud i postęp! — Wreszcie pomysł był ich, Godziemby i towarzyszków jego, nie profesora Edmunda, który pragnie stworzyć sobie w Niespusze ognisko agitacyjne w postaci szkoły rolniczej ludowej, czy innej instytucyi.

I projekt chwiał się, przewlekał, choć nie zamierał przez parę miesięcy, gdy w początku grudnia nastąpiło aresztowanie Czemskiego w Warszawie. To, naturalnie, przerwało możliwość porozumienia się między więźniem

a światem zewnętrznym, zwłaszcza w sprawie tak skomplikowanej.

Więzienie Czemskiego trwało już trzy miesiące; korespondencya z nim, bardzo trudna, tyczyła się głównie jego uwolnienia, które, pomimo winy, jak mniemano, dość lekkiej, odwlekało się nadmiernie. Ale Owocny liczył na nie z pewnością, bo nie przestał przyjeżdżać często do Niespuchy i pracować nad przygotowaniem gruntu i umysłów do przyszłej szkoły rolniczej według swego programu. Przytem gospodynię Agatkę, niepewną o przyszłość, pocieszał, że cokolwiek się stanie, on, Owocny, nie da jej zmarnieć.

W pierwszych dniach marca długotrwała odwilż wypila już śniegi, które czały się tylko po głębokich rowach, lub na północnych stokach — jak brudne, dziurawe płachty, przylegające do ziemi, już dyszącej niecierpliwością wiosny. Ruń ozima, ślizka jeszcze i przybita, budziła się zaledwie na rolach cieplejszych, lepiej wynawożonych. Wcześniej przybyłe skowronki napełniały powietrze trylowaniem elektrycznym. Gdy na sławoszewskie pola, drenowane już od tygodnia, wyprowadzono pługi, gorzej uprawna rola w Niespusze i na włociańskich działkach Mielna była jeszcze tak rozmiękła, że nie zaczęto jej orać. I na drogach polnych leżało przepaściste błoto.

W błocie zaszargani po kolana, Owocny i Winter kończyli inspekcję pól; towarzyszył

im karbowy Durmaj, mocno przeciwny sprzedaży folwarku, którym zarządzał obecnie bez żadnej kontroli. Profesor, powołując się na jakieś dawniejsze polecenie Czemskiego, zdołał nakłonić Wintera do oględzin Niespuchy w celu ocenienia jej wartości i naszkicowania planu przyszłej fermy doświadczalnej. Agronom, szorstki i prawdomówny, nie owijał w bawełnę swych spostrzeżeń i uwag.

— Tu, panie Durmaj, partacka robota: przegon krzywy i niema spustu do rowu; dlatego też zboże wyprzało.

— Na tem polu — bronił się karbowy — żeby nie wiedzieć jak uprawić, zboża porządnego nie będzie. Sap szczerzy.

— Tembardziej należało dopilnować przegonów. A macie też analizę podłoża?

Chłop nie zrozumiał, lecz wiedział dobrze jedno, że trzeba zniechęcić tych panów do kupna folwarku; więc odpowiedział:

— Nijaka tu analiza, panie, nie pomoże, ani jensze narzędzie. Siał gęsto, odsiał na wiosnę, gdzie potrza, to się przy dobrym roku jeszcze coś zbierze. To nie sławoszewskie gronta!

— Jednak na oko gleba bardzo do Sławoszewa podobna — odrzekł Winter — i musi być taka sama, tylko tu uprawa — no!

Profesor nie mieszał się do rozpraw technicznych, chodziło mu o inne wnioski.

— Przyznajecie więc, panie Stanisławie, że folwark jest w miernej kulturze?

— Wcale nie w kulturze. To jest gospodarka pierwotna; wszystko tu jest dopiero do zrobienia.

— A-ale! — oponował Durmaj — trzeba było wiedzieć, jak tu na polu wyglądało, kiedy nastął. Odrazu i święty kamieni w chleb nie przemieni.

— Kiedy tu ani kamieni, ani chleba na polu nie widać — rozśmiał się Winter.

— Owa! toć się mówi tylko dla przyrównania!

Odesłano karbowego, gdyż, po wskazaniu granic, mało na co był potrzebny. Owocny mógł dalej ciągnąć swój wywiad:

— Taki więc folwark opuszczony powinien być znacznie tańszy, niż ziemia w okolicy?

— Zapewne, ale niewiele. Gleba tu bogata, wielkich nakładów nie potrzeba — tylko uprawy, do licha! Przecie patrz pan tutaj, naprzykład: chyba sochą orał ten karbowy? — są całe pasy ziemi nieporuszonej!

— Bo widzicie, panie Stanisławie: trzeba, aby nam Czemski sprzedał jak najtaniej — na taki cell

— To już jego rzecz — odrzekł sucho Winter — ja, jeżeli mam taksować, muszę to zrobić bezwzględnie.

— Tak, tak, nie przeczę — stropił się trochę profesor. — Więc jakże uważacie?

— Sądzę, że folwark jest zdalny na stację doświadczalną. Figura dobra, gleba też dobra

i dosyć rozmaite. — — Cena ziemi w okolicy jest wiadoma; odliczyć tylko koszt drenowania tego pola, na którym stoimy, i paroletni wydatek na sztuczne nawozy... Spiszę to w domu, z planami majątku pod ręką.

Tymczasem obchodzenie pól w Niespusze przez Owocnego z nieznanym panem, zapewne »omeńtrą«, wywarło silne wrażenie w Mielnie. Słyszano już uprzednio od profesora, że cała Niespucha ma być obrócona na użytek ludu, że staną tam szkoły i różne domy, wobec których dom gminny w Mielnie staje się niepotrzebnym. Zwłaszcza parobkom zawróciła w głowach wieść, niewiadomo skąd pochodząca, że folwarczek będzie eksploatowany na rzecz chłopów i zyski z gospodarstwa mają być rozdzielone między tych, którzy tam rolę uprawiać będą. Kto się zapisze do wspólnictwa Niespuchy, będzie robił pługiem, kosą, czy przy maszynie, ale za to otrzyma swoją część »sumienną« zbioru i wszelkiego dobytku.

Tak opowiadał Michał Bembenista, parobek od Rykoniów, i coraz częściej wymykał się z domu do kompanii z innymi parobkami i gospodarzami, którzy »nowe czasy rozumieli«.

— Już tam za granicą takie porządki zaprowadzone. — A potem, kiej zechcemy, to se i folwark rozdzielimy między te ręce, co się nad nim siłowały.

Nie wszyscy i niezupełnie wierzyli Bembeniście, że to głowę miał gorącą, ale i gospodarze osiedli, Kołaczyński, Goździk, Maryniak, powtarzali, że Niespucha ma być cała urządzona dla gminiaków na różne pożytki, więc dom, który się buduje w Mielnie z ciężkich składek i wielkim kosztem, nic wart nie będzie — tak to im mówił sam profesor Owocny, dobry przyjaciel Mielna, nie to, co Jan Rykoń, który, z panami zmówiony, prze tyło gromadę do tego, żeby się panom i jemu kłaniała.

Obecnie przyjazd Wintera i »mierzenie pól« Niespuchy wzmogły łakome pogwary, zwłaszcza w tem powietrzu, coraz wonniejszem wiosną, pełnem głodów i obietnic. Siarczyste zaciekawienie ogarnęło wieś; wielu podchodziło do granicy Niespuchy, aby popatrzeć, co się tam robi. Ale krążenie trzech mężczyzn po rozmiękłych drogach i polach było zupełnie zagadkowe, zwłaszcza, że ten trzeci, nowy, nie miał ani czapki z gwiazdką, ani żadnego pozoru urzędowego. Owocny, prawie ślepy, nie widział tych zwiadów, Durmaj nie kwapił się wcale przywołać ciekawych, a Winter nie zwracał na nich uwagi.

Bembenista uciekł od Rykoniów do chaty Mateusza Kołaczyńskiego, gospodarza, z którym przyjazną miał komitywę. Mateusz, choć mruk, miał swój rozum dla siebie i wielce był niechętny Rykoniowi; lubił też przy kieliszku

przysłuchiwać się narzekaniom na stare porządki. Niebogaty był, osadę miał tylko połowiczną i gospodarstwo marne. Michał dogadzał mu swą śmiałą wymową, a czasem i gracką wesołością, których to zalet brakło Mateuszowi.

Wpadł Bembenista do chaty i zawołał:

— Mierzą tam dla nas Niespuchę, a my po domach siedzimy, abo się od granicy gapimy, kiej te cieleta zaparkanione! Rusz się, Mateusz, pojdziewa się naszego profesora rozpytać.

— Pytaj się sam, to mi powisz.

— Jakże to będzie? ja sam tylko parobek — gospodarza tam potrza, a mądrego!

— Gadał ja nie będę.

— Powiedz-no tylko »pochwalony«, abo inaczej, ja się już dalej wywiem.

— Kiej tak, to dobrze.

Ruszyli najkrótszą drogą po miedzy i doszli do dworku w Niespusze, gdzie zastali profesora, siedzącego beczynnje, i Wintera, pochylonego nad mapą folwarku.

— Przyszliśmy się panu profesorowi pokłonić... Kołaczyński i Bembenista — mruknął Mateusz na początek, wedle umowy.

Owocny aż podskoczył z radości:

— Witam, witam kochanych panów i braci! Panie Winter! dwaj najlepsi nasi ludzie z Mielna, gospodarz i pracownik rolny. — Siadajcież, gdzie możecie, w tym osieroconym domu.

Winter skinął głową, nie odrywając się od

roboty, Owocny zaś obmacał gości jak najuprzejmiej i rozpoczął rozmowę:

— Cóż, panie Kołaczyński, wiosna? — —

— A przychodzi — odrzekł Mateusz.

— Żeby nam tylko co dobrego przyniosła — zagadnął Bembenista.

— Niewątpliwie przyniesie. Oto właśnie pracujemy tu dla was. Niespucha stanie się waszem ogniskiem oświaty.

— To niby ma tu być jeno szkoła? — zapytał Bembenista, źle ukrywając rozczarowanie.

— Szkoła rolnicza dla włościan, przy niej różne inne nauki. Gmachy staną wielkie, w których będziecie mogli i zbierać się, i radzić, i zabawić się czasem. — —

— Za te domy panowie zapłacą, czy znowu z nas, gminiaków, składkę z morgi ściągac będą? — zapytał Kołaczyński, którego, jako posiadacza ziemi, ta sprawa bezpośrednio obchodziła.

— Budowa i założenie wszystkiego, co się tu urządzi, nikogo z was nic kosztować nie będzie. Cały folwark kupią dla was, na wasz wyłączny użytek, lepsi przyjaciele, niż ci, którzy wam ten dom ludowy w Mielnie doradzili.

— Zdawna my wiemy niektóre, na ten przykład Mateusz i ja, że pan profesor niby ojciec nam życzliwy — rzekł pochlebnie Bembenista — ale jak to z tym folwarkiem będzie

i komu z nas go panowie nadzielicie, tego my nie rozumiemy i przyszedź się wywiedzieć.

Profesor skupił się, miarkując, że Bembenista zbyt dosłownie pojmuje ofiarowanie folwarku ludowi, i jął tłómaczyć:

— Uważacie, mój przyjacielu, będzie najprzód tak: pan Czemski sprzeda Niespuchę gronu ludzi, oddanych wam całym sercem, do których należą ja i tenże pan Czemski, i kilku innych. My tu założymy własnym kosztem szkołę i urządzimy na folwarku wzorowe gospodarstwo. Dochody z folwarku będą używane najprzód na pokrycie kosztów budowy i udoskonalenie gospodarstwa. Za lat kilka, gdy się zapomożemy i wzmocnimy, może będziemy obracali dochody na inne wasze potrzeby: na dawanie wam po niskiej cenie dobrych nasion, na pożyczki i zapomogi dla biedniejszych... Wszystko, co tu zrobimy, będzie wyłącznie dla was.

Chłopi kiwali głowami, jakby przez grzesność. Wreszcie Bembenista, z uśmiechem napół przymilnym, napół zuchwałym, zaproponował:

— A przepraszam pana profesora, nie lepiej to byłoby tak, jako slyszalem, że w cudzych krajach mają: szkoła szkołą — ale my wedle folwarku ciekawe jesteśmy. Tuby nas, na ten przykład bezrolnych, do folwarku wziąć, robotę nami podzielić, a co się zbierze i przychowa, też dzielić między te same pracowni-

ki? — — I robota byłaby piękna, bo każdy robiłby, jak dla siebie.

— To się nie da zrobić — odrzekł zimniej profesor. — Słyszeliście coś, przyjacielu, o fabrykach, w których robotników dopuszczają do udziału w zyskach, ale w gospodarstwie rolnem to się jeszcze nie praktykuje i dużo trudniej byłoby obliczyć. Zresztą — rzecz przyszłości — może być!... Tymczasem będziecie chyba radzi mieć pod bokiem dla waszych chłopców szkołę rolniczą, a dla was miejsce zebrań i doskonałe wzory gospodarstwa?

— A no, myśleliśmy, że kiej łaska, to już łaska — rozśmiał się Bembenista, pokazując zęby, raczej drapieżne, niż wdzięczne.

Owochy mrużył oczy, przecierał szkła okularów i mówił dalej delikatnie:

— Niewłaściwie mówicie: łaska. Ani to łaska, ani my panowie jacyś; jesteśmy, jak wy, z ludu, tylko doświadczeni. Pragniemy tu urządzić dla was rzecz pożyteczną, ale w miarę możliwości i za waszą nieprzymuszoną zgodą. Zgadźcie się przecie na szkołę rolniczą?

— Co się ta zgadzać mamy na cudzem? Żeby nam dali Niespuchę, tobyśmy wiedzieli.

— Nie o to pytam, ale czy wam ta szkoła jest po myśli?... Przecie to zakład użyteczny dla całej okolicy, dla kraju — —

— To niby nie dla nas tylko, Mielniaków?

— Dla was przedewszystkiem, jako najbliż-



szych sąsiadów, ale i dla innych. Jesteście przeciw obywatelami kraju!

— Takie tam nasze obywatelstwo! Chudziaki my, panie profesorze.

— Inna rzecz. Jednak rozumiecie, zdajecie sobie sprawę, że taka szkoła jest dobrodziejstwem dla ogółu? — —

Bembenista wzruszał ramionami, a z oczu mu błyskała buntownicza ironia. Aż się Kołaczyński za niego zawstydził i przemówił:

— Niechta będzie szkoła — nie przeszkadzamy.

Od pewnego czasu Winter przerwał robotę i słuchał, nie mieszając się do rozmowy. Gdy się zaś ta urwała, bez zadowolenia czyjokolwiek, i włościanie odeszli, agronom zapytał profesora:

— Czy pan ma zupełną pewność, że Czemeski folwark sprzeda i że powstanie tu instytucja, którą z takimi szczegółami obiecujemy?

— Liczę na Czemeskiego i on mi zupełnie ufa — odrzekł Owocny, starając się odętą powagą twarzy zastąpić realne uzasadnienie swych działań.

Ale Winter ze słyszanej przed chwilą rozmowy nabrał różnych wątpliwości; że zaś lubił jasne sytuacje, nacierał dalej na profesora:

— Bo gra wydaje mi się niebezpieczną. Czemeski siedzi w więzieniu, niewiadomo, kiedy wyjdzie i co pocznie. Wiem, że zamiar kupna

i założenia powzięli ludzie niepożądani i że Czemeski chciał ich zmajoryzować w radzie szkolnej. Ale teraz pan rozgłasza, że my kupujemy Niespuchę i zakładamy szkołę — — to jest kto? — — Czy pan zebrał inne gremium i pieniądze?

Owocny odpowiedział pośpiesznie, jakby pragnąc pozbyć się badania:

— Czemeski zgodzi się na pozostawienie prawie całego szacunku na hipotecę. Mamy zapewnioną sumę na początek — — z folwarku wyrobimy się...

— Przepraszam! — odparł nieustępliwy Winter — to się nie zgadza z tem, co pan opowiadał, choćby przed chwilą. Folwark ma się wyrabiać, czyli niema sumy dostatecznej nawet na kupno. Za cóż tedy będziemy stawiali budynki, organizowali szkołę i fermę?

— Znajdziemy ofiarnych, niech was o to głowa nie boli — zniecierpliwził się profesor.

— Owszem, muszę wiedzieć, co ja tu robię i dla kogo. Mam wiele przyjaźni dla Czemeskiego i gotów jestem mu pomagać, ale muszę znać dokładniej jego zamiar.

— Jakto? — więc mnie, towarzyszewi, i grupie »Ludowca« odmawiacie pomocy?

— Zasadniczo nie odmawiam. Wierzę w wasze szczerę chęci, ale nie w zmysł praktyczny. Nic jeszcze niewiadomo, nawet kto da pieniądze, a już pan dajesz obietnice jakichś gmachów, może nawet falansteru rolnego! Przecie

to gorączkuje chłopą, który nic z tego nie rozumie!

— Trzeba stawiać wysokie ceny wytyczne, trzeba pobudzać wyobraźnię ludu, aby go do celów tych zagrzać — próbował bronić się profesor.

— W każdym razie — odrzekł Winter — trzeba się opierać na realnych podstawach, których tu jeszcze nie widzę. — — A dlaczegoż pan zniechęca mielniaków do tego domu ludowego, który sobie budują?

Profesor najężył się okrutnie.

— Do tego domu?! Nie wiecie, jak on powstał i co to za forteca obskurantyzmu!

— Wiem, opowiadał mi Czemski. Nie widzę w tem żadnej tragedyi. Dom buduje przecie gmina.

— Za pożyczkę tych wsteczników, Godziemby i jemu podobnych!

— No, za pożyczkę... przecie na lichwę nie pożyczyci i domu nie zagarną. A dom jest już faktem, zasadniczo dodatnim, i szkoła w Niepsusze, jeżeli nawet stanie, tamtego domu ludowego nie zastąpi. Więc pocóż go dyskredytować?

— Ależ powtarzam, że to forteca wstecznictwa, nowa Bastylia! Ten dom chcą wyżyłkować dla swoich celów wrogowie ludu i nasi, zapomocą przekupionego mielniaka, Jana Rykoniał

— Rykoń przekupiony?... — wzruszył ramionami Winter i przestał się spierać.

Owocny, poczytując to za kapitulację, chciał rozczulić nieubłaganego agronoma:

— Kochany panie Stanisławie! nie znacie nędzy i przewrotności tych knoń...

— Może ich nie doceniam. Ale wiem jedno, że ja tu nie wydam żadnej opinii na piśmie o szkole, ani o fermie, póki ten projekt nie będzie pewniejszy. Nie żałuję, żem przyjechał; gdy rzecz cała będzie przychodziła do skutku, będę miał o gruncie wyobrażenie.

Stanowcza niechęć odbiła się w głosie i postawie Wintera tak wyraźnie, że zmroziła Owocnego ostatecznie.

— Więc mnie opuszczacie?

— Wyjeżdżam.

— Ha, trudno. Ja tu jeszcze pozostanę; przywykłem do samotnego pionierstwa.

I rzeczywiście, za godzinę profesor pozostał we dworku bez pomocnika. Przywołał Agatkę i poprosił, aby go zaprowadziła do Mielna, do chaty Maryniaka. Sam nie chodził do wsi, gdyż psy, nieprzywykłe do jego postaci, srodze go nie lubiły.

Szli tedy we dwoje w grupie rozrzewniającej: dziewczyna, zawinięta w chustę, i mężczyzna — krótkowidz. Głaskały ich po skórkach powiewy łagodne, zaprawne wieścią, że tam daleko, skąd wiatr wieje, już nowa zieleń roztacza swą kusicielską woń młodości. Ale gdyby

nawet chcieli wyskakiwać z ochoty, jak nimfa i satyr, nie mogli, bo tłusta, rozmiękła ziemia przytrzymała im stopy. Przez błoto brnęli w kraj wiosny.

Jednak profesor zdołał oderwać ducha i kalosze od prozy życiowej do wyższych rojeń i przemówił głosem zdyszczanym:

— Agatko — —

— Czego trzeba? podać rękę?

— Tymczasem nie... Jedyna jesteś, która mnie rozumiesz w tym kraju, pełnym jeszcze panowania ciemności. Jedynaś ty, córko ludu...

— Ee, córką to ja jezdem ojca i matki, nawet że rodzice mieli swój sklep w Sochaczewie... Ale pana lubię.

— Lubisz, Agatko? — czy to prawda? czy mówisz z namysłem?

— Jak Boga kocham.

— Wolisz, niż pana Czemskiego?

— A bo i prawda, że wolę... Pan Czemski to kobiety nie ma za człowieka!

— I wolisz, niż tego... Antka, którego u ciebie zastałem? — dodał profesor ciszej i boleśniej.

— Niech-że pan nie wydziwiał! Co mnie Antek? chłop! Ja do ludzi jenteligentnych przywykłam.

— Więc zgodzisz się na to, cośmy mówili... żeby mi towarzyszyć na resztę mego pracowitego życia?

— A no już... — uznała za stosowne za-

wstydić się trochę — tylko wiedzieć muszę, na co idę — bo na służącą już nie chcę.

— Na towarzyszkę równouprawnioną — rzekł Owocny uroczyście.

— To niby... na żonę? czy jak?

— Między nami ślubów nie potrzeba — bronił się słabo profesor.

— To nie! to nic z tego! nie chcę już, żeby mnie ludzie palcami wytykali!

— Bądźmy wyżsi nad przesady, Agatko. Czy nam klecha zwiąże ręce, czy nie, będziemy się kochali do śmierci. Nie pozwolę cię nikomu nazywać inaczej, jak profesorową.

— A ja chcę tak być zapisana! Dosyć mam tego, żeby mi lada chłop mówił po imieniu i jeszcze się przystawiał!

Owocny zadumał się, jakby walczył z sobą, choć wiedział już od paru dni, że inaczej, jak pod tym warunkiem, nie dostanie Agatki. Ale chciał wygrać uroczyście swój największy i jedyny atut:

— Masz słuszność, Agatko: stanie się, jak pragniesz — pobierzemy się urzędownie.

Ciepło uczyniło się dziewczynie od zadowolenia miłości własnej; ujęła profesora pod ramię, podziękowała mu przysunięciem do boku całej swej jędrnej postaci, aż mędrzec zdziecinniał, jał podrygiwać i majaczyć.

— Więc zatem... cóż to chciałem? — aha! — dzisiaj na noc zabieramy się do Warszawy —

prawda? — co tu czekać? — wiosna idzie...  
Mój ty kwiatuszku polny! — —

— Dać pokój! — odsunęła się Agatka —  
gdzież tu się całować na powietrzu? — Mielno  
pod nosem.

## XVII.

Od czasu uchwały o budowie domu ludowego zajątrzyły się w Mielnie pomruki przeciw Rykoniowi, który, choć nie wójt, ani sołtys, narzucał gminie swoje plany. Pomruki urosły jeszcze, gdy przy składce gminnej zwyczajnej zaczęto ściągać dodatkową na budowę domu. Niechętni od początku Goździk, Kołaczyński, Orlik, Maryniak sarkali na ten podatek, powtarzając, że takie wymysły niech sobie panowie z własnej kieszeni opłacają, kiedy im pozwoliliśmy, nie żeby miała iść na to ciężka krwawica gminna. Gdy przed zimą założono fundamenty, zaczęto drzewo zwozić na wiązania i obrabiać podług wymiaru, inne wieści obleciały Mielno. Rykoń, który mocą uchwały gminnej został wykonawcą i kasyerem budowy, otrzymywać miał od panów większe sumy, niż te, które wydawał na roboty mularskie i ciesielskie. Wyrachować to się on potrafi, bo fizyk jest, ale co do kieszeni schowa,

to jego, a na gminiaka zawsze grosz więcej przy składce wypadnie.

Nikt tego w oczy nie śmiał powiedzieć Rykoniowi, bo się bał jego ciężkiej ręki, któraby pewnikiem takie słowa napowrót w gębę wepchnęła mówiącemu, a możeby mu i zęby połamała. Ale Jan czuł około siebie zacieśniające się kręgi nieprzyjaźni i obmowy, wietrzył — od kogo pochodzą, i że wzmagają się po każdym przyjeździe do wsi profesora Owocnego. Nie był Jan obojętny na ludzkie gadanie, owszem — kochał ludzi i, dbając o ich pożytek, spodziewał się od nich wdzięczności i dobrej sławy; ale gdy napotykał ich opór lub nieufność, nie opuszczał rąk, robił swoje dla nich przemocnie, według swego rozumienia.

Nie szedł też sam przeciw całej gromadzie; miał przyjaciół zupełnie oddanych, jak poczciwy Selwestrowicz i rozsądny Pełka; miał i zwolenników z zastrzeżeniami: wójta Skierskiego, który bał się zbyt władz, Workowskiego, który trochę zazdrościł Rykoniowi przewagi i znaczenia; miał wreszcie nawet większość stronników jeszcze niedawno w gminie, skoro uchwałę o budowie domu przeprowadził. Ale teraz, pod wiosnę czuł jakby wsteczny odpyływ zaufania gospodarzy, a przyrost buntowniczego usposobienia u parobków i wyrostków. Wiedział, że to robota profesora, który i po zakładach szkolnych w Niespusze obiecywał niestworzone rzeczy i jawnie działał

przeciw budowie domu gminnego w Mielnie. Z profesorem nie widywał się; obaj nie przagnęli spotkania; ale gdy mu powtarzano rozsiewane przez Owocnego wiadomości i rady, Rykoń nie powściągał oburzenia:

— Wilka puszczacie do owczarni, abo paskudnego psa do izby! Ani on wie, co tam jeszcze będzie w Niespusze, a gada, aby was tylko od porządnej roboty we wsi odciągnąć.

Wielu słuchało Rykonia przychylnie, ale wielu też dawało ucho obietnicom profesora. Żeby on jednak przypadkiem prawdę mówił, byłoby dobrze: wszystko w Niespusze darmo mieć, nie zaś tutaj wielkim kosztem dom gminny stawiać i składkę wyższą płacić, która teraz, naprzykład, na przednówku, wypada niaby głodnemu ujęcia chleba z przed gęby. Żeby przynajmniej z tą jedną ratą wiosenną poczekali — —

Z namysłów i pogwarów w parę dni urosła niby cicha uchwała: nie płacić teraz podatku do składki na budowę — niech go do raty jesiennej odłożą! Dawni przeciwnicy domu ludowego oświadczyli głośno, że płacić nie będą, a nawet i zwolennicy ociągali się, rozumiejąc, że gdy inni nie wnoszą należności, może cała budowa stanąć, a tymczasem ich pieniądze przepadną. Tylko Jan Rykoń, Workowski i Selwestrowicz wnieśli z Mielna całą ratę wiosenną, przed terminem, manifestacyjnie.

Tymczasem pieniądze były natychmiast potrzebne na wypłaty majstrom mularskim i cieśli, i wpłynąć miały z raty gminnej według preliminarza budżetowego. Rykoń, kierujący robotami, rozgniewał się mocno na gromadę, ale gniew nie wywoływał w nim rozpacz, ani słabości, owszem, zawziętość do wykonania dzieła pomimo wszelkich przeszkód. Poczł jednak, że sam tu nie poradzi — i po krótkim namyśle wyruszył do pana Bronieckiego, do Sławoszewa.

Ten początek wiosny był wszędzie zamącony przez troski. I dwór sławoszewski wydał się Rykoniowi ciszej zadumanym, niż zwykle, a dziedzic pochmurnym, choć przyjął sąsiada mielniaka uprzejmie.

— Przyjechałem — rozpoczął bez przebiegów Jan — do pana dziedzica, jako do dobrego radcy. Siła jest zawichrzenia w Mielnie, a wszystko dlatego, że w niewiadomości zostajemy, co tam w Niespusze dla nas szykują. Tobym ja wiedzieć rad, panie dziedzicu, bo nie wiedzący człowiek może przeciwie się robocie dobrej, albo i przystać do ledajakiej. Z panem Czemskim nie zdarzyło mi się gadać jesienią, przed jego aresztowaniem. A ci, którzy tam teraz za niego robią i obiecują, to — z przeproszeniem uszu pańskich — honcwoły są.

— Któż tam co robi i obiecuje? — żywo zagadnął Broniecki.

— Ten profesor Owocny — czy jak mu tam? — mało że nie mieszka w Niespusze, tak często dojeżdża, a ile razy przyjedzie, zaraz się nowe bajdy po wsi lęgą, że to w Niespusze wszystko darmo będzie dla gminiaków: i szkoła, i dom ludowy, i nawet zboże rozdawać będą. A niby dlatego nasz dom gminny w Mielnie ma być niepotrzebny.

— Rany Boskie! co też opowiadacie?! — zawołał Broniecki wzburzony.

— Miarkowałem i ja — odrzekł Rykoń — że ten profesor nie mówi akuratnie, albo i prosto łże. Jednak on się tam przecie z panem Czemskim kuma, to coś w tem prawdy musi być? — — Jeżeliby pan dziedzic wiedział, co pan Czemski zamysłła w Niespusze urządzić, dopraszałbym się łaski, żeby i mnie powiedzieć, bo tak człek jest w ciemności i nie wie, co gromadzie doradzić.

— Wam powiem, Janie, boście chłop w Mielnie jedyny, który rzecz zrozumie i przed czasem jej nie rozgłosi. Byłem na tej radzie, gdzie panu Czemskiemu proponowano nabycie Niespuchy na szkołę rolniczą dla włościan.

— Patrzajta ludzie, jakem ja to zgadł, że pan dziedzic wie o wszystkim — uradował się Rykoń.

— Nie ciescie się zanadto, bo sprawa nie postanowiona i przzerwana została przez uwięzienie pana Czemskiego. Niespuchę nabyć chce

pan Godziemba, jako przedstawiciel towarzystwa rolniczego, i założyć tam szkołę rolniczą.

— No, to chwała Bogu! — rozpromienił się Rykoń — i szkoła będzie dobra i pan Godziemba nie popsuje nam domu gminnego w Mielnie, kiedy go sam z nami zakłada!

— Jakbyście wiedzieli, sąsiedzie. W tem tylko sęk, że projekt niegotowy; pan Czemski chciał ze swoimi przyjaciółmi naradzić się, kiedy go capnęła policya w Warszawie, bo jej się nie podobał. Ale nie słyszałem wcale, aby wymieniał tego warchoła, Owocnego, jako pełnomocnika. Mnieby to powiedział — w ostatnich czasach dużo z nim gadałem. To porządny chłopiec i syn zacnego człowieka... i pragnie z wami pracować, tylko jeszcze nie wie, jak się wziąć do tego. Znacie go, Janie?

Rykoniowi przebłysło wspomnienie, jak panna Broniecka gorąco odzywała się przed nim o Czemskim; teraz ojciec go chwali i tłumaczy... Jan zrozumiał, że trzeba się dobrze odezwać o Czemskim, widocznie przyjacielu Sławoszewa.

— Znam, panie dziedzicu. Bodajby wszyscy młodzi tyle mieli chęci! Żeby tylko pan Czemski nie zadawał się z profesorem abo takimi tam, jeno z panem dziedzicem, z panem Godziembą. Bo jak to mówią: czem skorupka za młodu nasiąknie...

— O to, to właśnie — uradował się Broniecki — lubię z wami gadać, bo jest z kim...

Poczekajcie — ja się wam dowiem, co pan Czemski zamyśla o tej szkole w Niespusze. Choć to z więźniem niełatwo się porozumieć, już ja potrafię — — Spodziewam się, że pan Owocny prztyczka w nos dostanie.

— Dziękuję za jedno, panie dziedzicu, ale druga bieda gorsza, przy samej skórce — rzekł frasobliwie Rykoń, jakby się wstydził za swych sąsiadów gminnych.

— No? co tam?

— To, że podatku wiosennego na budowę nie chcą mi z gminy płacić — —

— O psia! to gorzej — —

Zaległo krótkie milczenie, które przerwał Broniecki:

— To już wasza rzecz, Janie. Albo trzymacie gminę za łeb, albo jej nie trzymacie — — Ja tu nie poradzę.

Znowu zamyślił się i po chwili rzekł mniej stanowczo:

— Chyba pan Godziemba? —

— Postanowione było tak, że od pana Godziemby dopiero na świętego Jana nowe pieniądze nadejdą, a na teraz miały być z gminnej składki wiosennej — objaśnił Rykoń.

— W takim razie już nie wiem... ja także na przednówku pieniędzy nie mam... Ale przecie ten podatek jest uchwalony — niech go wójt egzekwuje.

— To się wie, że będzie egzekucya; ale póki ona będzie, roboty mi staną. A tu już

mularze przyszli aż z Lubartowa, najteższe, belki i krokwie wszystkie na miejscu — tylko się prosi ta chałupa, żeby ją do nieba dźwignąć — i ciepło — ochota w czleku zbiera.

— Rozumiem, rozumiem — rzekł Broniecki, ujęty przez zapał chłopca do dzieła — no... jakżeby tu? — chcecie, żebym napisał do Modrzewca, aby pan Godziemba przyśpieszył wypłatę raty świętojańskiej?

— Można, kiedy łaska — odrzekł Jan bez przekonania.

— Jakże? nie chcecie?

— Bo to, proszę pana dziedzica, trochę wstyd wyznawać się panu Godziembie, że już w samym początku robota staje u mielniaków. U niego to wszystko silnie idzie i sporo, a jak pomiarkuje, że my słabe i głupie, to nas może opuścić.

Zastanowił się Broniecki nad ojcowską iście pieczołowitością Rykonia o dobro Mielna i rzekł, patrząc mu przyjaźnie w oczy:

— Ciasno wam, Janie, między tymi wszystkimi szkodnikami i podmówioną gromadą — co?

— Póki ta jeszcze ręce chodzą, wytrzymam — uśmiechnął się dzielnie Jan, robiąc wyraziście ramionami.

— Trzasnęlibyście w pysk na prawo i na lewo?

— Kiedy potrza — ale nie lubię...

— No, widzę, sąsiedzie, że chcecie ode mnie

pożyczyć pieniędzy do świętego Jana? — Mogę wam dać dwa papierki.

— To jużby trzy, panie dziedzicu, a roboty się ruszyła!

— Niech was! ostatnie stowy zabieracie mi z domu — Wypiszcie mi rewers płatny 5 lipca, z kasy budowlanej. Procentu nie chcę.

Pokłonił się wdzięcznie Rykoń za gromadę swoją, a po ubiciu interesu poczuł się do obowiązku grzeczności sąsiedzkiej:

— Jakże też zdrowie panienki, naszej ślicznej Maryi?

— Dziękuję wam, dobrze — odrzekł pan Józef bez fantazyi — odwiozłem ją przed kilku dniami do Warszawy, do ciotki.

— O, proszę! to się im na wsi zecniło?

— Tak; dziewczyna już na odlocie...

I Broniecki zmienił przedmiot rozmowy:

— Na polu dobrze tymczasem żeby tylko wycinków w kwietniu nie było.

— Mogą i być — jutro czterdziestu męczenników, a na noc zdaje się, że mróz chwyci.

— Jakoś ta wiosna tegoroczna trudno się gramoli — utkwiał Broniecki badawcze spojrzenie w siwe oczy drugiego znawcy ziemi.

— Wiosna, jakie bywały — odrzekł Rykoń — a że ta mogą przyjść czasy jeszcze krzynkę gorsze, także nam nie nowina; już tak zawsze na polskiej ziemi jest. Nie łatwo tutaj żyć, ale co trudno dobędziesz, to mocno po-



siędziesz. Takie nasze chłopskie przysłowie, panie dziedzicu.

— Dobre przysłowie — odrzekł Broniecki, trochę skonfundowany przez gotową na wszystko odwagę chłopca.

## XVIII.

Już się była ruszyła ruń pod ciepłym wiatrem odwilży i szare bałki nabrzmiały na wierzbynie, i rozlane na niskich łąkach kałuże przerastały krótką, niby zatopioną w żur, zielenią — — znowu przymrozek ścisnął ziemię, oszklilił stojące wody cieniutkimi szybami, wysrebrzył pola ozime. A przez powietrze sypał nie śnieg zimowy, puszysty i zaścielający, lecz gradzik ostry, pryskliwy na roli, a przekorny człowiekowi, który już poczuł był wiosnę i wydierał się do niej pragnieniem. Ale woda na młyn waliła bez przerwy, drwiąc sobie z takich tam przeszkód, waliła przez oblepione zamrozem zastawy, na wszystkie koła i przez otwarte ślepe upusty. A słońce, już przez pół doby gospodarne, coraz to rozdzierało chmury przekosami błękitnymi, albo i wytaczało na błękit oblicze najjaśniejsze, pod którego wejrzaniem grady prószące kryształily się przez chwilę i nikły.

Z otuchą człowiek wiejski wychodził o świ-

cie przed chatę, badał niebo, pociągał w płuca smakowitego powietrza, dobywał ze stodoły plug, albo wory ze zbożem siewnem ładował na wóz i wychodził w pole, które od tej pory miało się stać jego powszedniem mieszkaniem na długie miesiące, pełne nadziei i zawodów. Tak poczynął gospodarz, przemyślający tylko o swojej chudobie.

Ale Rykoń myślał także o sąsiadach, o gminie, o szerokim kraju — przeto gorętsze miał nadzieje i cięższe troski. Znaczna większość gminiaków nie zapłaciła wiosennej raty na budowę domu, a nawet tego, co kapaniną wpłynęło, pisarz nie chciał wydawać, póki się całość nie zbierze. Trzeba było na wypłatę mularzom i cieślom użyć trzystu rubli, pożyczonych od Bronieckiego; i tych mogło zabraknąć, jeżeli tak wszystko ma iść do świętego Jana — na ten zaś termin Rykoń zobowiązał się osobiście zwrócić pożyczkę. Dusił więc ruble w skrzyni i na robotach oszczędzał.

Żeby ta jedna tylko bieda! Ale nabierało ich więcej, niby wrzodów około pierwszego w zakaźnej chorobie. Nieprzyjaciele Jana odzywali się, że musi on mieć utajony interes w tym domu gminnym, skoro go tak gwałtem pod dach prowadzi, z uszczerbkiem dla gminy. Bo jakże? — na co Rykoniowi szkoła albo ochrona, kiedy nie ma dzieci? — na co mu miejsce zebrań, kiedy ma sam chałupę wielgachną i w niej swoich kmotrów przyjmuje? — na co

mu sklep spożywczy, kiedy ciągle rozjeżdża po świecie, sprzedaje, co chce, w Łowiczu, albo aż w Warszawie, i stamtąd sobie kupuje, co mu potrzebne? — — Nic, tylko mu obiecali panowie za wystawienie tego domu grubą łapówkę, do której się kwapi — i tyle!

Zaprzeczały tym oszczerstwom uczciwsi gospodarze, ale tłómaczyli upór Rykonia przy budowie jego znaną zarozumiałością i pychą:

— Sam ci o tym domu bez dwa roki stękał, uchwałę przeforsował, nad robotami przełożęństwo wziął, to mu tera nijako ręce odjąć od swojego niby dzieła, żeby mu nie powiedzieli: zawział się i nie zmógł, niedorajda — — To my dla jego honoru tera płacimy i od gęby sobie odejmujemy.

Nawet najbliżsi przyjaciele Jana, przekonani o potrzebie domu ludowego, doradzali pomiarkowanie i zwłokę.

— Wieki tego domu nie było, a żyliśmy z łaski Boskiej — mówił Pelka — czy ta on będzie w tym roku, czy w przyszłym, oj jej! wytrzymamy! A kiedy ludzie na przednówku do składki są ciężkie, popofołgijmy im do jesiieni — —

Niecierpliwił się Rykoń:

— Znam ja was! Żeby wam po piętach nie deptać, a kijem was do pospólnego dobra nie napędzać, wiekbyście cały każdy sobie rzepkę skrobali! Myślałem, żeście, Dominik, lepiej rozumiejący.

Zrażał sobie najbliższych przez swą hardość i nieustępliwość i, chociaż do zamiaru nie osłabł, począł się rozglądać naokoło siebie i miarkować, na kim może się oprzeć, na czyją liczyć pomoc. Gromada gminna, jeżeli nie buntowniczo, to mdło i obojętnie była usposobiona do jego poczynań; zwracał oczy ku dworom. W okolicy jedyny Broniecki mógł pomódz i pomagał często, radą albo i pożyczką, jak to niedawno uczynił, — ale doraźnie, pod dobry humor; pochłaniały go sprawy własnego gospodarstwa na wsi i jakieś tam w Warszawie. Inni obywatele sąsiedni, Świdzki, Drużbacki, choć rozsądni i przychylni, mieszały się bardzo rzadko nawet do narad nad sprawami gminnymi, a o pomoc czynną próżno ich było nawet prosić. — Rykoń polegał głównie na poparciu osiadłego stąd daleko Jerzego Godziemby.

Kilka razy tylko go spotkał, a przecie do niego miał niezachwiane zaufanie; Godziemba był znacznie mniej majątny, niż Broniecki, ale należał do silnej, zmówionej z sobą gromady, która, gdy coś postanowiła, czepiała się sprawy tysiącami rąk zgodnych, — gdy potrzebowała pieniędzy, mogła zsypać grosze w poważne kupy. Godziemba znajdował się niby pośrodku tej wielkiej gromady, naczelnym nad wielu, zależnym od kilku, ale skupiającym w sobie pierwiastek ruchu i mocy, jak serce w organizmie żywym. Gdy on sprawę publiczną

popierał, nie była to akcja jednego, choćby najsilniejszego człowieka, ale jakby dotknięcie łącznika elektrycznego, który robocie używał w mgnieniu oka siły stu koni.

Czuł to Rykoń i trzymał się oburącz tego przewodnika ogromnej siły zrzeszenia. Tem bardziej nie chciał w nim obudzić podejrzania, że jego potężna pomoc może daremny tylko ruch wywołać wśród niespojonej, kłótlivej gromady Mielna.

Pogoda rozkaprysiła się znowu, i od rana sypała z nieba kaszka śnieżna. Rozmyślił się Jan, że groch ma już zasiany, na owies dzisiaj niedobry dzień, więc postanowił stanąć sam z parobkami do obróbki budulcu na dom ludowy, dla przykładu i oszczędności. Dał stosowny rozkaz Fudale i Bembeniście.

Ale Bembenista na ławę opadł, ramiona skrzyżował i ponuro zapytał:

— A ileż to my podziennego dostaniemy za tę cudzą robotę?

Rykoń zacisnął zęby, oczy roziskrzył i byłby może poturbował parobka, gdyby przez wrodzoną sprawiedliwość nie uznał nagle jego żądania za uzasadnione, choć samolubne.

— Miałbyś i u mnie dzisiaj robotę, ale kiedyś taki już psia wiara, że się ruszyć nie możesz dla gromady, jeno dla swego kałduna, dostaniesz dwa złote dodatku z kasy budowlanej.

Bembenista kręcił głową, ale wkrótce zde-

cydował się, pociągnął nosem, wstał z ławy i wziął topór do ręki.

— A Ignac? — zwrócił się Rykoń do Fudały — chcesz także dodatku?

Pokorny parobek podrapał się w głowę:

— Kiej Michałowi, to już chyba i mnie?...

— Tfu! z takim narodem! — splunął Jan — to ja tylko, gospodarz, darmo robił będę.

Ruszyli we trzech, wzięwszy topory, na plac, gdzie dom ludowy budowano.

Właśnie potrzeba było dozoru i pomocy, gdyż mularze czekali na dziewczki do wapna, a przy obróbce belek zabrakło też paru zamówionych najemników. Rykoń rzekł do Fudały:

— Skocz-no, Ignac, do chałup po dziewczuchy i wyciągnij z pod pierzyn te śpiochy!

— Tobym i ja poleciał! — ofiarował się Bembenista.

— Nie; tuś mi potrzebny.

Kazał mu trzymać sznurek, według wskazówki głównego cieśli, na jednym końcu nieobrobionej jeszcze belki, sam zaś przytrzymał sznurek na drugim końcu. Cieśla uczernił suto sznurek zwęgloną głownią i wyrzucił go po granicy odcięcia oszastu od kłoca. Potem napięty sznurek uniósł trochę pośrodku i puścił — na białym mięszu sosny zarysowała się węglem żądana linia.

— Tera mi tu, Michał, obrobisz belkę po lenii do ostrego kantu — rzekł Rykoń — tylko

sumiennie! Robota płatna — jak mi »śledzia« zrobisz, nie zapłacę.

Westchnął grubo Bembenista, okraczał belkę i jał dziabać toporem.

A Rykoń przygotował z cieślą zadanie dla Fudały, potem dla siebie, zrzucił kozuch i wziął się szczerze do toporowania.

Śnieżna kaszka sypała wciąż z nieba, szemrząc i odpryskując od rozrzuconego budulcu, więzząc cicho w żółtym kobiercu trocin. Ale gorąco było przy ziemi, przy robocie; powoli i obaj parobcy Rykonia i inni robotnicy cieśielscy zrzucili kozuchy, pozostając w lejbi-kach, spencerach lub kamizelach. Zagrały barwami szaty wierzchnie, amarantowe i czarne, spodnie jaskrawo pasiaste, księżackie — niby rój pstrokatych dzieciółów obsiadł smolne, pachnące drzewo i kuł je żelaznymi dziobami toporów. A w pobliżu ptasim też głosem świ-stała piła w kłodzie sosnowej, położonej na wysokich kobyłkach. W innej stronie mlaskał mokro mur pod kielniami, zaledwie nad poziom dźwignięty, ale już wymiarami swego zakładu obiecujący. I taka się zawzięta wesołość w tej ciężkiej pracy pod opryskliwym niebem, że dziewczuchy od wapna zaczęły śmieszny pio-senkę, przytupując po chodnikach drewnianych, a podśpiewywał i niejeden z robotników cie-sielskich. Nawet Bembenista zagrzął się, zaba-wił w tym pracowitym gwarze i, skończywszy

wyznaczoue zadanie, odskoczył od belki, wołając ochoczo:

— Ejże, robota gracka! prościusienka!

Dom budowano przy samym placu przed kancelaryą gminną, gdzie się kręciło ciągle trochę ludzi. Zawsze też ktoś, czy zwolennik, czy przeciwnik budowy, zatrzymał się, aby popatrzeć na wielki warsztat, z którego, bądź co bądź, wyrośnie dziwowisko, dom ludowy. Tem bardziej dzisiaj zatrzymywali się przechodnie, poznając między robotnikami samego Jana Rykonia. Zagapiło się kilku chłopów i kilka bab z dziećmi, a że kupa przyciąga do siebie, więc każdy, kto przechodził, musiał choć na chwilę przystanąć, zadając sobie najprzód pytanie, czy też Rykoń za pieniądze robi, czy z łaski i ochoty? — —

Przechodził prędko młody gospodarz, Żulek, jakby się bardzo do czegoś śpieszył. Ale, poznawszy Rykonia, zboczył z drogi i przez belki i wióry dopadł do niego:

— Bójcie się Boga, Janie! toście wy do prostych robotników przystali?!

— Jako widzicie: dom dla wszystkich, niech wszyscy ręki przyłożą.

— Za darmo robicie?

— Jużci za darmo: wstydby gospodarzowi za taką robotę pieniądze brać. Parobkom swoim dokładam za dzisiaj, bo pożyteczności wspólnej nie rozumieją.

— Poczekajcież! — rzekł zapalczywie Żu-

łek — to i ja po topór dla siebie skoczę — jeszcze tam może kogo namówię — —

— Toś mi brat, Żulek! Idź-że i powracaj, a chybko — —

O dziesiątej wypoczynek nastął zwyczajny na śniadanie. Anastazyja przyniosła dla Rykonia i parobków gorący posiłek. Za grubą i niezgrabną dziewczką szła druga, całkiem innej urody, z zapaską, narzuconą na głowę. — Poznał ją niebawem Jan po wielkich, zapatrzonych na niego oczach i po twarzy gładkiej a bledszej, niż miały je dziewczyny polne. Poznał ją Jan i chwyciła go za serce radosna pewność, że ta jedna jest mu oddana całą duszą.

— Magdusia?!... co wy tutaj?

Olczakówna uściśnęła, długo milcząc, wyciągniętą dłoń Jana; potem rzekła uroczyście:

— Już ja wam wytłómaczę; zjedzcie tylko najprzód śniadanie.

— To se chodźmy tam dalej, na te belki pod stodołę. Pod okapem nie tak w oczy prószy i będziemy na widoku ludziom, wedle przyzwoitości.

Rozmówianemi oczyma podziękowała Magda Janowi, że łaskawie chce z nią gadać.

Usiedli. Jeść nie chciała, bo była już po śniadaniu. Rykoń zagadnął poważnie:

— Cóż powiecie, Magdalena?

Dziewczyna trudno przystępowała do wyznań; zrzuciła zapaskę z głowy na ramiona,

okazując piękny ubiór, cały według prawdziwej mody łowickiej. Rzekła, spuszczać oczy:

— Już ja się pożegnałam z panienką i ze Sławoszewem; chcę mieszkać w Mielnie — —

— Nawet żęście się już całkiem przebrali po mielniacku, i stanik, i spódnica — uśmiechnął się Jan uprzejmie.

— Przecie choć raz zauważyliście! — odrzekła Magda ośmielona. — Chcę wam tutaj być przydatna, Janie!

Spojrzał Rykoń pytająco, znowu spowaźniał, a dziewczyna znowu pokorniej tłumaczyła się:

— Potrzebujecie sklepowej do tego domu? — — sami mówiliście mi w zimie, kiedyśmy się to z panienką przed waszym domem zatrzymały, jadąc do Łowicza? — —

— A no, potrzebna będzie — jeno jeszcze i domu niema, i różne trudności przeszkadzają.

— Ja poczekam, Janie!

— Gdzież to? w Mielnie?

— Zgodziłam się na służbę do waszej siostry, Workowskiej Jagny.

Rykoń skoczył z podziwu:

— Nie mówiła mi! Jakaż to dla was służba po dworskiej wygodzie?!

— Poczekam, aż mnie będziecie potrzebowali...

Upór dziewczyny podobał się jednak Rykonowi. Oglądał ją uważnie, przychylnie, zga-

dując łatwo jej wybieg prosty, skierowany do jednego zawsze celu. Pochlebiało mu to nawet, lecz i niepokoiło go, gdyż postanowienia co do swego życia osobistego miał niezłomne. Mówił z rozmyślną obojętnością.

— Potrzebował ja was nie będę tymczasem, Magdalena; a jeżeli kiedy, to do domu gminnego. Dopiero ci ma stanąć — a czy w tym roku sklep otworzymy? — daj Boże! — — Umiecie dobrze pisać i rachować?

— Od tego czasu, kiedyśmy mówili, jeszcze dużo lepiej. Od kasyera w Sławoszewie lekcye brałam — — w Warszawie w sklepie siadywałam dla praktyki — — dwie książki o ochroniarstwie przeczytałam — —

— To dobrze, Magdusiu — przypatrywał jej się Jan — ale kiedy wam to dopiero potrzebne będzie? U Workowskich prosta służba, zapomnicie nauki... To niby nastajecie na miejsce ich dziewczki, Karolki?

— Na drugą, bez pensyi — odpowiedziała, rumieniąc się, Olczakówna.

— O wa! cóż to dla was?!

— A nie mogę to ja waszej matuli przy warsztacie tkackim pomódz? — tłumaczyła się Magda przymilnie — spojrzycie tylko, jak umiem robić, — — najświeższa moja robota — —

Przysunęła prawie pod nos Janowi stanik swój obcisły, długi i pełny, w misterne poprzeczne »mrązki«. Chłop spojrzał, zmrużył

oczy, nosem jakby tabaki pociągnął i rozśmiał się szczerze:

— Oj, wy, dziewuchy, dziewuchy!

Tem śmieiej znowu ofiarowała się Magda:

— A wam nie mogłabym to robić rachunków z tego domu? — przecie muszą być? — Piszę liczby i litery tak pięknie, że mi niedawno kazał pan Wierzbowski na nowych workach wielkie napisy porobić: »Dobra Sławoszewo«, a potem jeden, dwa, trzy — po porządku — aż do końca.

— To będzie z was sklepowa — zakonkludował Michał.

— Ii, na wszystkobym się zdała! — palnęła dziewczyna nieopatrznie.

— Jak komu czego potrzeba — dodał Rykoń.

Znowu Magda poczuła boleśnie odporność Rykonia, znowu spokorniała:

— Nie zabronicie mi do was przychodzić?

— Matki się dopraszajcie. Jeżeli pozwolą, i ja broniał nie będę.

Tyle tylko uzyskawszy, Olczakówna nie czuła się jednak nieszczęśliwą. Miała nadzieję, że ujmie tych twardych ludzi swą pracowitością, samozaparciem, wreszcie osobą swoją, tak przecie chwaloną przez innych! — I blisko będzie Jasieńka, napatrzy mu się przynajmniej — —

Przypatruje mu się i teraz: taki chłop pię-

kny, nie chłystek karczemny od wywijasów — mądry — i greczny nawet — — innyby jej nagadał głupstw wedle tegoż, że jej chce, albo że nie chce; ten gada słowami tak miłemi, jako muzyka, ale czego chce? — doprawdy zgadnąć trudno — —

Chyba że, wędrując po świecie, pokochał inną i tai się z miłowaniem swoim? — — To przypuszczenie tak przejęło Magdusię, że oczy jej zasły łzami, i spostrzegł to Rykoń, gdy spojrział na nią po długim milczeniu.

— No, co wam to, Magdusia? — zawołał innym zupełnie głosem, rzewnie.

Roztkliwiona dziewczyna zaczęła płakać na dobre, twarz zakrywając dłońmi.

— Nie płaczcie przecie, bo ludzie pomyslą, że Bóg wie, co jest między nami, — odezwał się znów Jan po sensacku — powiedzcie — może się da poradzić.

— Bo już nie wiem — szlochała Olczakówna — tacyście ze mną, jak ksiądz — — alboście gdzieś po świecie z jakąś kobietą zmówieni?

— Nie, Magduś, z żadną — odpowiedział Rykoń szybko i stanowczo.

Pocieszyła się znacznie Magda, ale nie wiedziała, jak tu znowu zacząć, aby wybadać Jana. Sam Rykoń, czując rozmiłowanie dziewczyny, zechciał jej nareszcie objaśnić swe postanowienie:

— Pamiętacie, Magdusia, na okrężnem mówiłem wam, że mi nie wolno się żenić?

— Oj, pamiętam każde słóweczko! Ale nie rozumiem.

— Widzicie, jest tak: robót na siebie przyjąłem siła i odpowiedzialnych. Zanim ich nie skończę, nie chcę się z kobietą wodzić, bo to niby pomoc, mówią, ale poprawdzie tylko zasypianie społecznych obowiązków.

— Więc odkładacie sobie postanowienie aż do skończenia tego domu? — zapytała Magda.

— I temu, i wielu innym sprawom trzeba mi jeszcze podołać — odrzekł Rykoń — trzeba ten cały naród sąsiedzki i okoliczny do wysokości jego przeznaczeń podwyższyć, nie — żeby odstawał za innymi i w ciemności tej pleśniał, co go w niewolę byle komu podaje.

Przez połowę tylko zrozumiała Olczakówna.

— Pięknie to — rzekła — ale żeby każdy, co ma tam coś robić dla gromady, nie chciał żony brać, toby rychło gromada wymarła.

— Każdy, to każdy — rzekł wyniośle Rykoń — a ja jeden jestem osobny, któremu Pan Bóg dał większe rozumienie i więcej zrobić kazał.

— Niby ten król... — szepnęła Magda.

Nie zaprzeczył Rykoń. Ale jakby pożałował, że się zwierzył kobiecie z tajników swej duszy, jął zacierać wrażenie słów poprzednich:

— Możeby inaczej człek wyrozumował — ale i ochoty niema do wesela w tych czasach,

Gmina się buntuje przeciwko mnie, nic sporo nie idzie — — przewleka się niewola...

— Kiedy wam ciężko i samotnie, Janie, toć dobrze mieć przy sobie kogo, co by już was, jak pies, słuchał... Ja tu nie dla uciechy przyszłam, jeno dla roboty i dla bliskości z wami — —

— Wierzę wam — rzekł Jan goręcej — i dziękuję, żeście przyszli; zawsze mam społeczność z siostrą, to się i z wami, Magdusia, widywać będziemy. — — A pomagalibyście mnie we wszystkim, co? — dodał wesoło.

— Pomagałabym; tak mi Panie Boże dopomóż!

— Robota mi wypada rozmaita — śmiał się Jan — czasem z panami szerokie sprawy rozważać, a, jak dzisiaj — to przy budowie z najemnikami pospołu. — — No cóż? pomoglibyście, na ten przykład, wapno dla mularzy nosić?

Zerwała się dziewczyna, odrazu gotowa.

— Tylkobym te sukienki zmieniła, bo szkoda.

— Chwacka wy, Magduś! Jest w was piękna ochota do pracy i dworska wygoda was nie nadpsuła. — Aleście tu dzisiaj niepotrzebni; dziewczki do wapna na cały dzień najęte i starczą. Idźcież do Jagny, bo czas nam powrócić do roboty. Bądźcie dobrej myśli. —

Pomimo całej wyrozumowanej wstrzeźliwości, zagrzało się serce Rykonia. Radośnie



mu było dowiedzieć się, że Magda kocha go nie jak pierwsza lepsza zalotnica pod wiosnę, lecz że uparcie praktykuje na godną i umiejętną towarzyszkę. I dzień odtąd rozweselił się: śnieg przestał padać od południa, — ciągnęły przez powietrze łube wonie wiosenne; ptaki w sąsiednim ogrodzie rozszczebiały się drobny, piskliwym chichotem. Żulek przyszedł do pracy z drugim chłopem, na jutro obiecywał jeszcze paru bezpłatnych ochotników do topora. Zawrzała robota i czuło się przez skórę, że czasy nadciągają lepsze.

## XIX.

Stefan Czemski siedział ciągle w Warszawie, na Pawiaku, przy ulicy Dzielnej. Obiecywano mu wolność już dwa razy na terminy, które upłynęły jednak w więzieniu; te dni zawiedzionej nadziei były najcięższe. Zresztą nie przeklinał dni więziennych, podczas których przemyślał wiele i porządkował swe myśli. Miał nawet w tych murach trochę chwil jaśnych, tem jaśniejszych, że oprawnych w mrok powszedni, jak ten list Manieczki do ojca jego — z opłatkiem — i przynoszone mu przez ojca dowody życzliwości czynnej od osób mniej mu znanych, na których sympatyje nie liczył uprzednio.

Ze strony tych osób była to może tylko kurtuazya, ale pamięć Manieczki o więźniu płynęła chyba z głębszego źródła. Wspominał ją z przeszłego roku, ponętną i niezależną, wspominał z rozmów w salonie pani Obichowskiej, już gorących, ideowo poufnych; chował wreszcie w pamięci jej obraz z ostatniego dnia

wolności. Przecie to była już narzeczona, nie przez wyraźne umowy, lecz przez mocniejszą obietnicę serc. Przekona się teraz, jak taka panna z feudalnej szlachty zapatruje się na podobne zobowiązania niesformułowane. Może o nich zapomnieć bez jawnej skazy na swym honorze, może też... pamiętać. List z opłatkiem, już dawny, był jednak pocieszającym symptomem. Im więcej rozmyślał Czemski, tem silniej pragnął nie zawieść się na slicznej, dzielnej, dobrej Manieczce; im dłużej siedział w więzieniu, tem bardziej wystawiał na próbę jej stałość. Ta względna pociecha dodawała mu czasem cierpliwości, częściej jednak wyrwał się na wolność, w której wszystko się wyjaśni. Instynktowo wierzył tej pannie, choć czuł, że związek z nią byłby gruntownym zawikłaniem w programie jego działań obywatelskich. A może ona pójdzie ślepo za nim? Może on coś zmodyfikuje dla niej w swych zapatrywaniach na ludzi, na kasty, nie na samą istotę pracy społecznej. Powoli niektóre z tych zapatrywań zaczęły mu się wydawać czczemi formami, nawet przesadami do odrzucenia. — Coraz łatwiej pozwalał sobie kochać pannę Broniecką.

W pierwszych dniach niewoli miotało nim młodzieńcze oburzenie. Do żadnej winy się nie poczuwał, raczej do opieszałości w służbie publicznej. Nie ma on czasu do marnowania w tem głupim więzieniu śledczem! Rozpoczął

właśnie pożyteczne zabiegi na wsi i w mieście. — Z badań widział, że nic mu więcej zarzucić nie zdołają, jak to nielegalne zebranie młodzieży. Czyż za takie przewinienia karzą miesiącami zamknięcia? Gdzież kodeks i gdzież zasada *neminem captivabimus*?!

Przy powtórzonych śledztwach spostrzegł, że starano się z niego wyciągnąć zeznania donioślejsze, któreby skompromitowały jego i innych. Przytaczano mu zdania, których nie powiedział, wymieniano nazwiska, których nie wyjawiał, wmawiając mu, że to treść jego uprzednich zeznań. Uzbroidł się w nieufność i baczniejszą jeszcze ostrożność, odpowiadał jak najmniej i potwierdzał tylko fakty oczywiste, wiedząc, że gdyby wyrażał swe opinie, miałby ich w głowie mnóstwo karygodnych, z punktu widzenia tych sędziów.

Po paru miesiącach nauczył się jednak rezygnacyi; los jego nie był wyjątkowy, dzielił go z wielu znajomymi, z tłumem nieznanym, z pokoleniami, zasadniczo z całym narodem. Ileż razy na tak zwanej wolności czuł rozpacz więzienną, osnuwającą wszelkie pragnienia obywatelskie — ile razy te najczystsze pragnienia kazały mu się »pod ziemią kryć z gniewem i być, jak otchłań, w myślach niedościgły«!

Zdala od roztargnień towarzyskiego życia więzień szeregował dawne i nowe namysły, dochodził do wniosków, nawet praktycznych,

których wprowadzenie w czyn musiał odkładać do dnia wyzwolenia.

Gdy w ostatnim dniu kwietnia oznajmiono Czemskiemu, że jest wolny i po załatwieniu formalności wypuszczono go na ulicę, poczuł zrazu radość osłabiającą, bezradną. Dzień był ciepły, lecz zaduch żydowskiej dzielnicy, w której się znalazł, mniej napawał wiosną, niż ogród przy ulicy Pawiej, miejsce przechadzki więźniów. — — No, ale świat szeroki — i otwarty. Dokąd najprzód? — — Machinalnie skierował się Stefan ku środkowi miasta i najął pokój w hotelu Europejskim. To nie sybarytyzm, lecz higieniczna kompensata: po kilku miesiącach zamknięcia wykapać się, ostrzydzić i zjeść dobry obiad. — Ile dozwolonych rozkoszy w tych pospolitych zajęciach! Woda w łazience pachnie wiosną, sklep fryzjerski, restauracya pełne czystych ludzi i smakowitych woni — cały świat pachnie! Uch, te zaduchy w murach przy ulicy Dzielnej! —

Po obiedzie wysłał Czemski parę depesz, jedną do ojca, drugą do Jerzego Godziemby. I wcześniej spać się położył. — Co za łóżko!

Obudził się bardzo rano, odświeżony, z gotowymi projektami. Ruch warszawski zelektryzował go, gwar głosów żywych, wiadomości i zabiegów dał mu poczuć, że, chociaż hamowane systematycznie, wre jednak życie. Trzeba się przyczynić do ulepszeń w życiu publicz-

nem wszelkim możliwym wysiłkiem dobrej woli prywatnej.

O południu tego dnia dojeżdżał Stefan od stacyi kolei do Modrzewca.

\* \* \*

Wiść o uwolnieniu Czemskiego przyszła do Sławoszewa w taki sposób: Mańka dowiedziała się w Warszawie, że Czemski wyszedł z więzienia i wyjechał na wieś. Natychmiast pod pierwszym lepszym pozorem, a nawet bez pozoru, powróciła do Sławoszewa. Uradował się pan Józef córce tak rozpogodzonej, jak już dawno jej nie widział.

— No, wyglądasz mi przecie znowu wesoło, nie na jakąś spiskującą sufrażystkę!

— Czy tak wyglądałam?... Ale już maj, tatusiu, — trzeba być na wsi. — —

— Trzeba, trzeba, Manius. Nawet ogród warzywny dopytuje się o ciebie. — — Co ci to? — coś cię ponosi? — badał Broniecki, sam rozweselony.

— Nic tak bardzo... Cieszę się, że tatusia widzę.

— Ej-że? — — tak cię nagle tutaj przywiało — ręczę, że mi coś masz do oznajmienia — dopytywał się pan Józef, a uśmiech mu się zmieniał w wyraz twarzy troskliwie ojcowski.

— Parę nowin z Warszawy... — rzekła Mańka, nagle zarumieniona.

— Poczekaj! to zgaduję — pewno pana Stefana puszczono z klateczki?

— A no, tak... myślałam, że tatuś wie... Nie był jeszcze w Sławoszewie?

— Ani w Niespusze. Dziś rano miałem stamtąd wiadomości.

— Dokądże pojechał?

— Jakże ja to mam wiedzieć? — zastanów się, córuś. — — Może ci bajkę powiedziano?

— Nie, nie. Przedwczoraj go wypuszczono, nocował w hotelu Europejskim i rano wyjechał na kolej — myślałam, że do Niespuszy

— Proszę, proszę — co za wywiady! Reporterka posłałaś, czy detektywa?

— Wszystko ciocia Obichowska, tatusiu. Szkoda tylko, że o jeden dzień zapóźno się dowiedziała, boby go pewno do nas zaprosiła. Ta złota ciocia! — wszystkiego mu zapomniała, nawet tego żartu o byczej głowie w jej herbie... Ciągle deptała za jego uwolnieniem.

— Ale po uwolnieniu gdzieś przysnął — — no, może do ojca?

— Prawda! — zawołała Mańka — niech tatuś pošle depezę!

— Sfiksowałaś, Manius?! Nie można okazywać, że nam tak pilno go oglądać!

— Ależ nie, tatusiu — rzekła Manieczka, jakby zawiedziona na domyślności ojca — de-

pezę z powinszowaniem! A doktor przecie coś odpowie.

— Hm... to można — nawet się należy doktorowi, z którym sojusz zawarłem. — Oj, ty, Metterniszku różowy!

Wysłano więc niezwłocznie depezę, a Manieczka napełniła zaraz dwór wesołym gwarem. Nie było już, niestety, w garderobie Magdy Olczakówny, przyjaciółki, zato nowa praktykantka na pokojówkę, Zosia Pelczanka, rozśmieszała wszystkich swem nieobyiciem z pałacową kulturą.

— Tatuś! — krzyczała Manieczka przez drzwi swego pokoju, gdzie się ubierała — Zosia mi podaje do czesania szczotkę od zębów!

— Pilnuj, żeby ci pachnącego mydła nie zjadła, bo gotowa się otruć — odpowiadał z daleka pan Józef.

Cała służba krzątała się rażniej po domu i kuchni, widząc znowu dziedziców w dawnym, promiennem usposobieniu, a kanarki w klatkach zaczęły śpiewać na zabój.

Po obiedzie poszła Mańka sama do sadu, którego pilnie dozorowała.

— Tu mi dopiero wiosna!

Wielki sad szalał dziewczycymi zapachami z nabrzmiałej roli i z młodego liścia, które ogarnęło drzewa owocowe cieniem jeszcze rzadkim, pełnym zielonego słońca. A cała kwatery śliw i wisien już kwitła niezmierną,

rzewną białą, ułożoną w bukiety kuliste, lub w snopy związanych tyrsów. Kwitły tak bogato, że budziły żalność nad milionami kielichów, które uschną i opadną daremnie, a najchciwszy ogrodnik nie mógł żądać, aby éwierć tego weselnego wybuchu wydała owoce — połamałyby gałęzie. Manieczka muskała leciuchno twarzą chłodne kwiaty, jakby chcąc przyrównać do nich swoją urodę dziewczęcą, a twarz jej, rozpalona przecuciem pocałunków, płamiła dojrzałą czerwienią białość drzew niewinną. Zaszedłszy głęboko między kwitnącą gęstwę, zwierzyła się głośno kochanym kwiatom:

— Tędy on przyjdzie — tutaj go zaprowadzę.

Ale mając w pogardzie romansowość, zaraz się poprawiła:

— Pewno właśnie gdzieindziej!

Trzeba obejrzeć grędy między drzewami, co i gdzie zasiał ogrodnik, jak się udało. Skierowała Mańka oczy na dół, oglądając troskliwie fance sałaty, każdy w zwilżonym doleczku, leżące na ziemi, niby obumarłe. Ale na sąsiedniej grzędzie fance, widać wcześniejsze, już się rozparły w swych dołkach gospodarnie, zdrowo zieleniejąc. — Tu znowu wyzierały z szarej roli białe, blade-zielone i różowe kielki, albo, jak misterna pleśń, wschodziły różne warzywa, w których Manieczka rozpoznawała marchew, pietruszkę, koper, majera-

nek... A groszek cukrowy rodził się bliźniaczemi parami okrągłych listków. Najśmiej rozkrzewiła się wczesna rzodkiew gruntowa w szaro-zielone krzaczki. Pociągnęła Mańka za jeden, którego korzonek okazał się jeszcze bardzo wątlým, ale go Mańka otarła fartuszkim i schrupała, kręcąc noskiem od ostrego smaku surowizny.

Rzuciwszy okiem na oszklone inspekty i wysokie szańce szparagarni, pomyślała, że dosyć na pierwszy raz oględzin, trzeba się przecie i z parkiem przywitać.

Murawa już była w nim świetna, pachnąca miętą i fiołkiem, ale niektóre korony wysokich drzew jeszcze kreśliły na niebie powikłania nągich gałęzi. Chyba że brzoza albo czeremcha zawieruszyła się gdzie, w zieloną gazę wystrojona, między tłumem ciemnym zalotnica. Albo świerk powagą swych ramion, nakrytych ciężkim ornatem, zdawał się uciszać powstające między drzewami zaloty. Ale przy ziemi gminne bzy i jaśminy otworzyły już do słońca krocie głodnych dziobków zielonych i od nich to szło ku wierzchom zaraźliwe pragnienie wiosennej pieśczoły. Około rzeczki, pełnej figlarnego prądu, w podcieniach, dyszących jeszcze chłodem roztopów, z dnia na dzień wytrysły kępy konwalii; z bladych, tutkowatych liści wyzierały gdzieniegdzie białe grona kwiatów.

Szła do nich właśnie Manieczka, wiedząc z lat poprzednich, gdzie się rodzą.

— Są już, są! — ucieszyła się.

Bo znowu przyszło jej do głowy, że przyprowodzi Stefana do konwalii. On musi je lubić namiętnie, jak ona? — On kocha lud, ojczyznę, postęp — jak ona. Niepodobienstwo, aby nie lubił i konwalii — —

— To głupstwo — pomyślała — powiedziec tego niepodobna, ale pomyśleć tutaj tak miło...

Powróciwszy o zmroku do domu, zapytała, czy niema odpowiedzi doktora na depeszę. Jeszcze nie było, a nawet, po obliczeniu czasu, być nie mogło. Niezbyt zasmuciła się tem Manieczka, bo miała w sercu uporczywą, radosną pewność, że nic złego stać się nie może.

Tak upłynął dzień niesyty ciepła, ani zupełnych zadowoleń, ale przepojony obietnicą i nadzieją, dzień wczesnej wiosny.

Nazajutrz było gorzej. Do południa nie przyszła odpowiedź doktora, ani żadna wieść pożądana. Mógł wprawdzie doktor odpowiedzieć listem. — Manieczka starała się nie okazać ojcu zasepionej twarzy, jednak z jej nerwowego niepokojem miarkował pan Józef, jak mocno jej serce było zajęte. Cieszyć się z tego, czy smucić? — sam nie wiedział. Młodzi powinni się kochać — to pewnik — ale tymczasem wiadomo dopiero, że zakochana jest panna Broniecka, pan Czemski zaś pozostaje pod wielu względami nieodgadniony, bo, chociaż człowiek uczciwy i naogół sympatyczny,

nie wypowiedział się dotąd wyraźnie nawet co do swych uczuć, on, któryby powinien drogę z Niespuchy do Sławoszewa przebyć na klęczkach, prosząc o rękę Manieczki! A co do działań publicznych — dobre ma chęci, lecz »kielbie we łbie«. — Że siedział w ciupie, to jeszcze nie patent na obywatela i zięcia — —

Tak ocenia sytuację pan Józef, ale po cichu, gdyż wiedział z góry, że przychyli się ostatecznie do woli Manieczki. Pragnął więc już tylko, aby Stefan okazał się jak najodpowiedniejszym dla Manieczki i aby nareszcie się zjawił. Przyjmie go serdecznie.

O trzeciej po południu ktoś szybko zjechał przed ganek. Ojciec i córka, z równem przeczuciem, podążyli do przedpokoju. Rzeczywiście, przyjechał nie kto inny, tylko Stefan Czemski.

Uściskał go pan Józef, Stefan oddał uścisk ze szczerą przyjemnością, a Manieczkę z rozpędu pocałował w rękę, pierwszy raz w życiu. Tak być powinno — nikt się nie dziwił. Rezolutna dziewczyna była jednak w tej chwili wyjątkowo błada, szeroko otwierała oczy. Poczula bowiem chwilę stanowczą, losową: jaki jest ten, o którym marzy od przeszłego roku? —

— Dobry i własny! — stwierdziła błyskawicznie, oddając Stefanowi drżący od mocy uścisk dłoni.

Gdy tak w jednym zetknięciu elektrycznym powiedziano sobie rzecz najgłówniejszą, roz-

pluskała się dopiero rozmowa, niby po gromie deszcz wiosenny, ciepły i radosny.

— Wina! — wołał pan Józef — maślaczka 1811-go! Niech-że cię pokrzepię, wyzwolencze, najprzedniejszym kordyałem z mej piwniczki! Musiało cię trochę poderwać to siedzenie? — Schudłeś — —

— Nie tak źle mi było — — choć bardzo już rad jestem ze swobody ruchów i z możliwości podziękowania łaskawym protektorem, którzy się o moje uwolnienie starali.

— Staralem się, przyznaję — odrzekł po prostu Broniecki — ale z mizernym skutkiem. Jeżeli kto co zrobił, to Godziemba i pani Obichowska.

— No, i ten prezes warszawski, do którego pani raczyła... — zwrócił się Czemski do Manieczki z pełnym wdzięczności ukłonem.

Ojciec spojrział na córkę zdziwiony. A ona rzekła z zakłopotaniem:

— Mówiłam z prezesem parę razy... Tak, staraliśmy się wszyscy.

— Jednak wiem napewno, że ostatecznie moje uwolnienie zawdzięczam wstawieniu się tego prezesa, a więc — pani.

— Bardzo byłabym dumna...

Powiedziała zaś to właśnie skromnie, chociaż z przekonaniem.

Broniecki, nierad trochę, że znowu nie wiedział o tych zabiegach córki, zaczął o czem innym;

— Ale gdzieżeś - to pan bujał po świecie przez ostatnie dni?

— To chcę opowiedzieć dokładnie.

— Bardzo słusznie. — No, dali już tam to wino? — — Jest? — dobrze. Przejdźmy do jadalnego. Jadłeś obiad, panie Stefanie?

— Jadłem dopiero co w Niespusze.

— Wybornie. Właśnie wino deserowe.

Przy stole w jadalni Broniecki ujął ostrożnie brudną, staroświecką butelkę, na której widniał niezgrabny biały napis: »M. 1811. R.«, przejrzał pod światło, cmoknął i powoli nalał wino w trzy lampki.

— Napijesz się z nami, Manius, ze względu na protegowanego. Co?

— Wypiję, tatusiu.

— No, panie Stefanie, za zdrowie i szczęście twoje, które nas wszystkich serdecznie obchodzi — rzekł Broniecki tonem niezwykle uroczystym.

Wypili, stojąc. Ale właśnie dlatego, że pomyśleli o rzeczach ważnych, poniekąd rozrzucających, pan Józef chciał się wymknąć z tego nastroju:

— Cóż, Manius? — rzekł, siadając — jakże ci wchodzi to wino?

— Dobrze — odpowiedziała swobodnie — ma jeszcze więcej bukietu, niż rok 1805-ty. To chyba z naszych najlepsze.

— O, widzi pan! — zawołał uradowany Broniecki — wyparłbym się jej, gdyby się nie

znała na winie. — Ale teraz pan gadaj, coś przez te dni porabiał: Byłeś w Lublinie, u ojca? — Poznałem go, wiesz pan? Tuszę sobie, że mi płaci wzajemną przyjaźnią.

— Wiem. — Ale nie byłem teraz w Lublinie — pojechałem do Modrzewca.

— Proszę! — do Jerzego? —

— Tak. Sprzedałem Niespuchę panu Godziemby na szkołę rolniczą dla włościan.

— Doprawdy?! Na warunkach, które omawialiśmy razem w Modrzewcu jesienią?

— Tak jest. Wymówiłem sobie tylko miejsce w zarządzie dla siebie i dla mego przyjaciela, Stanisława Wintera.

— A reszta? Plan, kierunek... według życzenia Godziemby i tamtego towarzystwa? — badał Broniecki z rosnącą radością.

— Tak. Doszedłem do przekonania, że nikt lepiej, niż oni, nie zużytkuje ziemi i nie poprowadzi tej instytucji.

Broniecki, że to miał w herbie serce na talerzu, ku przyjaciółom skłonne, a siedział obecnie przy wybornem winie, rozrzewnił się i wyciągnął rękę do Czemskiego:

— Winszuję ci, panie Stefanie. Widocznie jesteś dobrym obywatelem w duszy, choć się w dyskusjach upierasz.

— Wiele przemyślałem w więzieniu. Wiele odrzuciłem haseł bez treści, a przekonałem się do ludzi i rzeczy, niesłusznie piętnowanych.

Pan Józef wpadł w najlepszy humor:

— Gdybym miał syna, zanego chłopca z przewróconą głową, wsadziłbym go na kilka miesięcy do ciupy, aby mi z niej wyszedł podobny do pana. Dalibóg! — pyszna kuracya — no, dla ludzi uleczalnych i z dobrej gliny. —

Stefan nie obraził się wcale, uśmiechnął się pogodnie. Ale spoglądał na Manieczkę, która jakoś nie zapaliła się jaskrawo do tej transakcyi.

— A pani — zapytał — czy nie pochwała mego postąpienia?

— Jakżeby?! — naturalnie, skoro tatuś i pan Godziemba... Tylko ja niebardzo znam tę sprawę... Więc pan wynosi się z naszej okolicy?

— Ani myślę! Będę tu mieszkał nadal, przy szkole i przy fermie; będę miał robotę.

— A, tak, to rozumiem. Bardzo dobry projekt.

— No, panie Stefanie, — przerwał z uśmiechem Broniecki — opowiedz mi całą rzecz ze szczegółami. Nietylko szkoła mnie obchodzi, ale ta twoja zbawienna... ewolucya, jakbyś powiedział, a po staropolsku: ustatkowanie się zapędzonego młodzieńca.

— Przepraszam — odrzekł Czemski z upartą zmarszczką na czole, którą Manieczka przypomniała sobie z lubością — ja się znów nie zmieniłem tak bardzo, jak pan przypuszcza, nie zapisałem się do stronnictwa pana Godziemby, nie wyznaję wszystkich jego zasad,



— Masz rację, panie Stefanie; tegi człowiek, ale pedant i abstynent.

— To jego rzecz. Mnie obchodzi jego ogromna praca i siła woli, bardzo rzadkie u nas. On chce dobra kraju, a specjalnie ludu wiejskiego, o którym i ja myślę. Więc zasadniczo jest mi sprzymierzeńcem. Z takim nie można nie trzymać, bo za nim stoi zorganizowany zastęp, który jest dużą siłą, zastosowaną do naszych i do moich celów. Walczyć zaś z dodatkami działaniami tej siły dlatego tylko, że nie od mojego obozu pochodzą — to, co najmniej, błąd w robocie postępowej.

— Widzę, żeś kochany chłop i ćwik w dodatku, Stefeczku. Pozwolisz, że cię panem nazywać nie będę, a ty mi mów, jak sobie chcesz — I spełnię nowy kielich, aby ci powinszować.

Manieczka nadstawiała też swoją lampkę.

— Dosyć już, córuś. Koło szkła robota jest męska.

— Chciałam tylko powinszować panu Stefanowi.

— Daj mu łapkę, to go bardziej ucieszy, ręczę ci.

I łapka została ucałowana już z ojcowskiego upoważnienia.

— Kobięcym zaś wydziałem jest śpiżarka i kuchenka. Idź, Maniuś, dopilnować, abyśmy dobrą mieli wieszczę,

— Prawda! — powstała ochoczo Mańka z pełnemi szczęścia oczyma.

A pan Józef został ze Stefanem i mówił z nim, już zupełnie pojednany:

— Cóż zastałeś w Niespusze? harmider? — Owocny tam za ciebie gospodaruje?

— Niema go już od dość dawna.

— Więc w roli dziabie Durmaj, a w kuchni pietrasi ta... jakże jej tam?

Czemski zamyślił się o czemś niby, czoło zmarszczył, ale widocznie się zarumienił.

— Gadaj-że, chłopie! Cóż to myślisz, że ja święty kiedy byłem, albo że już jestem?! To mnie nie znasz!

— Agatka wyjechała z profesorem.

— Jakto: wyjechała? — to znaczy, że nie wróci?

Czemski teraz wybuchnął hamowanym, nerwowym śmiechem:

— Cała tam awantura. Ten Owocny, to osieł!

— O tem jestem przekonany. Ale jakimże znowu bryknął konceptem?

— Zastałem w domu jego list, że... no, że się żeni z Agatką!

— To mu się rzeczywiście udało lepiej, niż agitacya w Mielnie. Cóż ty na to?

— Ach, panie! uszczęśliwiony jestem! — bo nie wiedziałem właśnie, jak się pożegnać z tą dziewczyną.

— Nie masz z nią żadnego... przychówku?

— Nie mam, na szczęście.

— Więc cóż? — doskonale! wygrałeś na loteryi paręset rubli i krowę.

— To też odpisałem, że życzę szczęśliwego pożycia, że błogosławię! — śmiał się Czemski nerwowo, bo i trochę wstydliwie.

— Człowieczel cóżeś uczynił?! — — wysłałeś ten list?

— Nie jeszcze; mam go z sobą — — Bo co?... — zdziwił się Stefan.

— Podrzyj-że go natychmiast! — Czy dbasz o stosunki przyjazne z tym fabrykantem sieczki dla ludu?

— Ani trochę. Owszem, sporo omyłek mu zawdzięczam.

— Więc obraż się na niego! obraż się śmiertelnie za Agatkę! — nie pisz — daj mu znać przez znajomych, żeś się zawiódł na nim — — gdy go spotkasz, nie witaj się z nim i przesywaj go wzrokiem pogardy!...

— Kiedy ślepy — nie dojrzy.

— To mu daj nogą... gdzieś! Cel ten uświęć srodek, który do niego zastosujesz.

— Rzeczywiście, najlepsza rada... dziękuję — śmiał się teraz Stefan serdecznie.

## XX.

Pierwsze odwiedziny uwolnionego Stefana w Sławoszewie przyniosły Manieczce pewność szczęścia, a panu Józefowi dużo nawet uspokojenia co do losu córki i jego własnego, jako teścia. Stefan był wyraźnie tęgim człowiekiem, sprzymierzeńcem, i podobał się Mańce tak bardzo, że aż pana Józefa korciło. Cóż u licha? nie nam, Bronieckim, robi on łaskę!

Najdziwniejsze było to, że upływały pierwsze dni maja, a Czemski nie powracał do Sławoszewa. Przysłał tylko list uprzejmy z prośbą o radę praktyczną, dotyczącą Niespuchy, z ukłonami dla »obojga państwa«. Ależ maj był! Żeby choć kwiaty przysłał!

— Niema nic Wersalu w tym chłopie — mówił Broniecki do córki. — Szczur książkowy! Żeby to mnie za dobrych czasów taka gratka! Rany Boskie!

— Namysła się, tatusiu.

— Nad czem, u kaduka?! Widzi aż zanadto.

— Ja czuję, co on myśli.

— No? naprzykład?

— Że to przewrót w całym jego życiu...

— Spodziewam się! Do takiej zmiany pies na mrozie oblizuje się przed drzwiami ciepłego domu. — — A przecie drzwi otwarte!

— Otwarte, tatusiu? czy zupełnie? bez przymusu? — Iśsiła się Manieczka do ojca wdziękiem jasnych, rozkochanych oczu.

— Uważałaś przecie, jakem go przyjął, Manius. A nie wiedziałem jeszcze, jak sobie postąpił z Niespuchą. — Nie — chłopak dzielny i może... może wart ciebie.

— Więc między nami zgoda, tatusiu — jak była zawsze, jak będzie zawsze? prawda? Niech mnie tatuś pobłogosławi.

— Ja tam nie proboszcz... błogosławię cię pocałunkiem — i całym sercem, Manieczki moje! — rozrzewnił się stary, mocno przytulając do wąsów głowę córki i kreśląc jednak drżącym palcem krzyż na jej białym czole.

Przymknęła Mańka oczy.

A potem, całując gorąco szorstką rękę ojca, jeszcze w jego objęciu, dopraszała się ślicznym, kobiecym szeptem:

— Więc niech tatuś nie mówi tak brzydko o nim — tak niechętnie: to szcur, to pies...

— Ależ, dziecino! nie wiesz to, że mi się słowa sypią z gęby, jak je Pan Bóg stworzył?! — —

Ochłonawszy ze wzruszenia, spojrzął Broniecki przez okno i rzekł:

— Tylko mi markotno trochę dzisiaj, bo podła pogoda.

Jako namiętny rolnik, pan Józef odczuwał bardzo wrażliwie zmiany pogody na swym barometrze moralnym. Nie podobały mu się trzy przymrozki z wiatrem, w kwietniu, tak zwane »wycinki«. Nie podobał mu się również dziesiętny zimny wiatr, wcale nie majowy.

— Widać aż stąd, jak ta wichura okrada nam sad z kwiatu. A nowy sad założony w polu i droga do krzyża, którą obsadziłem — wiesz, Manius? — W polu jeszcze się bardziej rozjadło wichrzysko, z piekła rodem!

— Tyle tego kwiatu — pocieszała Manieczka — ten, co się utrzyma, da jeszcze piękniejszy owoc.

— Teoryjka do zlewu, córuś.

\* \* \*

Trafnie przeczuwała Manieczka, że Stefan namyślał się gorączkowo w samotnym swym domku w Niespusze. Chociaż doszedł do przekonania, że ci, od których stronił dawniej z nieufnością, są właśnie urodzonymi sprzymierzeńcami od roboty z ludem; chociaż ujęło go wstawienictwo za jego uwolnieniem tych »zacofańców«, których miał za wrogów, a którzy, widocznie, poznali w nim i ocenili dobrą

siłę przyszłości; chociaż olśniony został przez przyjęcie w Sławoszewie i kochał naprawdę pannę Broniecką — uparta pycha przeszkadzała mu do odstąpienia teoryi i nawyknień. Co innego zakładać szkołę ludową z gronem ludzi mocnych i roboczych, choć trochę odmiennie myślących, co innego zaś skojarzyć się nierozdzielnie z rodziną starszszlacheckiego typu. Przypominał sobie Stefan salon pani Obichowskiej, a w nim próżniaczych panów i puste kobiety. Mająż-to być odtąd jego krewni? jego zwykle towarzystwo? — Nigdy!

Ona, ta najmilsza, zdaje się być zdecydowana na życie wspólne wyższego zakroju. — Ale trzeba ją wyprowadzić z towarzystwa, z którym obcuje. Nie odrywać od ojca, kochanego człowieka, — nie — lecz od szlacheckiej, zacofanej kliki. Małżeństwo zaś z panną Broniecką obowiązuje niejako do poszanowania tej kliki, do wdzięczności względem niej — panna Broniecka jest bogata — —

Przemyślały nawet Stefanowi przez głowę przewidywania, jak to jego koledzy z »Ludowca« (taki Owocny!) sykać będą i nazywać go karyerowiczem, spekulantem! Ale te względy pomijał, bo nie czuł w sobie ani cienia podobnej pobudki. Owszem — zrzekłby się posagu i dziedzictwa Manieczki — szczerze. Żałował, że się właśnie urodziła z bogatej, starożytnej szlachty.

Trzeba jednak było działać. Choć się do-

tąd nie oświadczył, czuł, że zachowanie się wobec niego Manieczki i jej ojca zmusza go do oświadczyn. Uczyni to niewątpliwie — tylko w jaki sposób: czy bezwarunkowo, czy z zastrzeżeniem swej niezależności ideowej, majątkowej...? Najlepiej — powie tej jedynej wszystko, co myśli i czuje, bez utajeń, bez dyplomacyi. Będzie, co będzie.

Wtem do Niespuchy przyjechał ojciec Stefana, może przeczuwając, że syn potrzebuje na tym przełomie życia oparcia o ramię męskie mocne i niepodejrzane przychylnie. Jakoż Stefan pierwszy raz od czasów dziecięcych zwierzył się ojcu otwarcie, a doktor pierwszy raz wywarł stanowczy, energiczny nacisk na losy dorosłego syna. Nazajutrz, po długiej nocnej konferencyi, obaj Czemsy pojechali do Sławoszewa.

Wzruszenie ogarnęło wszystkich, nawet Bronieckiego. Zdarzyło się nawet małe zamieszanie, gdy pan Józef poszedł do swego pokoju, aby się przebrać, a Mańka wybiegła za nim bez widocznego powodu — i goście pozostali sami w wielkim salonie.

— Tatusiu! jaki ten doktor miły i piękny! — zawołała Manieczka.

— A nie mówiłem? — — I Stefan będzie taki sam. Przecie ja ich obu wynalazłem!

— Tatusi!...

— A któż tego zanego doktora Tomasza wyluskał z Lublina? — —

— Prawda... — odrzekła Mańka ze szczyptą obłudnej pokory, przepadającą w niezmierną radości ogólnego porozumienia.

— A widzisz! Skąd-że byś go nawet znała, jeżeli nie przeze mnie? Nic ci jeszcze nie powiedział — —

Ale Manieczka przejrzała już doktora w jego postaci, promieniejącej wspaniałą siwizną i mądrości oczyma, w sposobie uściśnienia jej rączki przez obie delikatne, magnetyczne dłonie uczonego.

— Tatusiu najukochańszy, najmądrzejszy!

— Tak, tak... Wracajże do nich, szczebio-  
tko, bo pomyślał, żeśmy głowy potracili — —

Wróciła Mańka do salonu i rozpoczęła o pogodzie, która tym razem wymagała, aby o niej mówiono: zimny deszcz dokuczliwie i przekornie smagał po szybach okien.

Pogoda dostarczyła też wymówki powracającemu Bronieckiemu:

— Taki psi czas, że człowiek szlafrokuje w domu; tem większa jubilacya z odwiedzin najmilszych druhów.

Doktor odezwał się wreszcie o czemś ważniejszym:

— Tęskniłem dawno do możności odwiedzenia szanownego pana; od naszego spotkania w Lublinie nabrało się wiele rzeczy do omówienia, wiele wyrazów serdecznej podzięk... Może mnie pan zechce zaprowadzić do swej pracowni?

— Gdzie chcesz, kochany panie Tomaszule! A młodzi bez nas się obejdą.

Stefan i Manieczka pozostali więc sami w dużym salonie. Oboje, choć ludzi odważnych, przejęło drżenie wewnętrzne przed nadchodzącą chwilą, upragnioną, ale tak zaciekawiającą, że nie śmieli jej przyśpieszyć. Stefan wyraził ponownie swą wdzięczność Manieczce za pamięć o nim w więzieniu.

Wzruszyła ramionami, uważając to za rzecz zupełnie naturalną; skrzyła do czego innego:

— W tym salonie pierwszy raz pana zobaczyłam.

— Prawda! Ale ja pani nie widziałem. Gdzież była kryjówka?

— O tam — za tamtymi drzwiami jest mój pokój — — pan siedział w tym kącie salonu i... strasznie nas nienawidził.

— Nigdy! — zaprotestował Stefan serdecznie — jednak radykalnie zmieniłem zdanie od owego czasu. — — Przedewszystkiem nie znałem pani.

— To ja inaczej. Kiedym pana usłyszała po raz pierwszy, odrazu poczułam, że pan chce czegoś dobrego... mojego...

— Czego ja chcę? proszę mnie wysłuchać, pani!

Czemski powiedział to gwałtownie; zerwała się w nim burza nieodgadniona i odbiła się na twarzy. Manieczka spoglądała nań z gorączkową uwagą. On zaś mówił:

— Poprostu powiem, bo nie umiem inaczej, nie chcę mówić inaczej. Natura ciągnie mnie do prawdy nagiej, wszelkie jej osłony są mi wstrętne. W sferach towarzyskich, do których pani przywykła, nazywają takie usposobienie chamstwem.

Przerwał, spoglądając na Manieczkę, która odpowiadała spokojnie:

— Pan to sobie tak nazywa... ale ja rozumiem. Ja także niecierpię dróg krętych i jestem zawsze szczerą.

— Wiem to — przeczuwam — dlatego też pani jest jedyną i pierwszą w życiu spotkaną istotą, przed którą pragnę odsłonić całą swą duszę. Więc powiem najprzód to, co panuje we mnie nad wszystkim: kocham panią — —

Manieczka drgnęła — — wyciągnęła ręce — — ale je opuściła, gdyż Czemski nie ruszył się ku niej. O sprawie tej najdonioślejszej, najpożądanej mówił z głębokim przejęciem, jednak bez spodziewanej słodyczy.

— Kocham — powtórzył — bo żadna kobieta, żaden przyjaciel, żadna powaga... nikt nie wywołał we mnie takiego wewnętrznego przewrotu, jak to uczyniłaś... pani... kilku rozmowami, kilku błyskami swych uśmiechów jedy-nych... Musiałem to wyznać — — jednak nie wiem, dokąd mnie to serdeczne i wielkie uczucie prowadzi...?

— Jakto? nie wie...? — cicho rzekła Mańka.

— Nie wiem najprzód, czy pani... to jest:

jak pani zapatruje się, albo raczej odpowiada... — płątał się Stefan w sieci najpospolitszych wyrazów.

Aż Manieczka zawołała, prawie ze łzami:

— Ach, pani! proszę mnie nie męczyć! Gdzież ta szczerłość?! pan wie doskonale, co ja odpowiadam — pan wie oddawna!

— Więc mogę się spodziewać?!

— Możesz, możesz, mój jedyny! — —

Dopiero gdy Stefan rzucił się do kolan ukochanej, ucałował jej ręce — i oczy — i usta — gdy Manieczka zatrzwożyła się nagle i znowu »panie« próbowała mówić narzeczonemu, — uspokoili się, usiedli blisko obok siebie, trzymając się za ręce.

— Więc co to było? — zapytała — co znały te wahania?

— Ach! raz jeszcze przeszkadzała mi ta głupia teoria... to jest nie teoria głupia, tylko ja sam, bom ją źle stosowałem.

— Opowiedz! — —

Drżenia serc niesytych, ponurość umysłów zaniepokojonych wątpliwością, troski o pomyślność osobistą i ogólną — wszystko, jak wielkie wody po rozkołysaniu wracające do równowagi, wyrównało się w słońcu.

Z wiosny opieszale gospodarze wróżyli, że jednak będzie łaskawa na żyto, którego kłosa już wysypały się włochatą powodzią nad podwyższone łąny; źdźbło mocniejsze będzie w ko-

lankach, że wolniej rośło, i żyto nie wylegnie — — teraz tylko cichej pogody na okwit — i słońca, słońca!

Przybywało go coraz więcej, coraz cieplejszego. Nabierały otuchy serca rolników, chciwe błogosławieństwa niebios dla wypracowanych planów. I rośła w sercach wiosenna ochota do bujności życia, do zamiarów rozmaitych, wypieszczonych w zimowym zasklepieniu.

Zaręczyny panny Bronieckiej z Czemskim były tą chorągwią świąteczną, zatkniętą nad panującym okolicy domem, tym sygnałem wesela, na który zapatrywały się tysiące oczu rozradowanych; ludzie więksi i mniejsi wyciągali z tej nowiny wróżbę pomyślności dla spraw swoich: szczęście zjawilo się w krainie razem z wiosną i teraz wszystkich wedle uprażeń obdzieli.

Hukały piosenki po chatach i na polach Mielna; obrzydzili sobie chłopci niedawne waśnie i bunty przeciw razem powziętym uchwałom, bo i w głowach uczyniło się jaśniej od powrotu Czemskiego a pod nieobecność Owonego. W Niespusze stanie szkoła rolnicza, i to pod opieką tegoż Godziemby, który dom gminny w Mielnie popiera. Jednak Rykoń miał słuszność, jak zwykle okazuje się po czasie! Ruszyła się składka na budowę domu, wielu gospodarzy przyłożyło ręki do dzieła, które też pięknie rośło. Jakby nigdy nic nie zakłóciło zgody i pracy, gromada szykowała się ochot-

czo do nowych, lepszych czasów. Przeciwnicy Rykonia nawrócili się do niego w większej części, a najzatwardziały umilkli. Michał Bembenista, który już był podziękował za służbę, naprosił się sam znowu, aby pozostać, miarkując, że nic nie będzie tymczasem z jakiegoś tam nadzieju gruntu parobkom, a że lepszego miejsca, jak u Rykonia, łatwo nie znajdzie. Jan, widząc, że się parobek ustatkował i zabrał do pracy, zgodził się go zatrzymać.

Siły ludzi wzrastały w miarę powodzenia przedsięwzięć domowych, polnych i okolicznych. Niejeden, który już przeklął był swoją dolę, nabierał do życia ochoty i wydało mu się nagle godnem zapału. Byle silnie robić i trwać — rychło lepiej będzie! A przecie nie tak bardzo nie zmieniło się na świecie oprócz tego, że szła mocna i pobudliwa wiosna.

Odczuwały ją najradośniej dzieci, przez zimę zasepione, wyblichowane na policzkach w izdebnem zamknięciu, gdy teraz krążyły swobodnie po okólniku i pośród zielonych drzew sadu, znajdując co chwila nowe cuda kielków i kwiatów przy ziemi, a wesołe muszki, dziwne żuczki i podrygujące ptaki w przestrzeni powietrznej, przesłoniętej bogatą już gęstwą gałęzi — — i, wybiegwszy na słońce, łowiły je na pyszczki zarumienione, na chciwą ogrzewku skórę, marząc lotnie o słodczy życia. Młodzież podrosła, wypędzona na pastwisko za inwentarzem żywym, dzieliła z nim

radość wiosenną, przyglądała się szerszym jeszcze dziwom, ciekawszym zagadkom przyrody i czuła już we krwi podniecię mocy rodzajnej. Tęgie zaś chłopcy, pozbywszy osowiałości, godzili się ze swarliwemi niewiastami, a potem przemyślały o sprawach swoich i pospólnych. Staruszek, łagodnie zadumany, wygrzewał się tu i owdzie na przyzbie.

Dużo było wesela i nadziei w Mielnie z wiosennych pędów i rozkwitów — cóż dopiero w Sławoszewie, gdzie w niezmiernych bukietach zieleni tkwiły już filigranowe stożki kasztanowego kwiecia, kiście bzu rozbłękitnione na fioletach, różowe frendzelki kozodrzewiu, szafranowe kity złotej porzeczki. Co ranka wybuchwały wysoko nowe rozkwity śnieżne, a na rabatach kwietnych już tęczą mieniły się barwy.

Idąc przez te krainy świeżości i woni, mówił Stefan do Manieczki:

— Najdroższa moja! nie wiedziałbym, co kochać w życiu, do czego dążyć, gdyby nie pani, gdyby nie Ty...

I głosy ich zharmonizowane cicho, myśli dopełniające się cudownie tonęły w bezmiarach wiosennej zieleni, wiosennego oczekiwania.

A pan Józef spoglądał przez okno, siedząc w fotelu, z dwóch powodów: nie chciał przeszkadzać pilnym rozmowom narzeczonych i — lupało go coś srodze w nogach — reumatyzm, czy artretyzm? — nie wiedział dokładnie, bo

leczył się dotąd tylko doświadczalnie, bez wielkiego zachodu i bez pomocy doktorów. Ale rozkosze wiosny niezupełnie dostępne i widok młodej pary, tak wybornie usposobionej do ich używania — nasuwały myśli trochę rżewne i trochę żałosne, naogół filozoficzne.

— Nie nam już gruchać, jak makolągwy! — myślał pan Józef w liczbie mnogiej dla pociechy, że ma wielu rówieśników co do wieku, kolegów artretyków i w sytuacji ojców wydających córki za mąż.

Czuł w sobie jednak wartką siłę życiową, dla której musiał znaleźć jakieś zadanie. — — Byleby zadanie przyjemne, nie zaś przymusową robotę. — — No, gospodarka rolna, kiedy się darzy, daje zadowolenia: pieniądze (nigdy ich za dużo!) i tę pociechę oglądania coraz bujniejszych plonów, piękniejszych okazów bydła, składniejszego porządku na uszczęśliwionej ziemi. — — Ale cóż z tego? — jeszcze jeden medal nagrodowy z wyobrażeniem byka w prawo, albo w lewo? — — A, przepraszam! do bry przykład i reputacya — stąd pozycya, która się nawet opłaca w życiu codziennem niemałemi słodyczami. — Jednak w zażywaniu słodyczy przeszkadzała coraz bardziej pięćdziesiątka, naciągająca razem z niektórymi defektami cielesnego aparatu. Pozostawałyby więc niezależnie od wieku zadowolenia z pracy nad dobrem ogólnem, z akcyi obywatelskiej. — —

Broniecki aż nadał się od namysłu, czy też



on rzeczywiście pracuje dla ogółu, czy tylko przez wrodzoną uprzejmość oddaje usługi, pod dobry humor, bliźnim sympatycznym, a przez tolerancję lub obojętność nie przeszkadza cudzym robotom — jeżeli nie są wręcz przeciwnie jego interesom? — —

— Gdy się szczebioce przed ludźmi o swoich dziełach — odpowiadał sobie — nazywa się to pracą dla ojczyzny; ale żeby się przyznać, jak na spowiedzi — robi się to, co przyjemne, i myśli się o Polsce jak o sławnym nieboszczyku pradziadku — —

Dochodził do wniosku, że wypada zabrać się ostrzej do działań publicznych, nie opuszczając swych prywatnych zabiegów, które też dają wyniki pożyteczne dla ogółu. Nie miał zaś wcale wątpliwości, gdzie i co robić, bo widział wyraźnie naokoło siebie zadania i roboty zbawienne. Tylko wykonywali je zawsze ci sami ludzie, nie tyle wielcy i sławni, jak silni przez znowę i zgodę: potężna Gromada — — Niema co! trzeba wejść w ich szeregi, przestać luzem chodzić i luźne tylko miewać porywy ku dobru ojczyzny. —

Wre praca naokoło: w Mielnie, w Niespusze; ten młody... zięć wyrywa się do pracy społecznej. I on rozumiał, gdzie są najlepsi sprzymierzeńcy do pracy z ludem. Broniecki wiedział to oddawna, tylko mu jakoś nie uśmiechało się iść pod komendę ludzi prostszych, czasem przeciętnych jako jednostki, ale skła-

dających armię czynną w narodzie. Bo przecie wszędzie, gdzie się coś na wsi porządnego poczyna i rośnie, w okolicy i w szerokim kraju — wszędzie to się dzieje za przyczyną lub z udziałem Gromady — —

Narzeczeni powracali ku domowi. Zobaczył ich przez okno pan Józef i ucieszył się, że Manieczka śpieszy do domu, na godzinę szóstą, przeznaczoną na czytanie dzienników ojcu, dzisiaj niedomagającemu. Była właśnie szósta. — Zakochani szli wolno, zwracając ku sobie głowy; widać było po nich, że świat cały jest im tylko ramą spójni osobistej, jedynie dla nich istniejącej. — — Doszli do domu, prawie do otwartego okna, za którym siedział pan Józef — — nie spojrzeli na niego i zawrócili w dalszą przechadzkę.

Nie zawołał ich Broniecki; przeprowadził oczyma, aż znikli za buketami drzew.

— Mają słuszność... Jabym uczynił tak samo w ich wieku i na wiosnę — — —

Późniejszym wieczorem rozśpiewały się słowiki, tęsknie dla ojca, rozkosznie dla dzieci.

## XXI.

Dnia 13-go maja obudził się Broniecki przed wschodem słońca. Śnił, że podróżuje przez beznadziejne śniegi Syberyi. — — Wzdrygnął się. — Rzeczywiście w pokoju było nadzwyczaj zimno. Bardzo chłodny był już i wieczór wczorajszy, ale dzisiaj — cóż się tam dzieje na dworze, do kroćset...?

Rozsunął firanki od okna i osłupiał. Przetarł oczy niedowierzające, dotknął palcami lodowatej szyby, pomacał się po żebrach i, przekonawszy się wreszcie, że nie śni, patrzył przez okno rozpaczliwie.

Śnieg zimowy, nawalny, przekreślał całą widowńię zmienioną do niepoznania. Dróg i murawy nie widać już było pod śnieżnem zasłaniem, biel ogarnęła niższe krzewy i wszystkie bzy kwitły biało. Dach tylko, nasiąknięty uprzedniem ciepłem, topił na sobie śnieżycę i płakał ciurkiem z okapu.

Bunt wzbierał w Bronieckim, podczas gdy narzucał pośpiesznie ubranie, aby dom zbu-

dzić i komuś się poskarżyć, kogoś sfukać... aby mieć przynajmniej towarzyszy tej niespodziewanej, niesprawiedliwej kłęski. Bo przecie żyto już się wykłosiło! I wszystkim stworzeniom boskim należy się nareszcie słońce!

Zadzwoił na kamerdynera Ignacego, który zjawił się dość prędko, całkowicie ubrany, widocznie pierwszej już rozbudzony przez kataklizm przyrody.

— Ogłuchłeś, arcybyku, że nie przychodzisz?!

— Jestem przecie, proszę jaśnie pana — odrzekł urażony kamerdyner.

— Pana Wierzbowskiego i ogrodnika!

— Zawołać? — —

— Nie; powsadzać na dach, żeby śnieg rozdmuchali — — Gawron! — no, ruszaj mi po nich, pókim dobry.

Przeszedł do jadalni, gdzie duże okna, nie zasłonięte, przepuszczały dzień jasny, grobowy. Słońce już wstało za tą nienawistną zamiecią. W pokoju było dużo wazonów z kwiatami, drażniącymi wonią dysharmonijnie, jak wieńce na trumnie. Broniecki przechadzał się, groźnie klapiąc pantoflami, ziejąc zemstą na żywioł wrogi a bezmyślny, gotując się do jakichś zarządzeń, choć wszystko, co pomyślał, urągało jego bezsilności. — — Aż pociągnięty wdziękiem wiązanki bzu, moknącej w wazonie, zbliżył się do niej i zatopił twarz całą w jedwabistych kiściach.

Drgnął, poczuwszy lekką rękę na ramieniu. Manieczka już wstała i cicho przyszła do ojca. Na kogo innego pewnoby fuknęła, ale córkę pocałował w czoło.

— Może jedyny ocalał? — rzekła Mańka, wskazując na bez.

— Pewnie... ale co tam bez, żyto przepadło!

— Ach, zaraz przepadło, tatusiu! Przecie ten śnieg prędko ustanie — jesteśmy w maju.

— Gdzież tam! trzydniówka — widać po niebie i po rozmachu tych dyabelskich biczków. — To jest właśnie nasz kochany klimat, o którym miejskie gryzpiórki wywodzą trele. I pracuj tu na roli, bądź mądry!

— Już się i poetom dostało? — próbowała uśmiechnąć się Mańka.

— A pal ich sześć! niech nie lżą!

Spastwił się pan Józef nad nieobecnyimi, przeszedł się nerwowo, a potem mówił gorzko, jakby na złość sobie i córce:

— Miałem ja już w kwietniu złe przeczucia; to się dopiero zaczyna — nieszczęścia zawsze stadami ciągną, jak wrony.

— Tatusiu! nie trzeba tak mówić... — zasepiła się Manieczka, wspominając, że zdarzyły się niedawno wypadki bardzo szczęśliwe, równoważące utratę żyta, a nawet wszystkich plonów.

Weszli do pokoju rządcą Wierzbowski i ogrodnik. Broniecki, trochę już ułagodzony

i miarkujący, że ubliża jego powadze okazywanie bezsilnego gniewu, wydał jedyny rozkaz rozsądny, który mu przyszedł do głowy:

— Jak tylko śnieg przestanie padać, weźmie ogrodnik nawóz z obory, okopie wszystkie drzewa owocowe i podsypie im obornika. Głęboko na dwanaście cali. Panie Wierzbowski, całą siłę roboczą da pan na to.

Urzędnicy skłonili się, milcząc. Nie wiedział i Broniecki, co dalej poradzić. Można było tylko wypytać o szczegóły kłeski.

— Skąd wiatr, panie Wierzbowski?

— Północno-wschodni.

— Tak — zgrzytnął Broniecki — od tej strony przychodzi nam wszystko najlepsze...

Ciągnął się dzień feralny bez żadnej pociechy, bo i Czernski wczoraj wyjechał do Warszawy dla podpisania ostatecznej umowy z Godziemką o sprzedaż Niespuchy; sprawa bardzo chwalebna, ale Manieczka nie miała przy sobie narzeczonego. Żałowała go serdecznie, że marznie gdzieś na drogach, ale może lepiej, że go niema w Sławoszewie, bo ojciec taki zły dzisiaj! gotowiby jeszcze się pokłócić. A Stefan przyjedzie jutro, gdy już śladu śniegu nie będzie.

Okolo południa była godzina otuchy: śnieg przestał padać i zaraz ziemia, jak omdlały chory, którego już obleczono śmiertelnym całunem, zaczęła ten całun na sobie rozdzierać. Znikły najprzód śniegi na piasku dróg, zaczęły

potem wyzierać z grząd nieszczęsne, obumarłe twarze kwiatów; drzewa i krzaki ociekały kroplistymi sznurami. Ale wiatr lodowaty nie ustawał i po niebie pędził brudne chmury, niewyczerpane.

— Najgorszy właśnie ten przekłety wiatr — narzekał Broniecki — czego flaga nie zbiła, to wiatr rozniesie. Pustą słomę kosić będziemy. Co tu zresztą gębę psuć na prelekcję? — wszystko dyabli wezmą: zboże, owoce, łąki. — Wynieść się tylko z kraju, aby na to nie pa-trzeć! — —

Zbierała rzeczywiście taka pokusa — od drugiej po południu zacięła znowu śnieżycą, a termometr opadł niżej zera. Zima dzika i sroga ogarnęła krainę, jakby miała nad nią prawo na wiosnę, w maju!

Broniecki sposepniał, zamilkł i szukał zajęcia, któreby go odciągnęło od myśli o rosnącej wciąż klęsce. Manieczka spróbowała czytać ojcu na głos jakąś wesołą książkę, ale pan Józef nie słuchał. Trudno było oderwać oczy od trupio-błatego dnia, który wdzierał się przez wszystkie okna. Ucichł gwar życia naokoło dworu; pospała się zapewne służba folwarczna z przymusowej bezczynności; gdy kto czasem przechodził pod oknami, chłop w kozuchu, lub dziewczyna podkasana, okryta fartuchem, widać było, jak nawalił kopny śnieg, powyżej kostek. Przekorne wrony łązi

zaczęły blisko domu, radując się z powrotu zimy.

Przed wieczorem pan Józef przerwał nagle czytanie:

— Gdzież poczta? jeszcze nie przyszła?

Nie było jej jeszcze; posłaniec miał ciężką dzisiaj drogę, a może, korzystając z tej wymówki, gdzieś popasał. Odtąd czekano niecierpliwie na przybycie poczty — może przyniesie chociaż wytłómaczenie wrogiego zjawiska przyrody w wiadomościach meteorologicznych dzienników — — albo jaką dobrą nowinę na pociechę? — — albo jeszcze gorsze wieści? — —

O zmroku dopiero służący wniósł do pokoju torbę pocztową nawskroś przemokłą, z której Manieczka dobyła parę dzienników, parę listów z reklamami, obojętnych, i jeden list urzędowy, od naczelnika powiatu.

Broniecki wziął skwapliwie ten list rosyjski i po pierwszym rzucie oka na nieznamy charakter pisma zawołał:

— A! nowy naczelnik powiatu!... Słyszałem już, że mają naszego usunąć — — niezgorszy był sobie — szkoda.

W miarę czytania obruszył się:

— Co takiego?! wzywa mnie do siebie! — Cóż to za nowe mody? — A nie łaska »jego wysokorodja« do mnie przydyndać się z re-spektem?...

Czytając dalej, Broniecki zmienił wyraz twarzy; już nie zły humor, lecz zaciętość skur-

czyła mu rysy, rozświeciła oczy. Doczytał uważnie, ze złowrogim spokojem.

— Wyobraź sobie, Manius! — — Wzywa mnie, abym się wytłómaczył, na jakiej zasadzie zwołałem w przeszłym roku w lipcu zebranie »różnych stanów« dla uchwalenia budowy domu gminnego w Mielnie, który do tychczas nie został przez właściwą władzę zatwierdzony!

— To jeszcze tatusia mogą wpakować do kozy, jak pana Stefana! — zawołała żałośnie Manieczka.

— Niech spróbuj! samby koziołkiem wyleciał z siodła, gdyby się odważył na coś podobnego! Ale widzę z listu, że musiał, bestya, wstrzymać roboty w Mielnie... No, dzisiaj już zapóźno — dowiemy się jutro. — — Przeczytaj-no, Manius, gazetę — —

— Jakiś duży artykuł o naszej kolei... czy mam czytać? —

— Właśnie, właśnie! bardzo ważna sprawa. Dowiedzieli się z artykułu, że skup kolei przez rząd jest postanowiony.

— A, ładna nowina! — zawołał Broniecki — tysiące rodzin polskich na bruk wyrzucone! — — Cóż dalej? — w telegramach z Petersburga?

W telegramach były echa beznadziejnego szamotania się garstki posłów polskich w Izbie państwowej z zażartymi na »inorodców« projektami prawicy rosyjskiej; szmermele bujnej

wymowy za sprawiedliwością i ślepe uderzenia przeważnej siły.

— Mówiłem — wtrącił Broniecki — nie-szczęścia wałą się kupą, a wszystkie stamtąd, od północno-wschodu.

Ale już nie kłął, ani narzekał hałaśliwie, jak przeciw dopustom żywiolowym, wobec których nie było innej obrony. Od wrogiej mocy ludzkiej można się obronić. — — Można, ale jak ciężko, gdy ta moc prześladowcza jest codzienną atmosferą, prawem! Praca społeczna, rozwój, postęp — wszystko, w czem inne narody zakładają swą chlubę — dla Polaka jest buntem i katorgą. Żeby przynajmniej ta krwawa praca przynosiła normalne i trwałe owoce. Gdzież tam! Całej siły rąk, całego dnia potrzeba na wykonanie zadań, które w innych krajach szczęśliwszych są dziełem godziny i lekkiego wysiłku. — — Ani czasu na spoczynek, ani na smakowanie słodczy życia — ani wewnętrznego zadowolenia z wyników. Wszystkie nasze poczynania dla dobra i sławy własnego narodu są nam poczytane za zbrodnie; prześladowani jesteśmy i karani za nasze cnoty obywatelskie; dzieła nasze ścigane są i niweczone za tkwiący w nich grzech pierworodny: krajowy pożytek. — — Jaki wielki naród był kiedykolwiek na takie losy skazany? I gdzie Bóg na niebie?!

Noc przyszła rozpaczliwa, bezsenna, chłostana ciągle przez baty śnieżycy.

Nazajutrz rano śnieg ustał, ale o południu przyjechał Czemski wśród powracającej zawiści. Był już taki nasyp śniegu na ziemi, że stracono poczucie pory roku i zaczęto przywykać do wiekuiestej zimy. Zagłada posiewów zdawała się faktem dokonanym.

Nie było nad czem długo się rozwodzić; Bronieccy i Czemski, po przywitaniu, pokiwali tylko smutno głowami, jak ludzie w żałobie. Od przybywającego ze stolicy oczekiwano wyjaśnienia groźnych wieści publicznych. Ale Stefan przywiózł szczegóły jeszcze obciążające; nowe zarządzenia i projekty petersburskie nie liczyły się z elementarnymi potrzebami Królestwa, pomyślane były jak na przekorę interesom i pragnieniom jego mieszkańców. A kłęski miejscowe były tamtej burzy centralnej niby ostatnią falą, najdotkliwszą, tą, która godziła bezpośrednio w obywatelskie zamiary gminy i jej gorliwych przywódców. Broniecki pośpieszył z zawiadomieniem Czemskiego:

— A tu mi nowy naczelnik, jakiś z piekła rodem, robi awanturę o przeszłoroczne zebranie u mnie w sprawie domu ludowego w Mielnie. I budowę, zdaje się, wstrzymał.

— Tak — potwierdził Stefan — powiedziano mi na wstępie w Niespusze, że przyszedł z powiatu rozkaz przerwania robót. — I nasza szkoła ludowa zachwiana.

— Co znowu?! nie sprzedałeś Niespuchy Godziembie?

— Owszem, sprzedałem. To uparty człowiek ten Godziemba! Tylko przyszło z ministerium wyjaśnienie, że język wykładowy w szkole projektowanego przez nas typu ma być rosyjski. Więc musimy się zredukować do kursów rolniczych kilkumiesięcznych, które wolno wyklądać po polsku.

— Doskonale! — zawołał gorzko Broniecki — to niby wszystko niemożliwe, za co się wziąć w tym kraju!

Spojrzał gniewnie przez okno:

— A śnieg przywała, jak na śmierć! —

Powrócono do kłęski najbliższej dotykającej skóry:

— Pewno pan futra nie wziął na tę podróż? — zapytała Manieczka Stefana.

— Nie wziąłem rzeczywiście. Któż mógł się spodziewać takiej pogody?

— No, to katar pewny — trysnął pan Józef niedobitym humorem. — Jak mi teraz kichniesz, Maniuś, będę wiedział, skąd to pochodzi — o!

— Ach, tatusiu! jak można żartować na te ciężkie czasy? — odparła, rumieniąc się, Manieczka.

— Jedyne, co nam pozostaje: pilnować swego nosa — dokończył żart Broniecki.

Ale Czemski osłonił zakłopotanie przez powrót do spraw publicznych:

— A jabym sądził, że nam co innego pozostaje: robota na własną odpowiedzialność.

Zacząłem wierzyć w możliwość jakiejś pracy legalnej. Na nic!

— Wyrывasz się znowu do ciupy, Stefeczku! — rzekł pan Józef, mrużąc oczy badawczo.

Stefan odpowiedział zawzięcie i z zapalem:

— To trudno! Nie można ciągle wegetować, albo żyć, jak... no, jak Żyd, dla samych korzyści pieniężnych. Zwiążą mnie, albo nawet sprzątną na dobre — pozostaną miliony, gotowe na to samo. Całego wielkiego narodu nie zwiążą!

— Gdzie ty widzisz ten wielki naród, mój drogi? Jest nas kilku w okolicy, którzy się ruszamy, w kraju — kilkuset. Reszta? — albo śpi, jak za króla Sasa, albo w najlepszym razie robi pieniądze.

— A nie! przepraszam! — zaprotestował Czernski — to pan mówi o sferze najbogatszej — już o stowarzyszeniach średnich i drobnych ziemian trudno to powiedzieć. A miasta? — przedewszystkiem Warszawa? — A lud wiejski?! Powie mi pan, że właśnie tego ludu miliony śpią, a kilkuset się rusza? Ale kto się ocknie i powstanie z ludu, jest odrazu Polakiem najlepszym, twardego gatunku. Dlatego to wspaniała i pyszna dla nas robota — lud budzić! Gdy włościanie wszyscy zrozumieją, co znaczy być obywatelem, wtedy naszą sprawę oprzemy na opoce!

— Racya, Stefeczku — daj gęby. — — Ale manewrujemy tymczasem tak, aby tych wszystkich, którzy lud budzą, którzy myślą, jak ty — nie wyłapano i pod klucz nie zamknięto, bo jak zabraknie chłopyszków ochoczych, cała robota w łeb weźmie. A chłopyszek ma na wolnym powietrzu inne też chwalebne interesy. Ty, na przykład, Stefeczku, żenisz się — —

— O, ja pójdę z nim do więzienia — wtrąciła Mańka głosem tak stanowczym, jakby już pora była wybierać się.

— Moja pani najdroższa! — odrzekł szybko Stefan, przyciskając do ust obie ręce narzeczonej.

— Poczekajcie! to zabierzcie i mnie razem, bo jakżebym ja bez was tu wytrzymał? — dodał pan Józef jowialnie.

Tak się pocieszali, na krótko, bo co kto spojrział przez okna, mroziła mu humor niesłabnąca, tragiczna śnieżyca.

Nagle zawołała Mańka:

— Ktoś jedzie!

Przed gankiem zabręczczała uprząż pocztowa, za którą cicho przesunęły sanie.

— Prawda, zapomniałem! — rzekł Stefan — Godziemba wybierał się tu następnym pociągiem. A że u mnie ani miejsca, ani służby, miał przyjechać pocztą do Sławoszewa.

— Dlaczegoż nie mówiłeś?! — zawołał Broniecki i, uradowany, podążył do sieni.

— Gromny Godziemba, cały ubielony, na szu-

bie, na czapce, na wąsach, wnosił do dworu mróz, ale i otuchę, że można ten mróz opanować, przez śniegi dojechać i nie pozbyć energii.

— Przyjechałem na majówkę... — mówił, zrzucając szubę.

A potem, otarłszy chustką twarz i rycerskie wąsy, przemówił z nawyknięcia parlamentarnie:

— Zdaje się, że trafię w myśl wszystkich tu obecnych, serdecznie życząc szczęścia zareczonej parze.

I ucałował mężczyzn w policzki, a Manieczkę w rękę.

— Zawsze wersalczyk! — odrzekł Broniecki nie bez cienia dobrodusznej ironii. — Lampeczkę gohy, panie Jerzy? na zagrzanie gospodarza?...

— Herbata lepiej to skuteczni — —

— To, to, to — herbata! Niech cię nie znam, panie Jerzy! Chyba z rumem?

— Jak tam każecie.

Godziemba zwrócił się do Czemskiego:

— A my, panie Stefanie, będziemy zaraz mieli robotę w Niespusze. Telegrafowałem do Wintera; jutro przyjedzie.

— Bardzo dobrze — odrzekł Czemski.

— Jaka tam po śniegu robota! — wmieszał się Broniecki. — Dostaniecie tylko kataru, albo gorszego licha i położycie do łóżek trzech mę-

żów ojczyźnie potrzebnych — o! — A szkołę i tak już dyabli wzięli —

— Urwali, ale nie wzięli — poprawił Godziemba — z reszty się znowu złoży. Cała nasza sztuka, panie Józefie, to budować z resztek, które mamy jeszcze w rękę.

— Pięknie — — tymczasem proszą nas do stołu.

W jadalni zaraz wyładowano wszystko, co kto wiedział o sprawach krajowych i miejscowych, samych kłękach.

— Cóż na to powiadasz, panie Jerzy? — zapytał Broniecki.

— Ha! uczą nas cierpliwości... A my ich nauczymy, że nas złamać niepodobna. W poje dynkę-by nas zmoгли, bo siła osobnika jest ograniczona, ale przeciw gromadzie jednomyślnej nie poradzą. Trzeba być w gromadzie, panie Józefie — — i panie Stefanie.

— Tak — odpowiedział Czemski — co do umówionych działań publicznych. Ale akcyja ogólna, myśl całego narodu nie może być biurokratyczna. Składa się z wolnych pomysłów i dążeń indywidualnych.

— Mogłoby tak być w jakimś wymarzo-nem społeczeństwie. Ale w naszym? — — Nas gnębi zorganizowany system, trzeba się bronić zapomocą innego zorganizowanego systemu.

— Dobrze to mówić! — rzekł gorzko Broniecki — ale organizuj tu, gdy ci z pod ręki



wyrywają robotę. Tak samo, jakbyś chciał siać w tę śnieżycę.

— Wiosna przemoże, nie dziś, to jutro — rzekł Godziemba.

— I pękną więzy — dodał Czemski.

— Bodajby! bodajby! — życzyli sobie wszyscy.

— A cóż o wojnie, panie Jerzy? — będzie?

— Kto wie?... Ja tymczasem robię wszystko tak, jakbym się jej nie spodziewał.

Umilkli trochę, rozważając.

## XXII.

Tegoż dnia, drugiego kłęski, przed południem, w chacie Rykonia było jakoby posiedzenie żałobne. Przyszedł Workowski i Selwestrowicz, w części dla gawędy o spadających na wieś nieszczęściach, w części dla nawiedzenia Jana, który siedział na ławie, a nogę prawą miał obwiązaną i wyciągniętą na zydlu. W zeszły poniedziałek, przy budowie domu, belka osunęła się, uderzyła i zraniła Rykoniowi kolano; dobrze jeszcze, że mu nogi nie przecięła. Zrazu mały czuł ból, ale potem kolano spuchło, matka i felczer ze Sławoszewa zaczęli Jana leczyć, może też i nagle a niezwykle ochłodzenie powietrza pogorszyło stan zapalny. Podrwiwał sobie Rykoń z tego niedomagania i wogóle był dzisiaj dziwacznie żartobliwego humoru, jakby lekce sobie ważył wszystko, co dni ostatnie na niego i na wieś zwały.

— W porę mi to przyszło — odpowiadał na zapytania sąsiadów o zdrowie — kiedy pan Naczelnik z panią Śnieżycą zmówili się, żeby

nam strajk od roboty przy domu nakazać. Dobrana z nich para!

Nikt żartu nie podtrzymał, nikt się nawet nie uśmiechnął; poruszone niedole paliły wszystkich zbyt boleśnie. Stara Pawłowa troszczyła się przedewszystkiem o zdrowie syna:

— Mówiłam odrazu: nic, tylko otuliłbyś się ciepło i do doctora, do Łowicza, pojechał. Pamiętasz, Jasieńku, jaką ci to maść cudowną dał tamtego roku na stłuczenie?

— Cobym nie miał pamiętać? dobra była.

— Na taką szarugę, jak wczoraj, tobyś nie mógł jechać; ano dzisiaj od rana trochę ustało, może da Pan Jezus już uspokojenie? — —

Rykoń pokręcił głową, spoglądając przez okno:

— Chmurzyska jeszcze paskudne i wiatr ten sam; znowu padać będzie — —

— Dalibyście już pokój, Janie, z tem krakaniem na nieszczęście — mruknął Workowski.

— Ja kracę?! — zawołał Jan niecierpliwie, jakby go nosiła gorączka. — To wy po wsi łazicie i na pola pozieracie, kiej te wrony! Ja wiem, że złe minie, uskubnie nas krzynkę, ale nie zmoże. Nie zginiemy.

— Toć wiadomo, że śnieg bez całą wiosnę padał nie będzie — rzekł Selwestrowicz — ale jakże dom budować będziecie przeciw zakazowi pana naczelnika?

— A będę! — rzekł Rykoń uparcie.

— Składkę skąd tu dawać, kiej wszystko przepada? — dodał Workowski, powodząc tragicznie ręką przez oba okna, za któremi zalegało śnieżne spustoszenie.

— Nie dacie? to się bez was obejde! — rzekł Jan gwałtownie.

— Chyba żeście do nas na gubernatora nastali? — wtrącił Workowski ironicznie.

Pomiarkował się Rykoń, że za dużo powiedział, więcej, niż sam wie. Jak to będzie? — jeszcze nie wykalkulował, miał tylko niezłomne przekonanie, że mozolne dzieło gminne musi doprowadzić do końca. W odpowiedzi sąsiadom trochę zrejterował:

— Wszyscy my sobie gubernatory, którzy dobro pospólne rozumiemy. Na składkę zrobiliśmy uchwałę — święty nasz obowiązek płacić.

— I na co, kiej budować nie pozwalają? — ostro zapytał Workowski.

— Naczelnik nie ma mocy przeciw gminnej uchwale. Zatrzymał budowanie — stanęliśmy, bo i ta psia pogoda przeszkodziła. Ale kazać zmarnować tyłą robotę nie ma mocy.

— Pytał się was będzie?

— Jensi nim potrząchną. A my to pluć w kaszę sobie pozwolimy?

— Pewno, że nie — rzekł Workowski od-ruchowo, przez butę, choć niezupełnie przekonany.

Tymczasem na przekorę dzielnej otusze Ry-

konia batogi śnieżne znowu zacięły w spocone szyby okien.

— Jezus, Marya! — zawołała Pawłowa — a toć już pokaranie za cudze, nie nasze winy!

Posepność ogarnęła izbę zamroczoną. Nie było już o czem radzić. Sąsiedzi chcieli się pożegnać, ale probowali jeszcze przeczekać śnieżyce. Długo milczeli wszyscy, podpierając dłońmi zasepione czoła, albo krzyżując ramiona z rezygnacją.

— A cóż to Magdalena dzisiaj nie przyszła? — zapytał Rykoń matki.

— Nie przyszła — odrzekła stara głosem miękkim i rozżalonym — porzuciła wełniak, cośmy go wczoraj zaczęły.

— Olczakówna? — zapytał Workowski.

— A jużci nie inna — nawet że obiecała.

Magdusia wkradła się była już w łaski Pawłowej przez słodkie pochlebianie, tęgą pomoc w robotach, a zwłaszcza przez niezwykłą zdolność do tkactwa, które było namiętnością starej. Przychodziła też codzien do Rykoniów.

— Magda, skoro świt, zabrała się ze Stańczakami do Łowicza — objaśnił Workowski.

— To jakże wróci, kiedy Stańczakowie tu nie wracają? — zapytał Rykoń.

— Mówiła, że na południe będzie z powrotem.

— Zachciało jej się też na taki czas! — troskliwie zawołała Pawłowa.

— Nie padało nic o wschodzie słońca — tłómaczył obojętnie Workowski.

Zato teraz smagał śnieg od wschodu na zachód niemiłosiernie; ruchoma ściana zawiei, zaledwie przezroczysta, spodem oparła o niepokalaną bieliznę ziemi, szczytem tonąca w męcie chmurnym, zasuwawa krainę mrozem i zniszczeniem, a choć już doszła i przeszła, trwała ciągle w swym zaborze, w nieprzejrzanej grubości, ścisłała ze wszech stron, gnębiła z góry, ścinała lodem łyzy ludzkie i słabszym sercom dawała przedsmak śmierci.

Pora była na obiad; rozeszli się sąsiedzi każdy do swego ogniska.

Dopiero teraz Rykoń, gdy sam pozostał z matką, poskarżył się:

— Oj, źle, matulu — —

Pawłowa spojrzwała w świecące oczy syna i na jego policzki zaognione:

— Gorąc cię zмага; legnij se w pościeli, Jasiętku.

— Nie legnę; żebym się położył, tobym na dobre zachorował. Co mi tam noga! — fraszka. To mniej boli, niż zła dola pospólna.

— Może Pan Jezus i ta Matka Częstochowska nagrodzą choć na jarzynie? — pocieszyła syna ciałniej patrząca Pawłowa.

— Taka nasza wiosna, takie i życie! — westchnął krótko Rykoń.

I wiedząc, że w sercu matczynem znajdzie odgłos tylko fizycznego bólu, zamilkł. Potem

dał sobie odnowić zioła na spuchniętem kolanie i przewiązać.

Zjadł niewiele na obiad — miał się zabrać do czytania wczorajszych dzienników — gdy nagle błysło mu w oczach i zapytał niespokojnie:

— Powiedźcie-no, matka, niech Fudała skoczy do Workowskich i zobaczy, czy Magdusia wróciła z Łowicza!

— Bo i prawda — ucieszyła się Pawłowa — zawołałby ją do nas, zarazby choć młode gadanie rozległo się w chałupie.

Do Workowskich było od Rykoniów nie więcej, jak pięćset kroków, ale Fudała, rad z rozrywki w dniu ponurym i beczynnym, powrócił dopiero za godzinę.

— Gdzież się podział i co tam? — zapytał Jan niecierpliwie.

— Dowiedziałem się o wszystkim sumienie. Magda zabrała się ze Stańczakami o święcie. Nie ma kożucha, to się w wełniaki owinęła potrójnie. Miała se nająć furmankę na powrót z Łowicza, a wzięła z sobą grosiwo, bo po sprawunek do miasta pojechała.

— Mówiła, że powróci na południe?

— Mówiła, ale jeszcze jej niema; na drodze buchanina okrutna.

Rykoń wyliczył, że jednak od świtu, który w maju jest wczesny, upłynęło już dziewięć godzin. Dwoma podwodami można było powrócić z Łowicza, choćby stępa jechać całą drogę. Wstał z ławy, prawą nogę rozprosto-

wał i, choć syknął odruchowo, przeszedł izbę nie kulejąc.

— Matka! — rzekł — zaprzęgå do sanek i wyjadę na drogę do miasta. Może się na taki czas dziewczucha zmarnować.

— W imię Ojca i Syna! — zawołała Pawłowa — gdzież takiemu gospodarzowi?... i jeszcze z chorą nogą? — —

Rzeczy niecodzienne wydawały się starej niemożliwemi, a nawet zdroźnemi.

— Nic mi nie będzie — przekładał Jan — a nawet tak siedzieć w izbie najgorzej: krew się nie rucha i gęstnieje w kolanie. A dla ludzkiego stworzenia, i dobrego, można zarezykować. Już ona dla mnie także...

Nie domówił, lecz raźna ochota, z którą się zabrał do przyodziewku, mówiła za niego. Tkliwa, a uparta miłość dziewczyny, jej poświęcenie i uczciwe zabiegi wzruszały coraz mocniej jego serce, kamienne tylko przez rozkaz nieubłaganej woli. I matka lubiła już piękną, przytulną i sprawną Magdusię. Teraz zaś wiedziała, że gdy Jan coś postanowił, darmo go od zamiaru odwoździć.

— Weź chociaż drugi kożuch — rzekła, zniewolona — będzie ci na nogi, abo i dla niej?...

— O! dobra rada, matczynia! — odpowiedział Jan wesoło.

W całkowitej zimowej odzieży wyruszył sankami, zaprzężonemi w najlepszego konia.

— To ci cholera! — zaklął, oślepiiony blaskiem ziemi i ostrym nawiewem śniegu w oczy.

Mijał chaty zamknięte, bezbarwne, uszczuplone od spodu przez zasy. Na drodze nie było żywego stworzenia. Może go tam przez zamglone szyby wypatrzyły czyjeś oczy i poznały, ale on nie dojrzał nikogo. Jechał, jak widmo, przez cmentarne Mielno.

Koń wrywał jednak szybko po szosie zasnieżonej, bez kolei. Musieli i Stańczakowie z Magdusią jechać sporo, zwłaszcza, że rano śnieg nie padał; tem dziwniejsze, że Olczaków niema jeszcze z powrotem. — Gdy jednak sanki zjechały z szosy na zwykłą polską drogę, jazda stała się uciążliwszą; drogę znaczyły wprawdzie tu i owdzie drzewa, ale nasyp był miejscami bardzo kopny, choć puszysty; miejscami znów śnieg tajał od spodu, od ziemi niezamarzniętej, i koń wyrzucał z pod kopyt brudne tryski rzadkiego błota.

Najgorzej będzie przed Mastkami, gdzie droga jest mylna i nieobsadzona — przewidywał Rykoń. — Ale gdzież Magdusia? — przecie droga jedna, nikt inną nie jeździ. — Czy wypadnie dojechać aż do Łowicza?

Oswoił się trochę z zawieją, wypatrywał pilnie na drodze, a nawet po bokach; dostrzegał przez zamęt powietrzny drzewa i domy dosyć oddalone, bystremi oczyma, które niejedną już widziały śnieżycę w polu. Ujechał około mili i nikogo nie spotkał pieszego, ani

na kołach; nikomu się nie chciało wyjeżdżać na taką pogodę. Tylko ci dwoje, Jan i Magda, dążyli ku sobie przez niezmierne, wrogie zamiecie. — Mogła ona być w Łowiczu i czekać na łaskawsze niebo. — Ale Jan miał pewne przeczucie, że ona dąży do niego, myśli o nim, a nawet potrzebuje pomocy. — —

Zatrzymał konia. — Tutaj droga gubiła się w płaszczyźnie białej, jak zimowe jezioro, niczem nie oznaczonej. A jednak tędy szła napewno, w wiadomym kierunku, możliwym do odnalezienia dlatego, że wiatr nie kręcił, lecz dął równo, z północo-wschodu. Wiedział Rykoń, gdzie jechać, wiedział i koń — ale czy równie dobrze pokieruje się Magda, jeżeli jest w pobliżu? — — Jan postanowił trochę na nią zaczekać. —

Przy wielkiem napięciu woli, zdążającej do wyraźnego fizycznego celu, budzą się w człowieku rozpierzchłe w nim kiedyindziej władze przeczuć i odruchów instynktowych, te, które są rozumem zwierząt. Rykoń teraz nie myślał ani o swych biedach, ani o kłeskach ogólnych, o niczem innem, jak tylko o znalezieniu Magdy. I wiedział już napewno, że ona jest w pobliżu. Gdyby go kto zapytał, dlaczego tak sądzi, zaczęłyby myśleć, a przeto wątpić; teraz czuł tylko, przeto wierzył.

O kilkadziesiąt kroków na prawo od kierunku drogi, wytkniętego w wyobraźni Rykonia, zaczęło się coś ruszać na granicy między

białą ziemi a mętem zamieci — coś małego, szarego, niby grudka roli nie całkiem ośnieżona, oderwana, zmagająca się z przymocą wichury. — — Blżej — bliżej kłębek ten zabarwił się, zapstrokacił. — —

— Heta! — krzyknął Rykoń, zdzierając konia naprawo, i cwałem puścił sanki ku brodzącej przez pole żywej istocie.

Była to Magda.

Ujrzawszy rozpędzone sanki, stanęła, chciała zawołać, ale pierwszej usłyszała wołanie:

— Magdusiu! to ja, Rykoń! poczekajcie! zabierę — —

Cud oczywisty stanął przed oczyma zmordowanej dziewczyny, otworzyła usta nieme, rozkrzyżowała ramiona, zachwiała się i upadła, jak podcięty kwiat, na obrus śnieżny.

Rykoń wyskoczył z sań na lewą nogę, nie puszczając lejców, chwycił Magdusię oburącz, lekko podniósł i położył na sanki. Leżała martwa, blada na twarzy, jak te śniegi, otulona w kwieciste welniaki. Cucił ją Jan potrząsaniem i tarciami śniegu po skroniach — niedługo. Otworzyła oczy, mrugnęła kilka razy i zbudziła się do życia rozmiłowanym uśmiechem.

— O rety! jakżeście mnie nastraszyli, Jasińku — — —

— Kładź kozuch, mam tu drugi dla ciebie — mówił Jan szorstko, ale głosem od szczęśliwego wzruszenia nabrzmiałym.

— Tak mi ciepło, jak w puchu — odrzekła Magda, tuląc się do ukochanego, a patrząc mu już żywym ogniem w oczy.

— Kładź, kiedy ci mówię. Kawał drogi do domu, zgrzałaś się, mogłoby cię co złego chwycić.

Posłusznie odziała wielki męski kozuch, przepadła w nim ze swemi barwnymi obsłonkami, tylko główka nakryta zapaską, jak pęk kraśny, wyglądała z baranich kudłów kołnierza. Jan nawrócił konia na świeży ślad, jeszcze nie zupełnie zasypany, parsknął koń, zrozumiawszy zamiar powrotu do domu — pomknęli.

— Toście po mnie wyjechali, Jasińku? — zapytała Magda zalotnie, ale i trwożliwie, bo bała się omylić.

— A cóż? miałem wam dać zmarznąć? — odrzekł Rykoń wesoło — szkoda byłoby dziewuchy; a że niemądra, trzeba się nią opiekować, jak dzieckiem. Kto słyszał na pieczętę puszczać się w zawieję?!

— Nie chcieli jechać z Łowicza! — tłumaczyła gorąco Olczakówna. — Jeden mnie dowiózł na kołach do Mastek, bo miał interes. Rubla ze mnie wziął. Ale dalej ani rusz, nikt jechać nie chciał — a trafić przecie musiałam dzisiaj do Mielna — —

Nagle przypomniała sobie:

— A jakżeż to? przecie wy na nogę chorzy — i wyjechaliście?!

— Już wyzdrowiałem.

— Tak prędko! — rzekła Magda, jakby zmartwiona. — To ja napróżno wybrałam się do Łowicza — —

— Niby dlaczego?

— Ano... chciałam przywieźć wam tej maści na stłuczenie od doktora.

— Kto ci kazał?... — zaczął Rykoń, ale głos mu załkał i urwał się.

Puścił lejce, koń przyśpieszył kroku po znajomej drodze między topolami.

A Olczakówna, pewna już, że jej biedna dola zmienia się na szczęście, łąsiła się do Jana kuszącymi słowami:

— I mam ten słoiczek, tutaj go włożyłam — sięgnęła od szyi za stanik — tylko mi ręce zgrabiwały... Chyba sięgniecie sami? —

Jan patrzył przez chwilę mocno w piękne, dobre, poddane oczy Magdusi i wyczytywał w nich wreszcie wspólny swój z nią los:

— Niechta już będzie, Magdusiu, jak ma być — — daj gęby słodziutkiej — —

Oj, nie bronila jej Magda, nie!

Dopiero gdy Jan od ust jej oderwał usta, a ramieniem potężnym jeszcze ją obejmował, miażdżąc kożuch i wełniak około kibici, dziewczyna zapłakała:

— Tyli czas! tyli czas mnie nie chciałeś, Jasieńku!...

— Bo jeszcze nie była nadeszła pora. Tera

choć przyszła najgorsza, człowiek zrobił, co tylko mógł — — z Panem Bogiem spierał się nie będąc. Jedno wziął, drugiego nie dopuścił, ale ciebie mi dał, widać, Magduś, boś jest i czująca mnie i rozumiejąca lepiej, niż inne kobiety, a żoną mi będziesz pomocną na dołę i niedolę. — — Dobraś do roboty, do kochania jedyna; syny mi będziesz rodziła na tę lepszą przyszłość, która przyjdzie, bo się nam od Pana Boga należy. — — I my jeszcze nie starzy — dożyjemy.

Śluchała Magdusia, jak wyroków, jak organów kościelnych. Łowiła usta ukochanego, kiedy chciał, a kiedy je umykał, całowała go po rękach. Ciepło było obojgu, ani tej śnieżycy widzieli przed sobą, ani czuli; topniała na ich ustach gorących. Maj się przedzierał z ich serc na okolicę, moc czuli w sobie, przemieniającą wszystkie niedole na szczęście i nadzieję, — moc ziemi, której nic nie wstrzyma od wydania kwiatu i plonu, moc serc, których klęska nie zwycięża, lecz je opancerza.

Nie pilno im było do domu w tej podróży, dla innych nieznośnej, dla nich ślubnej i błogosławionej.

W oddaleniu dwóch wiorst od Mielna ujrzeli na niebie dobre znaki. Śnieżycy zrzędła i omdlała w swej sile chłoszczącej. Na zachodzie ciężka pokrywa chmur uchyliła się od ziemi, odsłaniając pas żółtego mętu, który powoli nasiąkał coraz ognistszą luną. Na jej tle

występowała wieś ogromna, uszykowana w klamrę, najeżona topolami, prowadząc niby za sobą upał letni przeciw wrogiej, najeźdźczej ze wschodu zamieci. Czuć było nawet przez śniegi, potężny wiew powracającej wiosny, słyhać jakby daleki marsz tryumfalny.

— Podśwituje na zachód — rzekł Rykoń — i wiatr się zmienia; w nocy to paskudztwo precz sobie od nas odleci.

— Pora, bo pora! — odetchnęła Magda pełną piersią.

KONIEC.



67703